

# Czerwony korsarz

James Fenimore Cooper



calibre 0.7.14

# J. Fenimore Cooper

## Czerwony korsarz

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Grzbiety falistych wzgórz Rhode Island ukoronowane były odwiecznymi lasami. Małe doliny tej wyspy okrywała bujna zieleń. Skromne, ale czyste i wygodne domki wiejskie, otoczone kępami drzew, tonęły w powodzi kwiatów. Ten piękny i żyzny zakątek jego mieszkańcy nazywali „ogrodem Ameryki”. Zgadziali się z nimi dostatni plantatorzy, którzy tu właśnie szukali wytchnienia od spiekoty i niezdrowego klimatu Południa.

Położone w południowej części Rhode Island, na zachodnim brzegu tej uroczej wyspy, stare portowe miasto Newport w pierwszych dniach października roku 1759 doznawało — jak wszystkie amerykańskie osiedla — mieszanych uczuć smutku i radości. Opłakiwano śmierć znakomitego generała Wolfe'a, radowano się zwycięstwem, które generał przypłacił życiem. Zdobyte zostało Quebec, potężna kanadyjska twierdza. Krwawa, okrutna wojna kolonialna między Francją i Anglią dobiegała zwycięskiego dla korony angielskiej końca. Francja utraciła ostatnie swe posiadłości na kontynencie amerykańskim. Olbrzymimi obszarami lądu między Zatoką Hudsona a hiszpańskimi koloniami na południu zawładnęła Anglia. Pokój zapanował w brytyjskich koloniach. Ciszę miała przerwać dopiero burza rewolucji amerykańskiej, w kilkanaście lat później.

Jesienno dnia, w którym zaczyna się nasza opowieść, zacni mieszkańcy Newport i okolicy obchodzili zwycięstwo angielskiego oręża. Rankiem odezwały się dzwony kościelne i zagrzmiała miejska armata. Ludzie wylegli na ulice. Okolicznościowy mówca przemówił do tłumów.

Słońce chyliło się już ku zachodowi nad niezmierną pierwotną puszcza, okrywającą kontynent, kiedy uczestnicy patriotycznych manifestacji zaczęli rozchodzić się do domów. Przybyli z okolicy koloniści wybierali się w drogę powrotną, aby uniknąć zbędnych kosztów noclegu. Słowem, wszyscy wracali do trzeźwej prozy codziennego życia.

W Newport znów odezwały się młoty, siekiery i piły. Na pół otwarte okiennice wystaw niejednego sklepu świadczyły, że w duszach kupców chęć zysku przytłumiła nieco głos obywatelskiego zapału. Właściciele trzech oberż w mieście pokazali się przed swymi zakładami wypatrując gości wśród odjeżdżających prowincjałów, choć wiadomo było, że są to ludzie, którzy chętniej sprzedadzą coś w mieście, niż wydadzą zarobiony grosz. W sieci ugrzęzło tylko paru hałaśliwych i głupkowatych marynarzy ze statków stojących w porcie oraz gromadka stałych bywalców, natomiast wszelkie przyjazne ukłony, pytania o zdrowie małżonek i dzieci, nawet jawne zaproszenia na szklaneczkę okazały się daremną fatygą. Na drogach prowadzących w głąb wyspy wyjeżdżający z miasta zbierali się, by wspólnie omówić wrażenia pamiętnego dnia. Robotnicy budujący nowy statek w porcie zeszli się w tym samym celu na pokładzie.

W dość lichym domku na skraju miasta, nad brzegiem zatoki, mieścił się warsztat krawiecki. Popołudnie przypominało wiosenny ranek, łagodny wietrzyk marszczył tu i ówdzie gładką powierzchnię portowego basenu. Zaczny krawiec siedział przy otwartym oknie i kończył szyć ubranie.

Przed domem rozparł się wygodnie wysoki i krzepki młodzieniec ze wsi. Czekał na nowy garnitur, w którym chciał się pokazać najbliższej niedzieli w parafialnym kościele.

— Kiedy w czasie dzisiejszych uroczystości słuchałem patriotycznej mowy, nabrałem wielkiej ochoty do wojaczki — powiedział krawiec. — Chętnie bym poszedł walczyć pod królewskimi sztandarami, możesz mi wierzyć, mój drogi Pardy.

Młody wieśniak odwrócił się w stronę walecznego krawca z nieco złośliwym błyskiem w oku.

— Drogi panie Homespun — powiedział. — Jest teraz jedno wolne miejsce dla ambitnego człowieka. Miłościwie nam panujący monarcha stracił niedawno najwaleczniejszego z generałów.

— Ba! — odparł dzielny mistrz igły, który niewątpliwie minął się z powołaniem. — Widoki są piękne, ale dla takich młodych zuchów jak ty. Mnie już niewiele życia zostało i na stare lata nie ruszę się z tego miejsca.

— Wobec tego nie będzie pan nosił generalskiego munduru. Cała pociecha w tym, że wojna już się kończy. Wszyscy mówią, że Francuzi ledwie zipią i nastanie pokój, bo nie będziemy mieli kogo bić.

— Tym lepiej, tym lepiej, mój chłopcze. Widziałem w życiu tyle straszliwych wojen, że wiem, co znaczy błogosławieństwo pokoju. Przeżyłem pięć długich i krwawych wojen i Bogu dziękować wyszedłem z nich nawet niedraśnięty.

— Pięć wojen? To się pan musiał dobrze uwijać. I pewnie, jak to żołnierz, kawał świata pan widział?

— Owszem, sporo się nawędrowałem. Dwa razy odbyłem podróż lądem do Bostonu, a raz żaglowcem aż do Nowego Jorku. Bardzo to niebezpieczne były przedsięwzięcia. Ufam, że dziś, kiedy już wojnę mamy za sobą, miłościwie nam panujący monarcha zechce zwrócić uwagę na piratów, grasujących tutaj— na wodach przybrzeżnych i każe któremuś ze swych mężnych kapitanów marynarki wojennej rozprawić się z tymi zbirami tak, jak sobie na to zasłużyli. Byłby to radosny widok dla moich starych oczu, gdyby królewski okręt przyholował do naszego portu osławionego „Czerwonego Korsarza”.

— Czy kapitan tego statku jest rzeczywiście wielkim łotrem?

— Nie tylko on! Otoczył się zgrają krwawych i bezecnych zbirów i nawet najmłodszy chłopcy na jego statku to złodziejskie nasienie. Serce się kraje, jak człowiek słyszy o niegodziwych postępkach, jakich się dopuszczają na morzach królewskich.

— Nieraz słyszałem o tym Korsarzu, ale prawdę mówiąc piąte przez dziesiąte.

— A skądże byś mógł, mój chłopcze, mieszkając w głębi lądu wiedzieć o tym, co się dzieje na wodach oceanu? Co innego my tutaj, w portowym mieście, tak często odwiedzanym przez marynarzy. Ale komu w drogę, temu czas, Pardy. Zbliża się wieczór, masz dziesięć mil drogi do domu.

— Droga jest łatwa i bezpieczna — odrzekł młodzieniec. Zostałby nawet do północy, byle tylko posłuchać mrozących krew w żyłach opowieści o morskich rozbójnikach i po powrocie do rodzinnej wsi powtórzyć je gromadce ciekawych.

— Czy to prawda — zapytał — że Czerwony Korsarz sieje postrach na morzu i że od dawna wymyka się z rąk sprawiedliwości?

— Wymyka się, powiadasz, mój synu. Najdzielniejsi spośród marynarzy pływających po niezmiernym oceanie woleliby zostać na lądzie, niż ujrzeć żagle statku przeklętego Korsarza. Nie brak na świecie ludzi walczących dla sławy, ale nikt nie chce spotkać się z nieprzyjacielem, który atakuje z krwawą flagą na maszcie i gotów jest wszystkich, obcych i swoich, wysadzić w powietrze, gdy tylko osłabnie wspierająca go w boju ręka szatana.

— Jeśli jest taki niebezpieczny, dlaczego nie wyśle się okrętu strzegącego wybrzeża, żeby ujął Korsarza. Łotr stanąłby wtedy w porcie pod szubienicą. Sam bym się zgłosił, gdybym usłyszał, że biją w bęben i wzywają ochotników do służby na tym okręcie.

— Tak może mówić tylko ten, co nigdy nie powąchał prochu. Cepy i widły nie pomogą na tych, co się diabłu zaprzędali. Nieraz już bywało, że nocą lub o zachodzie słońca fregaty królewskie otoczyły Korsarza. Zdawało się, że tym razem nie ujdzie dybów, a gdy nadszedł ranek, ani śladu po nim nie było. Znikał, jakby nieczyste siły maczały w tym palce. Sam nadał sobie imię Czerwonego Korsarza. Tak też ludzie nazywają jego statek.

— Czy nazwał się Czerwonym Korsarzem, bo lubi pławić się w ludzkiej krwi?

— Niechybnie. Jak się naprawdę nazywa jego statek, tego nikt nie wie. Kto bowiem raz wstąpił na pokład statku Czerwonego Korsarza, ten już się więcej na lądzie nie pokazał. Mówię, rzecz prosta, o uczciwych marynarzach i nieszczęsnych pasażerach. Z tego, co słyhać, jest to statek rozmiarem i kształtem przypominający słup z królewskiej floty, podobnie też wyposażony. Ale zdołał umknąć niejednej potężnej fregacie. Ludzie opowiadają sobie na ucho, bo żaden wierny poddany jego królewskiej mości nie śmiałyby głośno powtórzyć tej gorszącej historii, że raz „Czerwony Korsarz” przez całą godzinę był pod ogniem pięćdziesięciu armat angielskiego okrętu wojennego i na oczach wszystkich poszedł na dno jak kamień. Ale kiedyśmy w mieście ściskali sobie ręce i radowali się, że łotrów spotkała zasłużona kara, zawiął do portu statek z Indii Zachodnich, ograbiony przez Czerwonego Korsarza rankiem, po nocy, której wraz z całą swą zgrają miał raz na zawsze rozstać się z tym światem. I jeszcze gorzej bywało: podczas gdy okręt królewski leżał na burcie w portowym basenie i łątał dziury w kadłubie powstałe od kul Korsarza, statek tego gałgana kręcił się koło wybrzeża, cały i zdrowy, jak w dniu, kiedy nowo narodzony wyszedł ze stoczni.

— Po prostu wierzyć się nie chce — oświadczył młody wieśniak, na którym opowiadanie krawca zrobiło duże wrażenie.. — A może ten statek jest nie z tego świata?

— Różnie się o tym mówi. Mój dobry znajomy spędził cały tydzień w podróży morskiej i zaprzyjaźnił się z jednym marynarzem, który opowiadał mu, jak pewnego razu na statku handlowym, podczas sztormu, spotkali się z „Czerwonym Korsarzem” na odległość nie większą niż sto stóp. Mieli szczęście, że Wszechmocny potężną swą dłonią wzburzył morskie fale i Korsarz musiał ratować

swój stateczek przed katastrofą. I tylko dlatego ów marynarz mógł bezpiecznie przyjrzeć się „Czerwonemu Korsarzowi” i jego kapitanowi. Opowiadał więc, że Korsarz jest to rosły chłop, o włosach koloru słońca we mgle i takim spojrzeniu, że nikt by się nie odważył drugi raz popatrzeć mu w oczy. Widział go, jak ja ciebie teraz widzę, mój chłopcze. Bo ten zbir stał na pokładzie i ręką wielkości poły surduta dawał znak kapitanowi handlowego statku, by się trzymał w przyzwoitej odległości, groziło im bowiem zderzenie.

— Ten kapitan musiał być zuchem nie lada, jeśli śmiał tak się zbliżyć do statku krwawego zbira.

— Zapewniam cię, Pardy, że stało się to wbrew jego woli. Ale noc była ciemna jak smoła... .

— Jak smoła! — przerwał tamten. — To jakim cudem marynarz mógł coś widzieć?

— Któż to wie? — odparł krawiec. — Faktem jest jednak, że widział. Więcej ci powiem. Ów marynarz dobrze się przyjrzał statkowi Korsarza, aby mógł go rozpoznać, gdyby kiedyś jeszcze raz się z nim spotkał. Był to długi, czarny statek, głęboko zanurzony w wodzie, jak wąż w trawie, już samym swoim wyglądem nic dobrego niewróżący i o zgoła zbrodniczej sylwetce. A poza tym ludzie mówią, że płynie szybciej niż chmury na niebie i jest mu całkiem obojętne, w którą stronę wieje wiatr, a szybkość tego okrętu jest równie groźna dla ściganych, jak okrucieństwo jego załogi. Z wszystkiego, com słyszał o „Czerwonym Korsarzu”, bardzo on przypomina ten statek niewolniczy, który w zeszłym tygodniu stanął na redzie naszego portu.

Mówiąc to krawiec wskazał ręką w stronę redy, gdzie istotnie widać było jakiś statek. Młody wiejski strojniś długo wpatrywał się w jego sylwetkę. Zaczynał krawiec skończył tymczasem szyć ubranie, odłożył je i wyrzucił przez okno.

— Wiesz, Pardy — powiedział — że dziwne myśli i najgorsze podejrzenia przychodzą mi do głowy. Jak słyhać, ten statek zawinął do portu, by nabrać wody i załadować drzewo. Już tydzień stoi na redzie i ani jednego patyka nie wzięli z ładunku, a rumu „Jamaica” na pewno zatankowali dziesięć razy więcej niż słodkiej wody. Co więcej, stanął tak, że z baterii nadbrzeżnej tylko jedno działo może go dosięgnąć. Gdyby to był bojaźliwy statek handlowy, tak by się, rzecz prosta, ustawił, aby w razie napaści przez piratów ci bezczelni zbójcy znaleźli się w ogniu całej naszej artylerii.

— A to co za jedni? — spytał Pardy wskazując głową na mężczyzn stojących na brzegu niedaleko domu krawca. — Marynarze z tego statku czy tutejsi?

— Oho! — zawołał krawiec. — Na pewno nie tutejsi! Muszę dobrze im się przyjrzeć, bo czasy nie są wcale bezpieczne.

Po czym dzielny krawczyzna, choć kulał na jedną nogę od urodzenia, wybiegł zwawo na ulicę.

Wobec tego, że mamy przedstawić czytelnikowi osoby, które okażą się w dalszym ciągu powieści znacznie ważniejsze od krawca, odłożymy tę ceremonię na początek następnego rozdziału.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nieznajomych było trzech. Nie mogli być mieszkańcami miasta, skoro nie znał ich krawiec, który o każdym mieszkańcu wyspy w promieniu dziesięciu mil wiedział wszystko, poczynając od nazwiska, a kończąc na skrzętnie ukrywanych tajemnicach rodzinnych.

Zanim wybiegł na ulicę, zdążył szepnąć na ucho swemu klientowi:

— Nietutejsi i bardzo podejrzanie wyglądają.

Wypada więc opisać, jak wyglądali, aby czytelnik nie był zdany na opinię krawca, człowieka, jak się o tym przekonaliśmy, nader skłonnego do podejrzeń.

Z trójki wyróżniał się mężczyzna lat około dwudziestu sześciu. Jego ogorzone oblicze, koloru ciemnej oliwki, tryskało zdrowiem. Rysy twarzy miał męskie i szlachetne, choć niezbyt regularne, nos duży, brwi sterczące, usta śmiałe. Kiedy ciekawy krawiec podszedł bliżej, nieznajomy mówił coś do siebie, w tajemniczym uśmiechu odsłaniając zęby jaśniejące bielą na tle ogorzonej twarzy. Spod gęstej, kędzierzawej, czarnej jak kruk czupryny wyzierały szare, żywe i raczej łagodne . oczy. Młody człowiek był mocnej i bardzo zręcznej budowy. Mimo że miał na sobie strój prostego marynarza, co prawda schludny i świetnie dopasowany, było w jego postawie coś onieśmielającego, gdy oparty o nabrzeżny słupek stał wpatrzony w statek niewolniczy na redzie. Mistrz igły nie odważył się zagadnąć nieznajomego i zwrócił wzrok na jego towarzyszy.

Jeden z nich był białym, drugi Murzynem, obaj w kwiecie wieku. Ich wygląd świadczył dobitnie, że kawał życia spędzili w ciężkim klimacie i przetrwali wiele srogich burz. Mieli na sobie odzież prostych marynarzy, mocno podniszczoną i usmarowaną smołą.

Biały był niedużym, krępyim mężczyzną o potężnych, spalonych przez słońce na brąz plecach, muskularnych ramionach, wielkiej głowie, niskim, zarosniętym czole, spod którego wyzierały małe, uparte oczy, o tępym, chwilami groźnym spojrzeniu. Nos miał perkaty, usta duże, żarłoczne, zęby bielutkie, podbródek szeroki i mocny. Siedział z założonymi rękami na pustej beczce, przyglądał się uważnie statkowi na redzie i co jakiś czas wypowiadał o nim fachowe uwagi znajdując w Murzynie chętnego słuchacza.

Murzyn był nie mniejszym od białego siłaczem, ale przewyższał go wzrostem i bardziej proporcjonalną budową. Rysy twarzy miał szlachetniejsze, niż to bywa u czarnych, oczy łagodne i wesołe. Włosy lekko przyprószyła mu siwizna. Siedział na kamieniu, podrzucał kamyki i zręcznie je łapał. Podwinięty rękaw płóciennej bluzy odsłaniał rękę tak muskularną, że mogła służyć za model artyście rzeźbiącemu ramię Herkulesa. Ciekawy krawiec podszedł z tyłu na palcach i nadstawił uszu.

— Muszą powiedzieć, mój Afrykański — mówił biały marynarz żując tytoń — że zupełnie nie rozumiem kapitana tego statku. W pół godziny mógłby zawinąć do portu, bezpiecznego jak staw koło młyna. A on stoi na redzie, wystawia statek na niebezpieczeństwo i nie wiadomo po co morduje marynarzy, którzy łodziami mają kawał drogi do lądu.

Marynarz nazywał swego kolegę „Afrykański” albo „Scypio”, zależnie od humoru. Murzynowi nadano imię Scypio Afrykański, w owych czasach bowiem w Ameryce imiona rzymskich sławnych ludzi cieszyły się dużym powodzeniem.

— Powiem panu, panie Dick — odparł Murzyn — dlaczego on nie wszedł do portu. Wieje tu wiatr z północnego zachodu. Przy takim wietrze niełatwo się wydostać z portu. Widocznie kapitanowi zależy na tym, żeby mógł szybko wypłynąć na pełne morze. Dlatego stanął tam, gdzie wiatr mu sprzyja.

— Murzyn ma rację! — zawołał młody mężczyzna, który widocznie słuchał rozmowy marynarzy. — Kapitan z pewnością wie, że o tej porze roku wieją tu wiatry zachodnie. A poza tym sami widzicie, że trzyma całe ożaglowanie w pogotowiu choć załogę ma liczną, co łatwo poznać po tym, jak zostały zwinięte żagle. Czy rzucił kotwicę, czy tylko lina trzyma statek na uwięzi? Jak się wam zdaje?

— Miałby źle w głowie, gdyby nie rzucił kotwicy — odrzekł Dick. — Statek trzymany na cumie tańczyłby jak ten żrebak na długim powrozie przywiązany do drzewa, którego widzieliśmy w drodze z Bostonu.

— Rzucił tylko dryfkotwę — oświadczył Scypio nie przestając podrzucać kamyków. — Niech mi pan wierzy, panie Harry, że jak tylko zechce, to od razu skoczy na pełne morze. A ja bym chciał zobaczyć Dicka, jak galopuje na tym żrebaku przywiązany do drzewa!

Mówiąc to Murzyn aż się trząśł ze śmiechu. Obrażony Dick wymamrotał parę soczystych przekleństw pod adresem kolegi.

Harry odczekał, aż czarny marynarz się uciszy.

— Tak, Scypionie — powiedział. — Przy odrobinie wiatru kapitan tego statku w ciągu dziesięciu minut może się znaleźć poza zasięgiem artylerii nadbrzeżnej.

— Widzę, że pan dobrze się zna na tych sprawach — odezwał się za plecami Harry'ego jakiś obcy głos.

Harry gwałtownie się obrócił i ujrzał nieznanego mężczyznę, który podszedł do nich przez nikogo niezauważony. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, był ledwie średniego wzrostu, wyglądał na silnego. Cerę miał białą, niemal kobiecą, ale opalenizna poniżej czoła i orli nos przydawały mu męskości. Jasne włosy opadały na skronie bujnymi lokami. Regularne, ładne usta były nieco odęte. W spokojnych niebieskich oczach pojawiały się chwilami niepokojące błyski. Cylinder, lekko przechylony na głowie, nadawał jego twarzy wygląd hulaki. Ubrany był w jasnozielony surdut do jazdy konnej i bryczesy z kozłej skóry: długie buty z ostrogami dopełniały stroju. W ręce trzymał szpicrutę, którą wywijał w powietrzu nic sobie nie robiąc ze zdziwienia, jakie wywołało jego pojawienie się tutaj.

— Mówię, że musi pan dobrze się znać na tych sprawach — powtórzył nieznanomy. — Bo wypowiada się pan z wielką pewnością siebie.

— Czy wydaje się panu dziwne — odparł Harry — że ktoś zna zawód, w którym pracuje całe życie?



— Hm, trochę dziwne wydaje mi się, że ktoś swą ciężką fizyczną pracą szumnie nazywa zawodem. Jakże wobec tego nazwać pracę tych, którzy, jak na przykład ja, ukończyli wyższe studia i uprawiają zawód prawnika?

— Za pozwoleniem. Jestem marynarzem i trzymam się z daleka od uczonych prawników pańskiego pokroju — odparł Harry i z niesmakiem odwrócił się plecami do nieznanego.

— Chłopak ma charakter — mruknął tamten do siebie i znacząco się uśmiechnął. — Mój przyjacielu, nie spierajmy się o słowa. Wyznam szczerze, iż nie mam pojęcia o morskich sprawach i chętnie bym się poduczył u kogoś tak biegłego jak pan w tym zawodzie. Jestem tylko skromnym adwokatem w królewskiej służbie i przybyłem tu w pewnej misji...

— Życzę powodzenia — uciął rozmowę młody marynarz i dodał: — Na pewno wysoko pan zajedzie, jeśli pana przedtem....

Ugryzł się w język, zadarł głowę wysoko i odszedł. Dwaj marynarze podążyli za nim.

Nieznamy obserwował ich otrzepując szpicrutą buty z kurzu.

— Jeżeli pana przedtem nie powieszą — dokończył za młodego marynarza. — To zabawne — dodał półgłosem — że ten smarkacz wróży mi szubienicę.

Co powiedziawszy chciał pójść za trzema marynarzami, gdy nagle ktoś z tyłu położył mu poufale rękę na ramieniu.

— Jedno słówko na ucho, szanowny panie — zaczął krawiec, bo to on zatrzymał nieznanego. — Powiadasz pan, że jesteś na służbie miłościwie nam panującego króla.

Nieznamy jednym bystrym spojrzeniem otaksował krawca i odparł:

— Więcej powiem: cieszę się jego osobistym zaufaniem.

— Wielki to dla mnie zaszczyt rozmawiać z osobą cieszącą się względami naszego monarchy.

Kulawy krawiec szybko przygładził mocno przerzedzone włosy i nisko się nieznanemu pokłonił.

— Dziękuję ci, przyjacielu, w imieniu króla — odrzekł tamten z wielką powagą.

— Jestem niezmiernie rad — powiedział krawiec — że spotkałem kogoś, kto będzie mógł przekazać bezpośrednio do uszu miłościwie nam panującego pewną wiadomość ode mnie.

— Nie krępuj się, przyjacielu — zachęcił nieznamy z książeczą łaskawością i lekką nutą zniecierpliwienia. — Na królewskim dworze też chętnie dajemy posłuch naszym poddanym.

— Nad wyraz cenię sobie pańską życzliwość. Czy widzi pan ten statek na redzie?



— A jakże. I zdaje mi się, że jest to przedmiot ogólnego zainteresowania mieszkańców miasta.

— Stanowczo przecenia pan moich rodaków. Statek stoi tam od wielu dni i nikomu nie wydał się podejrzany. Tylko ja zwierzyłem, że coś tu jest grubo nie w porządku.

— No, no! — mruknął królewski wysłannik. — A co pan podejrzewa?

— Go? Może się mylę. Niech mi Bóg wybaczy, gdyby moje podejrzenia okazały się niesłuszne. Sam wiele wycierpiałem wiernie służąc królowi. Brałem udział w pięciu krwawych wojnach...

— Tak. Ale chciałbym jak najprędzej usłyszeć, co mam przekazać królowi. Powiedz, drogi przyjacielu, jaka troska leży ci na sercu.

— Jestem starym wojakiem...

— To widać — przerwał mu nieznajomy. — Ale czas mnie nagli. Powiedzże, przyjacielu, co masz do powiedzenia o tym statku.

— Jestem krawcem znanym w całej okolicy, mam na utrzymaniu liczną rodzinę. Żaden marynarz z tego statku nie obstalował u mnie munduru. Wszyscy szyli u młodego partacza, który nie tylko nie ma fachu w rękach, ale jeszcze mnie obgaduje. Gdyby ci marynarze byli uczciwymi chłopcami, popieraliby solidnego krawca i ojca dzieciom. Dla mnie więc jest jasne jak słońce, że to hołota, a statek należy do tego łotra spod ciemnej gwiazdy, Czerwonego Korsarza.

— Czerwonego Korsarza!? — zawołał nieznajomy. — To rzeczywiście bardzo ważna wiadomość.

— Mam nadzieję, że przekaże ją pan królowi. .

Królewski zausznik położył krawcowi rękę na ramieniu i oświadczył:

— Spełniłeś, mój przyjacielu, obowiązek wiernego poddanego naszego władcy. Wiadomo, że wyznaczono wysoką nagrodę za ujęcie każdego, choćby najpośledniejszego członka załogi „Czerwonego Korsarza”, a kto odda w ręce kata całą tę szajkę, będzie bogatym człowiekiem. Król tak się ucieszy, że nawet szlachectwo nadać może za tę przysługę.

— Szlachectwo! — powtórzył olśniony mistrz igły.

— Jak panu na imię? — spytał królewski wysłannik.

— Hektor.

— A nazwisko?

— Homespun.

— Sir Hektor Homespun, to bardzo ładnie by brzmiało. Ale jeśli pan chce zdobyć majątek i

zaszczyty, konieczne jest zachowanie ścisłej tajemnicy. Musimy być niezwykle ostrożni. Czy z nikim nie podzielił się pan swymi spostrzeżeniami?

— Słowa żywej duszy nie pisałem.

— Doskonale. Spotkamy się dzisiaj o jedenastej wieczór tam — widzi pan? — gdzie brzeg zbliża się do redy. Dokonamy stamtąd ostatecznych obserwacji. A jutro rano powiadomimy kogo należy. Teraz musimy się rozstać. Nie byłoby dobrze, gdyby nas obu ktoś tu zobaczył. „Milczenie” oto nasze hasło, „królewska łaska” — to odzew.

— Do zobaczenia, łaskawy panie — powiedział krawiec i skłonił się do ziemi.

Nieznajomy dotknął kapelusza i pokiwał mu ręką.

— Do widzenia — odparł.

I wolnym krokiem odszedł.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Nieznajomy skręcił w główną ulicę miasta. Szedł szybko, z obojętną miną, ale każdemu przechodniowi, jakiego mijał, bystro się przyglądał.

Zlekceważył gościnne zaproszenie właścicieli dwóch najlepszych gospód w mieście i śmiało wszedł do oberży, gdzie się zbierało nie najlepsze portowe towarzystwo. W barze było pełno. Gdy wszedł, gwar przycichł na chwilę, nieznajomy bowiem nie wyglądał na bywalca tego rodzaju lokali. Ale kiedy usiadł na ławie i zamówił trunek, przestano zwracać na niego uwagę.

Na drugim końcu długiej wąskiej izby siedział jakiś osobnik i nie dopuszczając innych do głosu opowiadał swoje przygody.

— To jest bosman ze statku niewolniczego, który stoi u nas na redzie — szepnął nieznajomemu właściciel oberży podając mu szklaneczkę grogu. — Wiele pływał po świecie i napatrzył się przedziwnych rzeczy, tomy można by o tym napisać. Stary Boreasz, tak go ludzie nazywają, ale naprawdę zwie się Jack Nightingale.

Nieznajomy przyjrzał się bosmanowi. Był to olbrzym. Połowę jego ponurej gęby, naznaczonej wielką szramą, zakrywały ogromne wąsy. Strój marynarza uwydatniał proporcjonalną budowę. Długi łańcuch ze starego srebra i gwizdek, również srebrny, jeszcze bardziej zwracały uwagę na tę malowniczą postać.

Syn oceanu nie raczył nawet spojrzeć w stronę nowo przybyłego i basem przypominającym głos byka ciągnął swoją opowieść:

— Jak już mówiłem, brzeg Gwinei był tutaj, a wiatr wiał stamtąd. Nie podobał mi się ten wiatr, bo dał jak opętany, nagle przycichał i po chwili znów się gwałtownie zrywał. Poszedłem więc w

stronę rufy, żeby wypowiedzieć swoje zdanie, gdyby kapitan chciał się mnie poradzić. Stało się, jak przewidziałem.

„Panie Nightingale — pyta kapitan, człowiek bardzo dobrze wychowany — co pan myśli o tej podobnej do szmaty chmurze na północnym zachodzie?”

„Ano — odpowiadam bez namysłu — jeżeli pan kapitan nie zadecyduje inaczej... — przybasowałem mu trochę, choć przy mnie kapitan był młodym, niedoświadczonym szpicem —...radziłbym zwinąć trzy bramsle i zrefować grotzagiel. Nic nas nie nagli, a Gwinea będzie jutro dokładnie w tym samym miejscu co dziś wieczór. A na szkwały grotzagiel będzie w sam raz...”

— Grotzagiel też trzeba było zwinąć! — przerwał bosmanowi stanowczy głos zza jego pleców.

— Cóż to za nieuk się odezwał? — groźnie spytał Nightingale.

— Odezwał się Ryszard Fid, ten, co niejedyn raz opłynął Afrykę od przylądka Bon do Przylądka Dobrej Nadziei! — zawołał Dick.

I wszyscy zobaczyli, jak w stronę wściekłego bosmana przeciska się przez tłum krępy marynarz. — Tak, bracie! — wołał Dick. — Czy jestem nieukiem, czy znam się na rzeczy, nigdy bym mojemu kapitanowi nie radził zostawić tyle żagli, jeśli wiatr może uderzyć z rufy.

To śmiałe wyzwanie rzucone bosmanowi wywołało nieopisaną wrzawę. Wszyscy krzyczeli, a najgłośniejszym słyhać było basy dwóch głównych przeciwników. Niewiele brakowało, by obaj atleci wzięli się za łby i siła rozstrzygnęła spór. Ale wreszcie jakoś się uspokoili.

— Jesteś, bracie, dzielnym marynarzem — podjął bosman. — A w gębie na pewno najmocniejszym. Ale mnie nie będziesz uczył. Jeżeli jest tu ktoś, co ma morskie wykształcenie, niech zabierze głos w imię prawdy.

— Proszę bardzo — odparł Fid.

Sięgnął ręką, złapał Scypiona za kołnierz, wyciągnął go na środek i postawił przed bosmanem.

— Oto człowiek, który zrobił o jeden afrykański rejs więcej niż ja, bo się urodził na Czarnym Łądzie. Powiedz, Scypionie, jakie żagle zwinąłbyś na statku u brzegu twojej ojczyzny, gdyby nadciągała burza?

— Wcale bym nie zwijał — odparł Murzyn — tylko wiał co siły w żaglach. Dziecko to wie...

— Panowie — przerwał mu bosman rozglądając się wokół z wielką powagą. — Powiedźcie sami, czy godzi się, aby czarnuch mądrzył się w obecności białych?

Zgodny pomruk zebranych zaświadczył, że bosman trafił im do przekonania.

Scypio uznał się za niepożądanego gościa i bez słowa, z rękami skrzyżowanymi na piersi, opuścił oberżę, nie zważając na głośne protesty Fida. W tej sytuacji Fid, pozbawiony sojusznika,

napchał sobie usta potężną porcją tytoniu, brzydko zaklął i też wyszedł na ulicę.

Bosman został sam na placu boju. Dumny z odniesionego zwycięstwa, zwrócił się do zebranych:

— Panowie! Nie wiem, kim jest ten marynarz, co musiał wziąć nogi za pas, nie lubię też sam się chwalić. Jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: że od Bostonu po Indie Zachodnie nie ma marynarza, który by mi dorównał.

Bas mówcy nagle zamilkł. Bosman utkwiał wzrok w oczach nieznanego, który właśnie wstał z ławki i podszedł bliżej.

— Może — podjął po chwili — ten dżentelmen zna się na morskich sprawach i zechce rozstrzygnąć nasz spór.

— Na wyższych uczelniach nie studiuje się nawigacji, ale z tego, co tu słyszałem, wydaje mi się, że w opisanej sytuacji należałoby wiać co siły w żaglach.

Po tych słowach nieznanomy rzucił na stół należność za grog i wyszedł.

Nightingale podjął swą opowieść, ale czy był zmęczony, czy może z innych powodów, znacznie spuścił z tonu i szybko skończył. Dopił grogu i chwiejnym krokiem udał się na brzeg, skąd łódź zabrała go na pokład statku, do tej pory wytrwale obserwowanego przez niestrudzonego krawca.

Tymczasem Fid dogonił Scypiona i wymyślał mu za to, że stchórzył. Nieznanomy szedł za nimi. Minęli podmiejskie domki i zniknęli mu z oczu na zakręcie drogi. Adwokat przyśpieszył kroku i po chwili znów ich zobaczył. Siedzieli pod przydrożnym płotem i z wielkim apetytem posilali się z torby Fida. Zdążyli już się pogodzić.

Podszedł do nich i powiedział:

— Moi drodzy, boję się, że nic nie zostawicie dla waszego kolegi i pójdzie spać o pustym żołądku.

— Poczęstuj się, bracie — odrzekł Fid i wyciągnął torbę do adwokata.

— Nie zrozumieliśmy się. Mówiłem o tym, z którym widziałem was w przystani.

— Poszedł obejrzyć tę latarnię morską — powiedział Fid i wskazał palcem.

Adwokat popatrzył w tamtą stronę i zobaczył młodego marynarza u stóp walącej się wieży. Rzucił im garść miedziaków na lepszą kolację — jak powiedział — przeskoczył płot i podszedł do wieży.

— Nigdy bym nie przypuszczał — zagadnął młodego marynarza — że pan się interesuje takimi zabytkami. Myślałem, że bardziej ciekawi pana ten statek na redzie. Stąd dobrze go widać.

— Pan jest bardzo domyślny — chłodno odparł Harry. — Nic w tym dziwnego, że marynarz bez

pracy przygląda się pięknemu statkowi. Może chciałby się na ten statek zaciągnąć?

— Kapitan byłby ostatnim kpem, gdyby nie przyjął takiego marynarza. Zdaje mi się jednak, że pan jest nazbyt wykształcony, aby mógł zająć podrzędne stanowisko.

Harry roześmiał się. Pochlebstwo trafiło do celu. Przestał zezem patrzeć na nieznajomego.

— Jak pan myśli? — spytał. — Do czego mogła służyć ta wieża?

— Wejdźmy, to zobaczymy.

Mówiąc to adwokat wspiał się po zmurszałej drabinie i przez otwór w podłodze wszedł na pierwsze piętro wieży. Harry, po krótkim wahaniu, zrećnie wdrapał się na górę.

— Łatwo nam poszło — powiedział adwokat. — Przepraszam, zapomniałem pańskiego nazwiska.

— Różnie się nazywałem, zależnie od okoliczności. W tej chwili mogę się przyznać do nazwiska Wilder. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie. — Do czego służyła ta wieża? Jej obecne przeznaczenie jest jasne. Stoi po to, żeby dwóch lekkoduchów mogło sobie swobodnie porozmawiać pod jej dachem. A przedtem mieścił się tu młyn, to nie ulega wątpliwości. Wyobrażam sobie, jaki ruch i gwar panował w tym pustym i głuchym dziś miejscu. Chociaż... Słyszysz pan?

Podszedł na palcach do małego otworu w ścianie i wyjrzał ostrożnie. Cofnął się i dał znak Wilderowi, żeby nic nie mówił.

Wyraźnie słyszeli miły i dźwięczny głos, do którego dołączyły się inne głosy, także kobiece. Dwaj mężczyźni na górze, bez słowa porozumienia, zajęli dogodne pozycje obserwacyjne. Sami niewidoczni, wyglądali przez otwory w murze pilnie nadstawiając uszu.

Z przykrością musimy uprzedzić czytelnika, że dwaj młodzi mężczyźni, którzy odegrają ważną rolę w dalszym ciągu naszego opowiadania, będą na początku następnego rozdziału podsłuchiwali rozmowę kilku dam — co jest rzeczą niezgodną z zasadami dobrego wychowania.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cztery kobiety przystały koło wieży. Jedna z nich była damą w podeszłym wieku, druga po czterdziestce, trzecia właśnie wchodziła w świat. Czwarta miała jakieś dwadzieścia pięć wiosen i w owych czasach, w tym kraju nie mogła być niczym innym jak sługą, słowem — była Murzynką.

— Moje dziecko — mówiła stara dama do najmłodszej — pozdrów ode mnie serdecznie twego ojca i przypomnij mu, że przyrzekł przysłać cię tutaj jeszcze raz, zanim rozstaniemy się na zawsze.

Dziewczyna podniosła oczy błyszczące od łez. W jej głosie zabrzmiała taka słodycz, że obu podsłuchującym aż serca zabiły z wrażenia.

— Droga ciociu — powiedziała. — Zrobię wszystko, żeby tatuś przyjechał tu ze mną na wiosnę.

— Poczciwa pani Wyllys — odparła ciotka spoglądając na trzecią niewiastę — na pewno ci w tym pomoże. Generał Grayson tyle jej zawdzięcza, że jej prośby też będą się liczyły. .

— Ojciec niczego jej nie odmówi! — zawołała dziewczyna. Najwyraźniej chciała naprawić wrażenie, jakie sprawiał protekcyjnalny ton ciotki.

— Z tak potężnym sojusznikiem jak pani Wyllys nasze przymierze będzie niezwyciężone — oświadczyła uparta staruszka ani o jotę nie zmieniając tonu.

— Tym bardziej, że klimat tej wyspy doskonale służy Gertrudzie — zapewniła pani Wyllys.

Powiedziała to z godnością, ale i z wielkim szacunkiem dla leciwej damy — jak przystało guwernantce jej bratanicy.

— Zwycięstwo jest już w naszych rękach, jak mawiał świętej pamięci mój mąż, admirał de Lacey — zawyrokowała staruszka. — Wyznawał on zasadę, że aby do czegoś dojść, trzeba tylko chcieć. Do czego dzięki tej zasadzie doszedł w życiu, o tym wszyscy doskonale wiemy.

— Najlepiej by było, gdyby tatuś sprzedał swoje plantacje w Karolinie i osiedlił się tutaj na stałe — wtrąciła Gertruda.

— Nie takie to łatwe, moje dziecko — odparła pani de Lacey. — Bardzo bym tego chciała, ale nie nalegam na brata. Najlepiej by było, gdybyśmy wszyscy wrócili do Anglii. Wiele zależy od tego, co poczniemy z naszym skarbem po tej stronie oceanu.

Mówiąc to pani de Lacey spojrzała wymownie na bratanicę. Ale Gertruda nie domyśliła się, że to o niej mowa. Wskazała palcem piękny statek stojący w porcie i powiedziała:

— A więc w tym więzieniu pani Wyllys i ja spędzimy cały miesiąc!

— Nie znosisz morza, moja droga — odparła pani Wyllys — i dlatego przesadzasz. Podróż stąd do Karoliny trwa krócej niż miesiąc.

— Ale po drodze trzeba minąć ten straszny Przylądek Henlopen z mieliznami i wrakami rozbitych statków z jednej strony, a Prądem Zatokowym z drugiej! — zawołała Gertruda.

— Przecież statki bezpiecznie się tamtędy przeprawiają co dzień, jeśli nie co godzinę — próbowała ją uspokoić pani Wyllys. I zwracając się do pani de Lacey spytała: — Pani chyba często wraz z mężem podróżowała okrętem z Karoliny do Newport?

— Nigdy — sucho odparła wdowa po admirale. — Morze mi nie służyło i dlatego zawsze podróżowałam łądem. Jednakże jako żona admirała poznałam wszelkie tajemnice morza i okrętów, pływających pojedynczo i w szyku bojowym. Pani o tym nie ma zielonego pojęcia!

Guwernantka nieznacznie się uśmiechnęła. Z góry wieży dał się słyszeć jakby chichot wiatru, a

w rzeczywistości był to stłumiony śmiech.

— Co to? — spytała Gertruda.

— Widocznie szczury jeszcze nie wyniosły się z młyna — spokojnie odparła pani Wyllys. — Musimy, droga Gertrudo, przygotować się do podróży. — Tak — zgodziła się pani do Lacey.

Za jej przewodem guwernantka, Gertruda i czarna służąca podążyły w stronę miasta.

Na wieży dwaj mężczyźni śmiali się serdecznie.

— Szczury jeszcze się stąd nie wyniosły — powiedział marynarz.

— Jakie? Morskie czy lądowe? — spytał adwokat.

— Jeden lądowy. Znów zaczęli się śmiać. Pierwszy spoważniał adwokat.

— Trzeba przyznać, że panna Gertruda jest osobką rzadko spotykanej urody — powiedział.

Wilder przestał się śmiać.

Przez chwilę obaj milczeli. Nagle adwokat podszedł do okna, wskazał statek na redzie i spytał: — Czy ten statek już przestał pana interesować?

— Bardzo mnie interesuje.

— Nie miałby pan ochoty wstąpić na jego pokład?

— Sam? Nie znam kapitana ani nikogo z załogi.

— Marynarze na pewno z otwartymi ramionami przyjmą kolegę. Wilder zmierzył adwokata długim spojrzeniem, zanim się odezwał:

— Dlaczego się pan tak dopytuje?

— Bo nigdy jeszcze tchórz nie zdobył serca pięknej kobiety, a nieśmiały marynarz nie dostał się na statek. Podobno pan szuka pracy. Gdybym był admirałem, zrobiłbym pana kapitanem okrętu flagowego. Może jestem zbyt wylewny wobec człowieka, którego zupełnie nie znam. Udzieliłem panu jednak rady jako adwokat i to bezinteresownie.

— Myślę, że pańska rada jest tym cenniejsza.

— Sąd o tym pozostawiam panu.

Adwokat podszedł do drabiny, odwrócił się do niej tyłem, postawił nogę na pierwszym szczeblu.

— Odpływam rufą do przodu — powiedział schodząc. — Żegnaj, przyjacielu, i nie zapomnij



szczurów z ruin wieży w Newport.

Gdy zszedł na dół, kopnął drabinę. Przewróciła się na ziemię. Adwokat spojrział w górę, pomachał ręką Wilderowi i odszedł zwawym krokiem.

Uwięziony w wieży młody marynarz, gdy ochłonął ze zdumienia, zaczął się zastanawiać, co począć. Skok groził złamaniem nogi. Wyjrzał przez otwór w murze. Adwokata nie było już widać.

Fid i Scypio właśnie skończyli się posilać. Pokrzepiony na ciele marynarz odczuł bardziej wzniosłą potrzebę pouczenia czarnego kolegi, jak należy się zachować w towarzystwie.

— Widzisz, mój Afrykański — wywodził — w towarzystwie trzeba mocno trzymać ster w rękach i nie wolno od razu odpływać pod pełnymi żaglami, jak to się tobie dzisiaj zdarzyło. Na mój rozum ten cały bosman lepiej sobie radzi w barze niż na wzburzonych falach oceanu. Jak ja zacząłem dmuchać w jego rufę, tyś powinien był zrefować mu żagle. I wielki wstyd by go spotkał na oczach wszystkich. Cóż to? Słyszysz? Zdaje się, że ktoś zarzyna wieprzka.

— O, Boże! — zawołał Murzyn. — To pan Harry wyciąga szyję z tej latarni morskiej i krzyczy, jakby siedział w dziurawej łodzi na pełnym morzu.

— Rzeczywiście, pięknie śpiewa!

Tę uwagę wypowiedział Fid już w biegu. Obaj co sił w nogach gnali w stronę wieży.

Harry kazał im podnieść drabinę. Gdy znalazł się na ziemi, zapytał, czy nie widzieli adwokata.

— Tego w długich butach? — spytał Fid.

— Właśnie.

— Rozwinął żagle i za tą stodołą wziął kurs na południowy wschód.

— Za mną! — zakomenderował Harry.

Pościg nie dał jednak żadnych rezultatów. Choć poszukiwania trwały do późnego wieczoru, niczego się nie dowiedzieli. Ludzie widzieli nieznanego, dziwił ich jego strój, postawa, śmiałe i badawcze spojrzenie. Ale co się z nim stało, lego nikt nie umiał powiedzieć.

Nieznanomy zniknął z miasta w sposób równie zagadkowy, jak się w nim znalazł.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zacni mieszkańcy miasta Newport wcześniej się kładli spać. O godzinie dziesiątej bramy wszystkich domów były zamknięte. Właściciel gospody „Pod Urwaną Kotwicą”, gdzie Dick Fid i bosman Nightingale o mało nie wzięli się za łby, zamykał swój zakład już o godzinie ósmej. Dość powiedzieć, że o dziesiątej wieczór — kiedy zaczyna się ten rozdział naszej powieści — miasto wyglądało jak wymarłe. Stróżów nocnych nie było, z tego prostego powodu, że nikt nie czyhał na

dobytek obywateli miasta.

Gdy więc o tak późnej jak na Newport porze Wilder i jego dwaj towarzysze wyszli na ulicę, nie zobaczyli żywej duszy. Widocznie dobrze znali cel nocnej wycieczki, bo pustymi, ciemnymi ulicami zmierzali prosto do portu. Prowadził Wilder, za nim kroczył Dick Fid, pochód zamykał Scypio Afrykański.

Przy brzegu kołysało się kilka łodzi. Wilder kazał swym kompanom wziąć jedną łódź i podpłynąć do miejsca, w którym mógł wygodnie wsiąść. Po chwili przybiły do brzegu dwie łodzie. W jednej siedział Dick, w drugiej Scypio.

— Cóż to znaczy? — spytał Wilder. — Jedna łódź nie wystarczy? Coś się wam poplątało.

— Nic się nikomu nie poplątało — odrzekł Dick odkładając wiosło. — Afrykański siedzi w wynajętej przez pana łódce. Ale to stary grat, na co już raz zwróciłem panu uwagę. Wybrałem więc coś znacznie lepszego.

— Doigrasz się kiedyś, gałganie, że cię przepędzę gdzie pieprz rośnie — ze złością powiedział Wilder. — Zabierają tę łódź, zostaw ją tam, gdzie była, i dobrze przycumuj.

— Gdzie pieprz rośnie! — powtórzył Fid. — Ładnie. A cóż byście, pan, panie Harry i Afrykański robili beze mnie? Od ilu to lat pływamy w trójkę?

— Czasem się zrywa przyjaźń, która trwała dwadzieścia lat.

— Wybacz pan, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli to prawda. Taki Afrykański jest tylko czarnuchem. Od dwudziestu czterech lat patrzę na jego zasmoloną gębę i zdążyłem się do niej przyzwyczać. Dziś jego buźka podoba mi się jak każda inna. Nie mówiąc już o tym, że w ciemną noc na morzu nie widać koloru skóry. A pan, panie Harry, jeszcze mi się nie znudził i nie rozstaniemy się z powodu jakiegoś głupstwa.

— Wobec tego wyrzeknij się zwyczaju naruszania cudzej własności.

— Ja się nikogo ani niczego tak łatwo nie wyrzekam... Niecierpliwy gest przerwał Fidowi, który jeszcze trochę pomruczał i wykonał polecenie Harry'ego. Po chwili wszyscy trzej siedzieli w wynajętej łódce. Harry kazał im płynąć w stronę portu i wiosłować jak najciszej.

Statek, którym pani Wyllys i uroczą Gertruda miały odpłynąć na drugi dzień rano do dalekiej Karoliny (o czym Wilder wiedział z podsłuchanej rozmowy), odbił od nabrzeża i rzucił kotwicę w basenie portowym. Kiedy mijali ten statek, Wilder w bladym blasku gwiazd przyjrzał mu się uważnie. Po chwili statek zmienił się w bezkształtną ciemną masę. Wilder przechylił głowę w bok i pogрузzył się w zadumie. Nawet gadatliwy Fid nie śmiał przerwać ciszy. Po długiej chwili Wilder ocknął się i nagle powiedział:

— To duży statek. W razie pościgu nieprędko dałby się dogonić.

— Pewnie — skwapliwie przytwierdził Fid. — Przy pomyślnym wietrze i pod pełnymi żaglami

będzie tak gwał, że nawet królewska fregata musiałaby dobrze się uwijać, gdyby chciała się do niego dobrać...

— Chłopcy — przerwał mu Wilder. — Nadeszła pora, byście się dowiedzieli, jakie są moje zamiary. Ponad dwadzieścia lat pływamy w trójkę. Byłem małym dzieckiem, kiedyś ty, Fid, przyniósł mi do kapitana twego statku. Zawdzięczam ci nie tylko życie. Dzięki twojej pomocy jestem oficerem marynarki. Tylko śmierć może nas rozdzielić. Ale trzeba wam wiedzieć, że chcę się zdecydować na krok bardzo niebezpieczny. Trudno byłoby mi rozstać się z wami, bo może nigdy więcej byśmy się nie zobaczyli. Niemniej, jeśli chcecie mi towarzyszyć, muszę was uprzedzić, że to przedsięwzięcie możemy wszyscy przypłacić życiem.

— Czy szykuje się jakaś dłuższa podróż lądem? — spytał Fid.

— Nie, wszystko odbędzie się na morzu.

— No to daj pan księgę swojego statku i pokaż, gdzie mam wymalować dwie skrzyżowane kotwice. Jak pan wie, to jest mój podpis i znaczy to samo co Ryszard Fid.

— Może jednak, gdy się dowiesz...

— Nic nie chcę wiedzieć. Nie pierwsza to nasza wspólna wyprawa. A ty, Afrykański, co powiesz? Zabierasz się z nami czy mamy cię wysadzić na ląd?

— Ja wszędzie pójdę za panem Harrym — krótko odparł Murzyn.

— Ani słowa więcej! — zakonkludował Fid. — Mów pan teraz, co mamy zrobić.

— Zostaliście uprzedzeni o niebezpieczeństwie, jakie nam grozi. A teraz proszę wiosłować w stronę tego statku na redzie.

Gdy się zbliżyli do celu, Wilder kazał im odłożyć wiosła. Chciał bowiem, kiedy łódź będzie wolno dryfowała w stronę statku, dokładnie mu się przyjrzeć, zanim odważy się wejść na pokład.

— Na pewno są przygotowani na gorące przyjęcie każdego gościa — szepnął Harry.

— Rączę, że znaczna część załogi śpi przy działach i że czuwa wzmocniona nocna wachta — odparł Fid.

— Szs, coś się tam dzieje na pokładzie.

— No pewnie. Kucharz rąbie drzewo, a kapitan kazał podać sobie whisky na dobranoc...

Krzyk ze statku zagłuszył słowa Fida. Był to krzyk tak straszny, jakby jakiś potwór morski wynurzył się z głębin i ryknął przeraźliwie. Nasi trzej marynarze domyślili się, że miał to być okrzyk „ahoj!” Widocznie już ich zauważono. Mimo że w pewnej odległości za nimi słyhać było plusk wiosła drugiej łodzi, Wilder odpowiedział na okrzyk.

— Co u diabła! — zawołał ten sam głos ze statku. — Ja cię nie znam. Gdzie jesteś?

— Tutaj, koło lewej burty, w cieniu — odparł Wilder.

— I co tam robisz?

— Rozbijam bałwany rufą — odrzekł Wilder po krótkim namyśle.

— Jakiegoś idiotę przyniosła tu fala — mruknął tamten. — Daj no pukawkę, zaraz grzeczniej będzie śpiewał.

— Stać! — odezwał się spokojny, ale stanowczy głos z drugiej strony statku. — Wszystko w porządku. Niech podpłyną do burty.

Pierwszy głos kazał im podpłynąć. Wilder dopiero teraz uświadomił sobie, że na statku czekali pewnie na tę drugą łódź i że pośpieszył się z odpowiedzią. Ale nie można już było się wycofać, a poza tym nie po to tutaj przybył, by w ostatniej chwili uciekać.

— Rozbijam bałwany rufą — mruczał Fid. — Nie była to najgrzeczniejsza odpowiedź. Swoją drogą nie powinni się o to obrazić. Gdyby jednak doszło z tego powodu do nieporozumienia, może pan liczyć na moje poparcie.

Wilder wszedł na pokład wśród głuchoj i przejmującej dreszczem ciszy. Noc była ciemna, ale tu i ówdzie mrugały gwiazdy i doświadczone oko marynarza mogło w ich blasku coś niecoś zobaczyć. Wilder szybko się rozejrzał. Poza mężczyzną w obszernym płaszczu, najprawdopodobniej oficerem, na pokładzie nie widać było żywej duszy. Baterie dział szczyrzyły lufy po obu stronach statku. Wildera zdziwiło, że nie widać nocnej wachty.

— Dziwi pana pewnie, że o tak późnej porze składam wizytę — powiedział.

— Czekaliśmy na pana wcześniej, to prawda — padła sucha odpowiedź.

— Czekali panowie?

— Oczywiście. Widziałem, jak pan, wraz ze swymi towarzyszami, którzy siedzą teraz w łodzi, przez pół dnia obserwował nasz statek z nabrzeża i starej wieży. Ta ciekawość mogła znaczyć tylko jedno: że się pan tutaj wybiera.

— I odgadł pan moje zamiary? — spytał Wilder czując, że obleciał go dreszcz.

Tamten roześmiał się.

— Słuchaj, kolego — powiedział. — Jesteś marynarzem, to widać. I myślałeś, że nie mamy lunet?

— Musicie, panowie, mieć poważne powody do tak bacznej obserwacji nieznajomych na lądzie.

— Hm, może czekamy na ładunek z głębi ładu... Myślę jednak, że wybrał się pan tutaj w ciemną noc nie po to, by sprawdzić wykaz naszego ładunku. Chce pan zobaczyć się z kapitanem?

— Myślałem, że to pan.

— Jeszcze tak wysoko nie awansowałem. Powiedz, kolego, płynąc tutaj minąłeś po drodze statek?

— Tak.

— Piękny stateczek. Słyszałem, że jest gotów do drogi.

— Wygląda na to. Sądząc z zanurzenia, jest już załadowany.

— Czym? — nagle spytał oficer.

— Tym, co figuruje w wykazie ładunku, tak mi się zdaje. Pański statek jest jeszcze lekki. Jeżeli macie wziąć ładunek w tym, porcie, postoiście tu jeszcze ładnych parę dni.

— Hm. Nie sądzę, żebyśmy zostali daleko w tyle za tamtym statkiem...

Oficer, jakby za dużo powiedział, szybko dodał:

— Na takich, jak ten, statkach niewolniczych, nie wozi się innego ładunku, jak pan wie, poza kajdanami i zapasem ryżu dla Murzynów, a resztę balastu stanowią działa i żarcie dla ich pysków.

— Czy zawsze statki niewolnicze są tak mocno uzbrojone?

— Różnie to bywa. Prawdę mówiąc, na afrykańskim brzegu siła idzie przed prawem. Dlatego właściciele naszego statku pewnie uważają, że nie powinno nam brakować na pokładzie dział i amunicji.

— To chyba dali wam także artylerzystów?

— A właśnie o tym zapomnieli.

Znów dał się słyszeć ten sam dziki okrzyk, który chwilę przedtem powitał łódź Wildera zbliżającą się do statku.

Z ciemności padła krótka odpowiedź, ale cicha, jakby ostrożna. Oficer, z którym Wilder odbył rozmowę, dość zresztą dwuznaczną, trochę się zmieszał. Zrobił gest, jakby chciał zaprowadzić gościa do kapitana, ale tuż przy burcie zachlupotała woda, widocznie łódź już podpłynęła do statku. Dał więc znak Wilderowi, żeby zaczekał, a sam podbiegł do trapu.

Dzięki temu młody marynarz mógł się swobodnie rozejrzeć po statku i zobaczyć, co się dzieje.

W głębokiej ciszy pięciu albo sześciu marynarzy atletycznej budowy wspięło się na pokład.

Szeptem porozumieli się krótko z oficerem, który najwidoczniej wysłuchał meldunku i wydał rozkazy. Ze szczytu grotmasztu spuszczone linę, po krótkiej chwili ładunek przywieziony przez łódź zawisł w powietrzu i wolno, ostrożnie został opuszczony na pokład. Chociaż takie wydarzenie nie było czymś niezwykłym na statku stojącym na redzie, podejrzliwy Wilder wyteżył wzrok. Czarna bryła ładunku, kiedy zawisła w powietrzu, przybrała jakby ludzkie kształty. Gdy w chwilę potem wylądowała na pokładzie, marynarze otoczyli ją i długo naradzali się po cichu, aż wreszcie dźwignęli ładunek i zniknęli z nim za masztami, łodziami i działami stłoczonymi na dziobie statku.

Wilder zauważył też, że wśród ciemności zalegających pokład pojawiły się czarne plamy, podobne z kształtu do ludzkich głów. Było ich około tuzina. Mogły to być bloki takielunku huśtające się w powietrzu, ale pojawiły się i zniknęły niemal równocześnie. Upewniło go to w przekonaniu, że ciekawość sprowadziła na pokład marynarzy ukrytych dotąd w głębi statku.

Wrócił oficer, z którym rozmawiał przed chwilą.

— Wie pan, jak trudno jest ściągnąć marynarzy z lądu, gdy statek ma odpłynąć — wyjaśnił.

— Macie panowie dość prosty sposób wciągania ich na pokład — odparł Wilder.

— Ma pan świetny wzrok. Ten chłopak się zbuntował. Ale nie bardzo, bo człowiek, który nie może mówić, siedzieć ani stać na własnych nogach, nie jest zdolny do buntu. Po prostu urznął się jak bela.

Roześmiał się, zadowolony, że tak dowcipnie wyjaśnił sprawę człowieka w worku.

— Ale pan stoi tyle czasu na pokładzie, a kapitan czeka na pana w swojej kajucie. Proszę za mną.

— Zaraz — odparł Wilder. — Czy nie wypadałoby uprzedzić kapitana, że chcę mu się przedstawić?

— Kapitan już wie. Cokolwiek zdarzy się na pokładzie, kapitan pierwszy się o tym dowiaduje. Proszę za mną.

Zatrzymali się przed drzwiami do kapitańskiej kajuty.

— Proszę zastukać dwa razy. Jeśli odpowie, może pan wejść.

Wilder zrobił, jak mu przykazał oficer. Pierwszego stukania nie usłyszano albo je zlekceważono. Dopiero gdy zastukał nieco mocniej, ze środka ktoś odpowiedział:

— Wejść!

Wilder otworzył drzwi i znalazł się w silnym świetle lampy — naprzeciw rzekomego adwokata w zielonym surducie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W kajucie kapitana z sufitu zwisała lampa z ciężkiego srebra. Przystosowana do jej obecnego przeznaczenia, zdradzała kształtem i kunsztowną robotą, że kiedyś wisiała przed kościelnym ołtarzem. Na pięknym, stylowym stole z mahoniu stały wielkie srebrne świeczniki, również kościelne. Pod ścianami ustawiono sofę nakrytą aksamitną kapą i kanapę obitą niebieskim jedwabiem. Obydwa te meble, wraz z licznymi poduszkami, świadczyły, że nawet azjatyckie kraje przyczyniły się do zbytowego urządzenia kapitańskiej kajuty. Poza tym było tam mnóstwo kryształów, luster, srebrnych naczyń, draperii, a każdy z tych przedmiotów był innego pochodzenia. Słowem, o doborze decydowała wartość rzeczy, może kaprys właściciela, a nie chęć zestrojenia ich w zgodną całość. Co zaś najdziwniejsze, obszerna kajuta mieściła ponadto cztery działa oraz cały arsenał broni: pistolety, pałasze, krótkie piki, siekiery — tak umieszczone, aby w każdej chwili można było po nie sięgnąć. Stojak z muszkietami otaczał maszt. Drzwi były wzmocnione potężnymi belkami, które najwidoczniej służyły do ich zabarykadowania.

Wszystko to świadczyło, że kajuta mogła się stać czymś w rodzaju twierdzy wewnątrz statku. W tym przekonaniu umocnił Wildera luk w podłodze, niewątpliwie prowadzący do kajut oficerskich i magazynu broni.

Gdy Wilder wszedł, nieznajomy w zielonym surducie wstał i popatrzył na niego z zadowoloną, nieco ironiczną, miną. Przez chwilę stali bez słowa, aż wreszcie rzekomy adwokat przerwał kłopotliwe milczenie.

— Czy można wiedzieć, czemu zawdzięcza ten statek pańską wizytę? — spytał.

— Zaproszeniu kapitana — z niemniejszą pewnością siebie odparł Wilder.

— Czy osobnik podający się za kapitana okazał panu kapitański patent? Słyszałem, że bez patentu nie można być dowódcą statku.

— A co się mówi na ten temat w wyższych uczelniach?

— Widzę, że trzeba mi było przyjąć pana w kapitańskim mundurze — z uśmiechem odparł nieznajomy. — W naszym, jak pan to nazywa, zawodzie — jest coś takiego, że marynarz od razu pozna marynarza, bez względu na to, w co się przebrał. Tak, panie Wilder — siadając wskazał gościowi krzesło — jestem, tak jak pan, marynarzem, i kapitanem tego pięknego statku. Zdaje się, że ten statek bardzo się panu spodobał. Muszę dodać, że zrobił pan na mnie jak najlepsze wrażenie, i chciałem zacieśnić naszą znajomość. Szuka pan pracy?

— W tak burzliwych czasach bezczynność nie przynosi nikomu zaszczytu.

— Niewątpliwie zanim się pan tu zjawił, zasięgnął pan informacji co do charakteru tego statku. Prawda?

— Mówią w Newport, że jest to statek niewolniczy.



— Tak mówią? Ci plotkarze z małych miasteczek wszystko wiedzą. Gdyby istniały dziś czarownice, pierwszą mógłby być oberżysta, drugą miejscowy lekarz, trzecią pleban. O czwarte miejsce spierałby się golibroda z krawcem. Roderick!

Kapitan lekko uderzył w chiński gong, który zwisał z belki sufitu, w zasięgu jego ręki. Z dołu wbiegł po schodkach chłopak.

— Czy łódź już wróciła? — spytał kapitan.

— Tak.

— I jak im poszło?

— Generał jest w swojej kajucie, panie kapitanie, i może złożyć panu raport.

— Niech przyjdzie do mnie.

Chłopiec zniknął w luku jak wąż, który się chowa w szczelinie ziemi, albo jak lis, dający nura do swej jamy. W kajucie zapanowała niczym niezakłócona cisza. Kapitan podparł głowę ręką i pogрузił się w zamyśleniu — zdawać się mogło, że zupełnie zapomniał o gościu. Dopiero pojawienie się trzeciej osoby przerwało milczenie.

Sztywny, nieruchomy korpus mężczyzny wolno wynurzył się z luku, podobnie jak w teatrze widma ukazują się spod ziemi.

— Na rozkaz, panie kapitanie — wybełkotała postać w luku ledwie poruszając wargami.

Wilder zadrżał z wrażenia. Istotnie, postać mogła zadziwić. Sądząc z twarzy, czerwonej i zoranej bruzdami, był to mężczyzna lat około pięćdziesięciu. Czaszkę miał łysą, tylko naokoło uszu rosły bujne kępy szpakowatych włosów, lśniących od pomady. Długą szyję otaczał czarny kołnierz. To, co było widać, ramiona, pierś i ręce, świadczyło, że mężczyzna jest raczej wysokiego wzrostu. Odziany był w strój na pół wojskowy, na pół błazeński.

Kapitan podniósł głowę i zawołał:

— A, Generał! Jest pan na posterunku. Dotarł pan do lądu?

— Tak jest.

— Znalazł miejsce i osobę?

— Tak.

— I co pan zrobił?

— Wykonałem rozkaz.

— To świetnie. Jest pan wzorowym wykonawcą rozkazów, Generale. I za to mam słabość do pana. Czy ta osoba protestowała?

— Miał zakneblowane usta.

— Jest to niezawodny sposób na krzykaczy. Jak zwykle, Generale, zasłużył pan na pochwałę.

— Wobec tego proszę o nagrodę.

— Ale jaką? Nadałem panu najwyższy stopień, jaki mogłem nadać. Może pan jeszcze dostać tytuł szlachecki.

— Ba! Moi ludzie nie mają mundurów!

— Dostaną. Mundury gwardii królewskiej zbledną w blasku, jaki będzie bił od pańskich chłopaków. Dobranoc, Generale.

Generał zniknął tak samo, jak się pojawił.

Kapitał uznał, że dziwna rozmowa, której Wilder był świadkiem, wymaga wyjaśnienia.

— Widzi pan — powiedział — mój przyjaciel dowodzi oddziałem piechoty morskiej, jakbyśmy powiedzieli, gdyby to był okręt wojenny. Awansując szczebel po szczeblu, od stopnia szeregowca, dosłużył się szlif generalskich. Pewnie od razu pan spostrzegł, że to żołdak.

— Przyznam, że nie wygląda na marynarza. Czy wszystkie statki niewolnicze są tak mocno uzbrojone?

— Chciałby pan dowiedzieć się o nas czegoś więcej, zanim dobijemy interesu? — z uśmiechem odparł kapitan.

Otworzył stojącą na stole kasetkę, wyjął z niej pergamin i z obojętną miną podał go Wilderowi.

— Ten dokument stwierdza — powiedział patrząc spod oka na gościa — że wykonując nasze pokojowe zadania mamy prawo walczyć w imieniu króla.

— Ale ten dokument został wystawiony na bryg .

— A, rzeczywiście. Pomyliłem się. O, ten dokument bardziej panu trafi do przekonania.

— Tutaj jest mowa o statku „Siedem Sióstr”. A poza tym ma pan więcej niż dziesięć dział i większego kalibru!

— Ach! Pedant z kolegi, jakby pan był adwokatem, a ja ciemnym marynarzem. Chyba słyszał pan o tym, że wszelkie dokumenty mogą być rozciągliwie rozumiane — oschle wyjaśnił kapitan i rzucił pergamin na stos dokumentów.

Wstał i zaczął szybkim krokiem przemierzać kajutę.

— Nie muszę chyba uprzedzać pana, panie Wilder — oświadczył — że nasz zawód jest niebezpieczny. Niektórzy nawet mówią, że nielegalny. Ale nie będziemy się nad tym rozwodzili, bo nie lubię pustych słów. Pan przybył tu w określonym celu, prawda?

— Szukam pracy.

— Na pewno dobrze się pan przedtem zastanowił i doskonale wie, o co chodzi. Nie traćmy więc czasu, mówmy wprost, jak przystało marynarzom. Od razu muszę wyznać, że jest mi pan potrzebny. Jeszcze miesiąc temu kajutę pierwszego oficera na tym statku zajmował pewien dzielny i zdolny człowiek, starszy, ale może nie lepszy od pana. Ale już biedaka rybki zjadły.

— Utopił się?

— Gdzie tam! Zginął w potyczce z królewskim okrętem.

— Królewskim okrętem!?

— Poza naszym Jerzym II są jeszcze inni królowie. Może tamten okręt płynął pod duńską banderą? Dość na tym, że zginął oficer, który mógł objąć po mnie stanowisko kapitana. Łatwiej przyjdzie mi umrzeć, jeśli będę miał pewność, że zostawiam dowództwo w godnych rękach.

— Sądzę, że właściciele statku mianowali pańskiego następcę na wypadek, gdyby panu zdarzyło się coś złego.

— Właściciele statku są na tyle rozsądni, że się do tych spraw nie wtrącają.

— I zdaje się, na wszystko panu pozwalają. Widzę, że bander ma pan pod dostatkiem. Czy właściciele statku pozwalają panu pływać pod każdą banderą, jaka panu wpadnie w oko?

Ich spojrzenia się spotkały. Kapitan wyjął z na pół otwartej skrzyni flagę i rozwinął ją na podłodze.

— Oto lilia francuska — powiedział. — Trochę zbrudzona przez nazbyt częste używanie. Tu ma pan — wyciągnął drugą flagę — Holendra, człek to prosty, rzeczowy, pospolity. Nie przepadam za tą flagą. A oto zarozumiały mieszczuch, wolne miasto Hamburg. Tutaj widzi pan turecki półksiężyc. A oto jest złoty, wspaniały Hiszpan i zaraz po nim idzie, mniej już wspaniały, Portugalczyk. Ten krucyfiks, który pan tam widzi, pochodzi właśnie z portugalskiej kolonii, Brazylii.

Wilder odwrócił się i spojrzał na krucyfiks wiszący na ścianie. Zauważył, że kapitan znów baczenie mu się przygląda. Uśmiechnął się, bo przyszło mu na myśl, że kapitan przygotował w swej kajucie wystawę różnych bogactw specjalnie dla niego. Widocznie chciał go olśnić tym przepychem.

Kapitan odrzucił na bok z tuzin zwiniętych flag, które nie wydały mu się godne uwagi.

— O! Oto klucze do królestwa niebieskiego! — zawołał. — Pod tą banderą najlepiej byłoby

umrzeć. Właśnie z nią na maszcie spotkałem się pewnego razu burta w burtę z jednym groźnym korsarzem, z Algieru.

— Jak to!?! Walczył pan pod sztandarem Kościoła?

— Z czysto religijnych pobudek, śmiem twierdzić. Wiedziałem, że muzułmanin bardzo się zdziwi, gdy na jego widok nie padniemy na kolana i nie oddamy się pod opiekę niebios. Poczęstowaliśmy go salwą, a potem drugą. I nabrał pewności, że sam Allah życzy sobie, by się poddał. Gdyśmy skoczyli na (pokład jego okrętu, musiał uważać, że przyszła kryśka na Mahometa i jego dzieci. Przyznaję, że sam go zachęciłem do walki, pokazując mu na maszcie pokojowe klucze do królestwa niebieskiego. Wiedziałem bowiem, iż tępa pogańska duszyczka złakomi się na chrześcijańskie bezbronne skarby na moim statku.

— Ale kiedy przyznał się do błędu, puścił go pan wolno?

— Hm, owszem, i pobłogosławiłem mu na dalszą drogę. Trochę z nim pohandlowałem. Gdyśmy się rozstawali, siedział na pokładzie i palił fajkę. Morze było wzburzone, maszty leżały, przez jakieś sześć dziur w kadłubie lała się woda szybciej, niż marynarze pompowali. Ale ten poganin był szczęśliwy, bo wiedział, że to jest zrządzenie Allacha.

— Przed chwilą odrzucił pan jakieś flagi. Co to było?

— Angielskie. Jest ich wiele, jakby wszyscy poddam jednego króla nie mogli pływać pod tą samą banderą. Proszę, to jest flaga Lorda Pierwszego Admirala, a to świętego Jerzego, indyjska, o, sztandar królewski.

— Sztandar królewski!

— Czemu nie? Czy kapitan nie jest królem na statku? Podniosłem go na oczach pewnego admirała.

— Tego już nie rozumiem! — zawołał młody marynarz ze zgrozą, jakby usłyszał o świętokradztwie.

— Lubię drażnić tych łajdaków — z uśmiechem odparł kapitan. — Są wobec mnie bezsilni. Nieraz próbowali dać mi nauczkę, ale im się to nie udało.

— Której bandery używa pan najczęściej? — spytał Wilder po chwili milczenia.

— Na morzu jestem kapryśny jak dziewczyna przy wyborze wstążek. Czasem w ciągu jednego dnia dwanaście razy zmieniam banderę. Potem wchodzi porządny statek handlowy do portu i kapitan opowiada, że spotkał Holendra, a drugi kapitan, człek równie rzetelny, mówi, że był to Duńczyk. I obaj mają rację. Co innego jednak, kiedy dochodzi do bitwy na morzu. Czasem ulegam kaprysom, ale jest jedna bandera, do której najbardziej się przywiązałem.

— Jaka?

Kapitan położył rękę na zwiniętej fladze, zajrzał Wilderowi głęboko w oczy i nagłym ruchem ją rozwinął.

— Oto ona — powiedział.

— Ależ to jest korsarska bandera!

— Tak, czerwona! Wolę ją niż czarną flagę z trupią czaszką, którą można straszyć dzieci. Moja bandera nikogo nie straszy. Mówi tylko: „Oto kolor krwi, oto cena, za którą można mnie kupić”,

— Panie Wilder — dodał kapitan z wielką powagą. — Chyba dobrze się rozumiemy. Teraz nie muszę panu mówić, kim jestem.

— Rzeczywiście, wiem już wszystko. Jest pan...

— Czerwonym Korsarzem — dokończył kapitan widząc, że Wilder się zawahał. — I mam nadzieję, że ta rozmowa jest początkiem naszej serdecznej i trwałej przyjaźni. Nie umiem powiedzieć, dlaczego od pierwszego wejrzenia tak bardzo mi się pan spodobał. W każdym razie przyjmuję pana z otwartymi ramionami.

Wilder wybierając się na ten statek musiał domyślać się, z kim będzie miał do czynienia, a jednak to, co teraz usłyszał, bardzo go zmieszało. Sława Czerwonego Korsarza, jego niezwykła odwaga i postęпки, okrutne i szlachetne na przemian, o których tyle się nasłuchał,

sprawiły, że choć był na wszystko przygotowany, nie bardzo wiedział, co począć. W końcu jednak powiedział:

— Trafnie ocenił pan moje zamiary. Przyznaję, że szukałem właśnie tego statku. Przyjmuję pańską propozycję. Postaram się jak najlepiej wykonywać swe obowiązki na stanowisku, jakie mi, pan wyznaczy.

— Jest pan moim zastępcą. Jutro rano ogłoszę to załodze. Jeśli się na panu nie zawiodę, w razie mej śmierci przejmie pan dowództwo statku. Moje zaufanie może wydać się panu czymś dziwnym. Ale nie mogę tak jak król angielski ogłaszać zaciągu na ten statek przy biciu w bęben na ulicach metropolii. A poza tym nie znalazłbym się na ludziach, gdyby mojej szczerości i zaufania nie odpłacił pan serdecznym przywiązaniem.

— Może pan na mnie liczyć! — zawołał Wilder w nagłym przypiływie wzruszenia.

Korsarz nieznacznie się uśmiechnął.

— Aby nie uważał pan swego kapitana za człowieka zbyt pochopnego, zmuszę wyznać, że spotkaliśmy się wcześniej, niż się panu zdaje.

— To niemożliwe!

— Nie minęła jeszcze doba, jak był pan w Bostonie...

— Owszem, ale...

— Zaraz przypomni pan sobie więcej. Z nadmierną ciekawością wypytywał pan w Bostonie pewnego idiotę, który opowiadał, żeśmy ograbili go z żywności i żagli. Bezczelny kłamca! Niech nie wchodzi mi w drogę, bo dostanie taką nauczkę, że odechce mu się zmyślać. Czy mu się zdaje, że dla takiej zdobyczy chciałoby mi się wychodzić na morze?

— A więc to wszystko nieprawda?

— Tak samo jak wiele innych rzeczy, które pan o mnie słyszał. Proszę dobrze mi się przypatrzeć. Gdzie są rogi, gdzie mam diable kopyto? Czy czuje pan zapach siarki? Ale dosyć tych głupstw. Faktem jest, że mi się pan spodobał.

Świeżo upieczony korsarz skinął głową, trochę zmieszany tym komplementem.

— Skoro się dogadaliśmy — powiedział — nie będę teraz zabierał panu czasu i pożegnam się, a do służby zgłoszę się jutro rano.

— Pożegnam się? — powtórzył Czerwony Korsarz i nagle przestał spacerować po kajucie.

Spojrzał przenikliwie na Wildera.

— Moi oficerowie nie opuszczają statku na noc — oświadczył. — Marynarz winien kochać swój okręt i nigdy tnie nocować na lądzie, chyba że okoliczności do tego go zmuszą.

— Bądźmy szczerzy — szybko odparł Wilder. — Jeżeli potrzebny jest panu na statku niewolnik, gotów jestem zaraz zerwać naszą umowę.

— Hm. Podziwiam pański temperament więcej niż pańską rozwagę. Znajdzie pan we mnie oddanego przyjaciela, któremu niemiłe będą rozstania, nawet na krótko. Na statku jest wszystko. Najbardziej wyszukane potrawy i trunki, książki do czytania, dzieła sztuki, bogactwo.

— Bez wolności wszystko to nic nie jest warte — chłodno odparł Wilder..

— O jakiej wolności pan mówi? Nie sądzę, abyś mój młodzieńcze, chciał nadużywać zaufania, jakim cię obdarzyłem. Może zbyt pochopnie.

— Muszę wrócić na ląd. Choćby po to, by się upewnić, że nie jestem niewolnikiem i cieszę się pańskim zaufaniem.

— To jest szlachetny odruch albo niecny podstęp — odparł po chwili namysłu Korsarz. — Chcę wierzyć w pańskie szlachetne pobudki. Proszę mi przyrzec, że w czasie pobytu w Newport nikomu nie powie pan o tym, czego się pan tu dowiedział.

— Gotów jestem przysiąc.

— Na ten krzyż z diamentami? — Korsarz parsknął śmiechem. — Nie, mój panie. Przysięgi

składają ci, którzy nie umieją dotrzymać zwykłego słowa. Wystarczy mi pańskie przyrzeczenie.

— Przyrzekam, że nikomu w Newport nie powiem, czym jest ten statek...

— Ani słowa więcej. To wystarczy. Za godzinę odpłynie pan na ląd. Przedtem zapozna się pan z warunkami umowy i podpisze ją. Roderick!

Korsarz trącił palcem gong. Z kajuty na dole wbiegł po schodkach ten sam chłopak co przedtem.

— Roderick! To jest mój pierwszy oficer i mój przyjaciel. Czy zjadłby pan coś, poruczniku? Roderick poda panu wszystko, na co tylko miałby pan ochotę.

— Dziękuję, nie jestem głodny.

— W takim razie zechce pan pójść za tym chłopcem. Zaprowadzi pana do jadalni na dole i da panu regulamin. W ciągu godziny przeczyta go pan dokładnie. Wtedy znów się zobaczymy. Roderick, poświęć panu porucznikowi. Chociaż pan, panie Wilder, umie zejść i bez drabiny. Gdyby było inaczej, nie miałbym przyjemności spotkać się z panem tutaj.

Wilder przypomniał sobie więź i zmarszczył czoło. Korsarz zrobił krok w jego stronę.

— Bardzo pana przepraszam za tamto. Choć uważałem pana już wtedy za swojego człowieka, zwykła ostrożność nakazywała mi odejść bez niczyjej asysty...

Wilder odwrócił się do Korsarza i zrobił gest, który oznaczał, że nie żywi do niego urazy.

Uśmiechnęli się obaj. Wilder zszedł po trapie za chłopcem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czerwony Korsarz został sam. Odczekał chwilę i znów lekko stuknął palcem w gong. Zjawił się chłopiec.

— Roderick.

— Słucham.

— Dałeś mu regulamin?

— Tak jest.

— Czyta?

— Tak, czyta.

— To dobrze. Chciałbym pomówić z Generałem. A ty pewnie już jesteś zmęczony. Dobranoc. Poproś Generała na naradę i idź spać. Dobranoc.



Roderick uklonił się i zszedł na dół.

Generał zjawił się w podobny jak przedtem sposób, tylko tym razem ukazał się w całej swej postaci. Był wysoki, trzymał się prosto, w ruchach, niepozbawionych wdzięku, trochę przypominał marionetkę. Sztywno, po wojskowemu skłonił się Korsarzowi i bez słowa usiadł na krześle.

Korsarz lekko skinął mu głową i przez dłuższą chwilę milczał, jakby pogrążył się w zamyśleniu. Wreszcie powiedział.

— Generale, kampania nie jest jeszcze skończona.

— Cóż nam zostało? — spytał Generał. — Bitwa wygrana, nieprzyjaciel wzięty do niewoli.

— Tak, wykonał pan. chwalebnie swoje zadanie, ale ja mam jeszcze dosyć dużo roboty. Widział pan tego młodzika w mesie?

— Tak jest.

— Jak się panu spodobał?

— Marynarz jak marynarz.

— To znaczy nie spodobał się panu.

— Lubię dyscyplinę.

— Zmieni pan o nim zdanie, jak go pan ujrzy na pokładzie. Zresztą zobaczymy. Chciałem pana jeszcze o coś poprosić.

— Późno się zrobiło.

— Chciałem poprosić, ale wydam panu rozkaz.

— Tak jest.

— Musimy być bardzo ostrożni, bo, jak pan wie...

— Czekam na rozkaz!

Korsarz zacisnął zęby, pogardliwy uśmiech pojawił się na jego ustach.

— W skifie przy burcie statku znajdzie pan dwóch marynarzy. Jeden jest biały, drugi Murzyn. Sprowadzi ich pan do którejś z kajut na dziobie i spije do nieprzytomności.

— Rozkaz.

Generał wstał i wielkimi krokami pomaszerował w stronę drzwi.

— Jeszcze słowo! — zawołał Korsarz. — Kim pan się posłuży?

— Nightingale to najmocniejsza głowa na statku, jeśli nie liczyć mojej.

— Nightingale już sobie nie pożałował. Posłałem go na ląd, żeby się rozejrzał za marynarzami bez pracy, którzy mieliby ochotę zaciągnąć się na ten statek. I spotkałem go w gospodzie. Obracał jęzorem jak adwokat, który od obu stron wziął pieniądze. Na dobitkę pokłócił się z marynarzem, który mógł się nam nadać, i nie jest wykluczone, że doszło między nimi do bójki.

— W takim razie sam ruszę do boju — oświadczył Generał.

Korsarz przyjaźnie skinął głową.

— Generale — powiedział — trzeba jeszcze coś zrobić z jeńcem.

— Jeńca też mam ululać?

— Broń Boże! Niech go tu przyprowadzą.

— Rozkaz! — służbiście krzyknął Generał i wyszedł.

W minutę później dwóch barczystych marynarzy wniosło jakąś ludzką postać. Posadzili ją na krześle i bez słowa wyszli.

— Witam, zacny panie Hektorze Homespun! — z uśmiechem powiedział Korsarz.

Wystraszony krawiec wodził błędnym wzrokiem po otaczających go bogactwach i groźnych narzędziach wojny i raz po raz spoglądał spod oka na gospodarza.

— Witam, mówię, panie Hektorze Homespun — powtórzył Korsarz. Krawiec nagle odzyskał mowę i płaczącym głosem zawołał:

— Niechaj Bóg Wszechmocny zlituje się nad nieszczęsnym ojcem siedmiorga dzieci! Nie obłowisz się, waleczny piracie, na uczciwym rzemieślniku, który od rana do nocy ciężko pracuje, skulony nad swoim warsztatem...

— Oto słowa niegodne żołnierza, co bił się na pięciu krwawych wojnach i za wierność monarsze czeka na szlachecki tytuł — przerwał mu Korsarz.

Wziął ze stołu szpicrutę i lekko poklepując nią krawca po ramieniu, jakby był czarnoksiężnikiem i chciał go w ten sposób odczarować, mówił dalej:

— Głowa do góry, wierny królowi obywatelu! Los się do ciebie uśmiechnął. Zaledwie parę godzin temu skarżyłeś się, że nie masz klientów z tego statku. Teraz będziesz mógł obszyć całą załogę.

— Och, zacny i wspaniałomyślny korsarzu! — zawołał Homespun odzyskując płynność

wymowy, z której był znany w mieście i okolicy. — Jestem nieszczęsnym człowiekiem, ugrzązłem po szyję w nędzy. Moje życie było jednym pasmem udręki i ciężkich doświadczeń. Pięć krwawych wojen...

— Dostyc. Marynarz musi mieć co włożyć na siebie, tak jak pleban nie obejdzie się bez sutanny. Za każdy ruch igły będziesz sownie opłacony. Patrz!

Dotknął palcem sprężyny ukrytej szuflady, która natychmiast się otwarła. Oczom krawca ukazał się stos złotych monet z całego świata.

— Jak widzisz, stać nas na to, by opłacić tych, którzy wiernie nam służą — dodał.

Oślupiały krawiec przez chwilę pożerał wzrokiem bogactwa, po czym zapytał?

— Co omam zrobić, wielki marynarzu, bym mógł uszczknąć tych bogactw?

— To, co robisz codziennie na ładzie, mój przyjacielu. Kroić i szyc. Może z czasem zobaczymy, czy masz talent do szycia kostiumów na bale maskowe.

— Jest to wymysł szatana, który sprowadza ludzi na grzeszną drogę światowych uciech! — zawołał krawiec. — Muszę, zacny kapitanie, pamiętać o mej żonie, Desire. Stara to kobieta i trudna w pożyciu, ale przecież moja prawowita małżonka i matka dzieciom.

— Niczego jej nie zbraknie. Otwarliśmy tutaj przytułek dla nieszczęśliwych mężów. Ci, którzy nie mają nic do gadania w domu, na tym statku szukają schronienia. Pan będzie siódmym takim mężem. Opiekujemy się ich rodzinami w nam tylko znany sposób. I wszyscy są zadowoleni, Nie jest to zresztą jedyna nasza akcja dobroczynna.

— Gdybym, mój czcigodny dobrodzieju, mógł uzyskać skromną zaliczkę, żona by się uspokoiła. Znam ją aż nadto dobrze i wiem, że będzie tak długo szukała, aż mnie odnajdzie. A przedtem narobi okropnego krzyku w całym mieście.

Korsarz nie obawiał się, aby obrotny język pani majstrowej mógł zakłócić spokój na statku. Ale był w doskonałym humorze i chciał pomóc ofierze pięciu wojen. Wziął więc garść monet z szuflady i wyciągnął rękę do Homespuna.

— Jeżeli zgodzi się pan pracować na statku i złoży przysięgę, płacę z góry.

— Nie wódz mnie na pokuszenie! — wybełkotał krawiec. — Bohaterski korsarzu, strasznie się boję karzącej ręki sprawiedliwości! Gdyby się panu zdarzyło nieszczęście, gdyby, dajmy na to, zrobiła panu krzywdę królewska fregata albo burza wyrzuciła statek na brzeg, wtedy i ja jako członek załogi mógłbym ogromnie na tym ucierpieć. Ale jestem gotów świadczyć panu usługi niby pod przymusem, a właściwie za cichą zgodą. Liczę na pańską wspaniałomyślność i udział w pańskich, na pewno legalnych, zarobkach.

— A to krętacz! Na pewno jeszcze żadnemu klientowi nie oddał jak należy resztek materiału — mruknął Korsarz i uderzył w gong tak, że usłyszano go zapewne na całym statku. W pięciu drzwiach

kajuty ukazało się pięć głów marynarzy. Jeden z nich zapytał czego kapitan sobie życzy.

— Zabrać go do hamaka! — padł krótki rozkaz.

Krawiec zamarł ze strachu. Pięć par rąk chwyciło go i uniosło w górę.

— Chwileczkę! — zawołał Homespun. — Jedno słowo. Możemy się dogadać tak, żeby wilk był syty i owca cała! Panie komandorze! Gdy umrę, chciałbym zostawić po sobie uczciwe imię, ale chcę także dożyć spokojnej starości...

— Brać go! — huknął Korsarz.

Homespun zniknął, jak na skinienie czarodziejskiej różdżki. Czerwony Korsarz znów został sam. W kajucie było tak cicho jak w pustym kościele. Widocznie na statku panowała surowa dyscyplina, choć jego załoga składała się na pewno z awanturników wszelkiej maści. Co prawda, czasem z głębi statku dobiegał stłumiony głos pijanego marynarza próbującego śpiewać, co sprawiało wrażenie, jakby ktoś uczył się grać na myśliwskim rogu. Ale po chwili i te odgłosy zamilkły i statek pogroził się w głębokiej ciszy.

Korsarz usłyszał, że ktoś po ciemku szuka ręką klamki z drugiej strony drzwi. Wszedł Generał.

Od razu można było poznać, że dzielny wojak spełnił rozkaz, i to z niemałym osobistym poświęceniem. Korsarz wstał i zażądał raportu.

— Biały jest tak pijany, że leży na pokładzie i oburącz trzyma się masztu — zameldował Generał. — Ale Murzyn to albo czarownik, albo ma łeb z żelaza.

— Mam nadzieję, że to pana nie zniechęciło.

— Wolałbym pić z górą lodową. Trzymałem się, jak długo mogłem.

Korsarz zmierzył Generała spojrzeniem i stwierdził, że istotnie jego podwładny ledwie się trzyma na nogach.

— Doskonale — powiedział. — Pójdziemy teraz spać.

Generał wyprostował się i miarowym krokiem pomaszerował w stronę schodków, co się nie obyło jednak bez paru potknięć i gwałtownych odchyień od obranego kursu. Korsarz udał, że nic nie widzi, i Generał zszedł po schodkach w przekonaniu, że nie przyniósł ujmy swej wysokiej randze.

Korsarz spojrział na zegarek. Odczekał, aż Generał uporał się ze schodkami, po czym sam też zszedł na dół.

Pomieszczenia na niższym pokładzie statku, choć mniej okazałe niż kajuta kapitana, były bardzo schludne i wygodne. Z tyłu mieściły się kajuty służby, z których było przejście do mesy oficerskiej. Po obu jej stronach znajdowały się sypialnie kapitana i pierwszego oficera, a dalej, bliżej przodu, kajuty pozostałych oficerów. Przylegało do nich pomieszczenie dla straży pod dowództwem

Generała, które stanowiło barierę między załogą a dowództwem statku.

Rozkład pomieszczeń „Czerwonego Korsarza” niewiele się różnił od wnętrza wojennego okrętu tego samego typu, tylko że ściany oddzielające kajuty od części statku zajmowanej przez załogę były znacznie grubsze niż zwykle, a poza tym kapitan miał pod ręką haubicę do wewnętrznego, jak to mówią lekarze, użytku. Niezwykle mocne drzwi można było w każdej chwili zabarykadować. Z belek zwisały i stały pod ścianami muszkiety, garłacze, pistolety, pałasze, krótkie piki — w takiej ilości, że nie mogły służyć tylko dla ozdoby. Wszystko to wskazywało, że oficerowie statku w razie buntu załogi jej liczebnej przewadze mogli przeciwstawić potężną siłę oręża.

W mesie oficerskiej, zwanej również salonem, Korsarz zastał świeżo mianowanego pierwszego oficera. Wilder siedział w kącie i pilnie czytał regulamin okrętowy.

— Pewnie nasze prawa wydają się panu dosyć surowe — zagadnął poufałym tonem.

Wilder wstał na znak szacunku dla przełożonego.

— Nie mam nic przeciw dyscyplinie — odparł — jeżeli nie pozostaje na papierze. Ale tak surowego regulaminu nie spotkałem nawet...

— Gdzie? — spytał Korsarz widząc, że Wilder się zawahał.

— Nawet w królewskiej marynarce — młody porucznik lekko się przy tym zaczerwienił. — Nie wiem, czy to się panu spodoba, że służyłem na królewskich okrętach.

— Ja w tej samej służbie uczyłem się marynarskiego rzemiosła.

— Na jakim okręcie?

— Na niejednym — chłodno odparł Korsarz. — Wracając zaś do regulaminu, kapitan, fetory nie może odwołać się do żadnego sądu na lądzie ani liczyć na pomoc bratniej fregaty, musi skupiać w swych rękach całą władzę.

— Istotnie, nic nie ogranicza pańskiej władzy na tym statku — przyznał Wilder uśmiechając się nieco ironicznie.

— Mam nadzieję, że nie będzie pan miał okazji stwierdzić, że nadużywam tej nieograniczonej władzy — odparł Korsarz udając, że nie zauważył uśmiechu Wildera. — Ale poznał pan już regulamin, proszę wracać na ląd.

Młody porucznik podziękował skinieniem głowy.

Kapitan przeprosił za to, że z uwagi na spóźnioną porę i względy ostrożności nie może wysłać go na ląd z honorami przysługującymi pierwszemu oficerowi.

— Skif stoi przy burcie i pańscy dwaj marynarze szybko odwiozą pana na ląd. Żebym nie zapomniał: czy oni też są objęci, naszą umową?

— Od dzieciństwa nie rozstawałem się z nimi.

— Dosyć osobliwa to przyjaźń jak na człowieka pańskiego stanu.

— Owszem — spokojnie odparł Wilder. — Ale wszyscy trzej jesteśmy marynarzami, co zaciera różnice jakie mogą nas dzielić. Skorzystam z okazji i powiem im, że będą służyć pod pańskimi rozkazami.

Wilder wyszedł na pokład. Korsarz podążył jego śladem i niezauważony stanął w cieniu masztu.

Pogoda się nie zmieniła. Było cicho i ciemno. Po pokładzie spacerował ten sam osobnik w płaszczu, który przedtem przyjął Wildera. Do niego też zwrócił się nasz młody porucznik oświadczając, że chce wrócić na ląd.

Tamten wysłuchał go z szacunkiem, co świadczyło, że już wie o nominacji.

— Pan wie — odparł — że nikt, bez względu na rangę, nie ma prawa opuścić statku o tej porze bez zgody kapitana.

Odpowiedź była uprzejma, ale stanowcza.

— Wiem o tym — powiedział Wilder. — I oświadczam panu, że mam zezwolenie kapitana. Popłynę moją łodzią.

Osobnik w płaszczu dostrzegł koło masztu kapitana, który musiał słyszeć ich rozmowę. Wobec tego, że kapitan nie zaprzeczył słowom Wildera ani nie dał znaku, że należy go zatrzymać, oficer wskazał Wilderowi miejsce, gdzie mógł znaleźć łódź.

Wilder podszedł do burty.

— Zniknęli! — krzyknął i cofnął się, zdumiony tym odkryciem.

— Czy łotry uciekli? — spytał ten w płaszczu.

— Nie uciekli, mój panie, i nie są łotrami. Na pewno znajdują się na statku i muszą się odnaleźć!

Osobnik w płaszczu zaczekał chwilę, żeby sprawdzić, co na ostry ton młodego człowieka powie kapitan. Ale kapitan milczał. Wobec czego osobnik powiedział:

— Pójdę ich poszukać.

I zniknął w mroku.

Z cienia wynurzyła się sylwetka Korsarza.

— Piękny statek, prawda? — zapytał. — Nazwałem go „Delfin”. Pruje fale podobnie jak delfin i jest nie mniej kolorowy niż ta ryba.

— Czy zbudowano go na pańskie zamówienie?

— Mało jest statków poniżej sześciuset ton wyporności zawijających do portów po tej stronie Atlantyku, o których nie mógłbym powiedzieć, że zostały zbudowane po to, abym ja się na nich bogacił.

Korsarz uśmiechnął się i mówił dalej:

— Ten statek został wybudowany dla Jego Królewskiej Mości. Potem jednak zmienił właścicieli i nastąpił też pewien zwrot w jego życiu. Jak i dlaczego to się stało — za dużo by mówić. Dokonałem pewnych ulepszeń i teraz statek doskonale się nadaje do zadań, jakim służy.

— Z tego by wynikało, że czasem zawija pan do portów. — Jak będzie pan miał czas, może zainteresuje pana mój tajny dziennik — wymijająco odparł Korsarz.

— A co pan robi, jak statek zostanie uszkodzony w czasie burzy lub ucierpi w bitwie na morzu?

— Jakoś sobie radzimy.

Wilder zrozumiał, że Korsarz nie darzy go jeszcze pełnym zaufaniem, i zamilkł.

Wrócił oficer. Przyprowadził tylko Murzyna. W paru słowach wyjaśnił, w jakim stanie znajduje się Fid.

Wilder nie podejrzewał podstępu.

— Zna pan marynarzy, panie kapitanie — powiedział. — Mam więc nadzieję, że mu pan wybaczy. Dick Fid jest świetnym marynarzem, ale bardzo lubi towarzystwo i z każdym chętnie wypije.

— Całe szczęście, że jeden pański wioślarz dobrze się trzyma na nogach — beztróskim tonem odparł Korsarz.

— Sam sobie poradzę. Nie chciałbym, żeby moi chłopcy się rozłączyli. Jeśli pan kapitan „pozwoli, Murzyn przenocuje na statku.

— Jak pan woli. Po ostatniej potyczce mamy dość wolnych hamaków.

Wilder kazał Scypionowi zaopiekować się Dickiem. Gdy odpływał łodzią, ujrzał na pokładzie sylwetkę kapitana. Najwidoczniej Czerwonego Korsarza żywo interesował każdy ruch świeżo upieczonego pierwszego oficera.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Ledwie słońce wynurzyło się z wód oceanu, mieszkańcy Newport otwarli drzwi i okna domów, wyszli na ulice, pozdrawiali się, pytali o zdrowie, zabierali się do codziennych zajęć w sklepach i warsztatach. Jeden z pierwszych otwarł podwoje swego zakładu właściciel gospody „Pod Urwaną



Kotwicą”. Czekał na pierwszego gościa, który wstąpi, by otrząsnąć się ze snu i wzmocnić organizm jakimś zdrowotnym trunkiem.

Wkrótce bystre oko oberżysty dostrzegło na ulicy nieznanego mu młodego marynarza.

— Ładny dzień się zapowiada, prawda? — zagadnął. — Pan nietutejszy?

— Jestem w Newport od wczoraj.

— Pewnie chciałby się pan zaciągnąć na statek. Nie pan jeden. Kręci się u nas wielu szukających pracy marynarzy. Niech pan spróbuje szczęścia w Bostonie.

— Byłem tam przedwczoraj. Nie wie pan, kiedy ma odpłynąć ten statek, co stoi w porcie?

— „Karolina”? Jak tylko wiatr powieje, od razu rozwinie żagle. Statek ten raz do roku odbywa kurs z Bristolu do kolonii. Zatrzymuje się w naszym porcie, wyładowuje towar, bierze drzewo i wodę, i albo wraca do Anglii, albo płynie do Karoliny, jak mu tam wypadnie.

— Czy ten statek jest dobrze uzbrojony?

— Naturalnie. Ma parę, że tak powiem, buldogów, które mogą obszczekać napastnika. Judy! Ej, Judy! — krzyknął oberżysta na młodą Murzynkę, która kręciła się koło domu. — Skocz no na jednej nodze do Hometownu i zastukaj mocno do okna sypialni. Musiał zaspać dzisiaj, bo się dotąd nie pokazał, a zwykle już o siódmej rano wypija u mnie jedną gorzką na wzmocnienie serca.

Służąca wykonała polecenie pracodawcy. Z głębi domu krawca dał się słyszeć przenikliwy głos jego małżonki, Desire, po czym okno się otwarło i ukazało się zaspane i gniewne jej oblicze.

— Na co ty sobie pozwalasz?! — krzyczała, przekonana, że to mąż wraca po libacji, która trwała do białego rana. — Jak śmiesz budzić mnie i Bogu ducha winne dzieci? Gdzieś się włóczył? Ładny przykład dajesz młodzieży!

Słyszając te okrzyki żona oberżysty wyjrzała przez okno.

— Przynieś no prędko czarną książkę! — nakazał jej mąż. — Zdaje się, że krawiec się gdzieś zapodział. No tak — mówił patrząc w książkę i zezując w stronę żony. — Diabeł cię skusił i dałaś temu kuternodze pić na kredę, jest mi winien siedemnaście i pół szylinga. Taka strata przez babską lekkomyślność!

— Czy naprawdę sądzi pan, że krawiec już nie wróci do domu? — spytał marynarz.

— Ba! Jak się prowadzi gospodę, to się niejedno wie. Żona Hometownu ma taki charakter, że biedak nie miał łatwego życia. Boję się, że mógł uciec albo coś złego sobie zrobić. Napije się pan?

— Niech pan da czegoś dobrego.

— Czy zje pan u nas kolację? — nalewając spytał oberżysta.

— Być może. Wszystko zależy od tego, czy znajdę pracę na jakimś statku.

— W takim razie radziłbym panu zamieszkać u mnie. Spotykają się tutaj wszyscy marynarze, a ja sam mogę panu powiedzieć więcej niż ktokolwiek inny. Pytał pan o „Karolinę”. Na jej pokładzie odpływa do Karoliny panna Gertruda Grayson, córka generała. Towarzyszy jej w drodze niejaka pani Wyllys, guwernantka. Czekają na odjazd w domu pani de Lacey, siostry generała, wdowy po admirałe. Jej dom od razu pan pozna, bo rosną przed nim wspaniałe wiąz. Gertruda, panna niezwyklej urody, odziedziczy majątek po ojcu i ciotce. Kto się z nią ożeni, będzie miał żonę nie tylko piękną, ale i majątną.

Marynarz zamienił jeszcze parę słów z chętnym do rozmowy właścicielem gospody, powiedział, że pewnie jeszcze wróci, i szybko odszedł.

Czytelnik zapewne domyślił się już, że marynarz nie jest osobą mu nieznaną. Istotnie, był to Wilder. Szedł pod górę, łagodnym wzniesieniem, na którym zostało zbudowane miasto. Gdy znalazł się na przedmieściu, ujrzał dom w cieniu majestatycznych wiązków oddzielających go od ulicy. Dla pewności spytał jakiegoś przechodnia, czy to jest dom pani de Lacey, i uzyskał potwierdzającą odpowiedź.

Słońce wzniosło się już dość wysoko, zapowiadał się piękny jesienny dzień. Z południa wiał łagodny wietrzyk. Wilder przystawał co chwilę i spoglądał z góry na statki w porcie.

Gdy zbliżył się do domu pani de Lacey, z altany ukrytej wśród wiązków usłyszał znajome głosy. Na dźwięk jednego z nich serce zabiło mu mocniej — był to słodki głos Gertrudy. Jesień przerzedziła już zieleń okrywającą altanę i Wilder bez trudu rozpoznał trzy panie, którym poprzedniego dnia dobrze się przyjrzał ze starej wieży. Rozmawiały z jakimś starym marynarzem siedzącym na przydrożnym kamieniu. Najwidoczniej wypytywały wilka morskiego o pogodę, bo Gertruda na widok Wildera powiedziała

— Mamy jeszcze jednego marynarza, który może zechce rozstrzygnąć nasze wątpliwości.

— Właśnie — dodała pani Wyllys. — Przepraszam pana, co pan sądzi o dzisiejszej pogodzie? Czy sprzyja żegludze?

Wilder długo nie mógł oderwać wzroku od Gertrudy, której policzki okryły się rumieńcami. Wreszcie spojrzął na panią Wyllys i odpowiedział na pytanie.

— Pogodzie nigdy nie można ufać. Kto wybierając się w podróż morską liczy na piękną pogodę, może doznać przykrego zawodu.

— Te panie — wyjaśniła pani de Lacey z właściwą sobie godną miną — wybierają się do Karoliny na statku, który widzi pan w porcie. Czy pan miałby zaufanie do tego okrętu?

— Nie bardzo.

— Przecież to świetny i bardzo szybki żaglowiec! Rejs z Anglii do Newport odbył w nieprawdopodobnie krótkim czasie. W siedem tygodni! Pozwoli pan, że zapytam jeszcze o zdanie

starego marynarza. Co sądzisz, dobry człowieku, o tym statku? Przy tak wysokim grotmaszcie musi być doskonałym żaglowcem.

Wilder zagryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Wdowa po admirale wspomniała o grotmaszcie z tak mądrą miną, jakby odziedziczyła po mężu całą morską wiedzę.

Stary marynarz wstał i popatrzył na statek.

— To jest, proszę pani dobrodziejki, taki statek, że przyjemność patrzeć — zawyrokował. — I bezpieczny, za to ręczę. Może nie jest to błyskawica, ale guzdrał też się nie będzie na morzu.

— No więc mamy dwa sprzeczne zdania! — zawołała pani do Lacey.

— Za bezpieczeństwo na tym statku nigdy bym nie ręczył! — stanowczo stwierdził Wilder.

— Uważa pan, że grozi nam niebezpieczeństwo? — spytała Gertruda.

— Tak. Gdybym miał matkę lub siostrę, nie pozwoliłbym jej wsiąść na ten statek. Proszę mi wierzyć na słowo, że żadnemu statkowi, który tej jesieni wypłynął z któregoś portu w koloniach nie groziło takie niebezpieczeństwo, na jakie narażona jest „Karolina”.

— Bardzo mnie dziwi to, co pan mówi — powiedziała pani Wyllys. — Zapewniono nas, że jest to statek bardzo wygodny i bezpieczny. Czy można wiedzieć, na czym pan opiera swoje zdanie?

— To bardzo proste. Statek ma zbyt słaby dziób, za szeroką rufę, burty proste jak ściany kościoła, zanurzenie za małe, całe ożaglowanie za blisko rufy, wskutek czego w każdej chwili może się zakręcić jak fryga i popłynąć rufą do przodu.

Wilder powiedział to z wielkim przekonaniem. Panie mało zrozumiały, ale jedno było dla nich jasne: na tym statku podróżnym grozi poważne niebezpieczeństwo, a może nawet czyha na nich śmierć.

— To są karygodne błędy konstrukcji statku! — zawołała pani de Lacey, która uparcie grała rolę osoby znającej się na rzeczy. — Nie mogę zrozumieć, dlaczego nas o tym nie uprzedzono. Nie pozwolę niej bratanicy odpłynąć na tym wraku!

— Może jednak niebezpieczeństwo zostało wyolbrzymione — powiedziała pani Wyllys. — A co pan o tym sądzi? — zwróciła się do starego marynarza.

— Klnę się Bogiem, łaskawa pani, że młody człowiek szuka dziury w całym. Może jestem głupi, ale nie rozumiem, czego on chce.

— I nie widzi pan powodu do obaw? — nastawała pani Wyllys.

— Sam bym chętnie zaciągnął się na ten piękny trójmasztowiec.

— A pod czyją komendą pan pływał? — spytał Wilder.

— Pod komendą, proszę pana, samego nieustraszonego admirała de Lacey. Pamiętam jak dziś, że pod jego rozkazami często rufą pruliśmy fale. Trzeba było widzieć, jak pięknie nasz admirał wykonywał ten manewr.

— Rufą do przodu! To pan znał mojego męża! — zawołała pani de Lacey.

— A więc mam zaszczyt mówić z wdową po świętej pamięci admirała! Wielka to radość dla starego marynarza! Szesnaście lat pływałem pod jego rozkazami. Musiał pani o mnie opowiadać. Bob Bunt moje nazwisko.

— Na pewno, na pewno. Lubił wspominać wiernych mu marynarzy.

— Niechaj mu Bóg to wynagrodzi. Admirał był człowiekiem wielkiego serca.

— Czy jesteś pewny, przyjacielu, że mój mąż często pływał rufą do przodu?

— Jak pragnę zbawienia duszy. Sam przykładałem do tego ręki. Pani de Lacey z wielce godną miną zwróciła się do Wildera.

— Jesteśmy bardzo wdzięczne za radę, ale sądzę, że pan trochę przesadził.

— Daję pani słowo honoru — odparł Wilder głosem drżącym ze wzruszenia — że osobom, które wejdą na pokład tego statku, grozi naprawdę wielkie niebezpieczeństwo.

— Wierzę w pańską szczerą, ale moim zdaniem jest pan w błędzie. Jeszcze raz dziękuję za dobre chęci. A pana — pani de Lacey zwróciła się do starego marynarza — poproszę do domu. Pogawędzimy trochę.

Skinęła głową Wilderowi i wyszła z altany. Za nią podążyły pani Wyllys i Gertruda.. Choć twarz Gertrudy przesłaniał wielki kapelusz, Wilder zauważył, że ukradkiem spojrzała w jego stronę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wilder zszedł z pola walki pokonany. Stary marynarz zwyciężył, gdyż, jak się okazało, dobrze władał bronią pochlebstwa.

Dlaczego jednak Wilder działał wbrew interesom Czerwonego Korsarza, z którym przecież się związał? O tym czytelnik dowie się później. W tej chwili niech mówią same fakty.

Schodząc wolnym krokiem i z niezbyt wesołą miną ze wzgórze młody marynarz raz po raz rzucał okiem na port.

Nadeszła pora codziennych zajęć. Marynarze krzatali się na statkach przy wtórze monotonnych i smętnych pieśni. Największy ruch panował na „Karolinie”. Widać było, że statek przygotowuje się do drogi. Podnoszono już żagle.

Wilder był bardzo ciekaw, jakim echem te przygotowania odezwą się na statku Korsarza. Nic się

tam nie działało. Statek zamarł w bezruchu, jakby wrósł w morze. Ale doświadczone oko marynarza dostrzegło, że są to tylko pozory. Lina kotwiczna była napięta, wszystkie łodzie spuszczone na wodę, aby w każdej chwili mogły przystąpić do holowania statku. Słowem, „Delfin” stał w pełnym pogotowiu.

Ktoś poklepał Wildera po plecach. Odwrócił się i zobaczył starego marynarza.

— Coś młode nogi słabo pana niosą — zagadał stary. — Moje stare kulfony zrobiły ten sam kurs w znacznie krótszym czasie.

— Może pan sunie rufą do przodu, niczym te statki, na których pan pływał. Jak wiadomo, jest to najlepszy sposób prześcignięcia każdego statku — ze złośliwym uśmiechem odparował Wilder.

— Widzę, bracie, żeś się pogniewał na mnie.

— Skądże znowu! Czy idziesz, przyjacielu, na dół?

— A jakże.

— No to bądź zdrow, bo ja idę w przeciwnym kierunku. Odwrócił się na pięcie i znów zaczął iść w górę.

— Obłudny stary kłamca — mruknął przez zęby Wilder.

Znów znalazł się w pobliżu domu pani de Lacey. Służba kręciła się nerwowo po podwórzu. Najwyraźniej były to ostatnie przygotowania do podróży. Po chwili wyjechała bryczka wyładowana kuframi. Wilder podszedł do muru otaczającego dom, bo na podwórzu usłyszał znajome głosy. Mówiła Gertruda.

— Nie warto zaprzątać sobie głowy tym, co mówił ten młody prostak.

— Na pewno, kochanie — odparła pani Wyllys. — A jednak nie mogę się otrząsnąć z niedobrych przeczuć. Czy nie chciałabyś jeszcze raz spotkać tego młodego marynarza?

— Co też pani mówi? — zawołała Gertruda. — Przecież wcale go nie znamy. A poza tym to człowiek niskiego stanu.

— Nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Trzeba ci wiedzieć, droga Gertrudo, że młodzieńcy z najlepszych domów często służą w marynarce.

— Ale są oficerami. A to był zwykły majtek.

— Nie sądzę. Znałam admirałów, którzy po służbie chodzili w mundurach zwykłych marynarzy.

— Myśli pani, że jest królewskim oficerem?

— To całkiem możliwe, chociaż w tej chwili nie ma w porcie żadnej fregaty. Ale mówmy o

czym innym.

— Po co zmieniać temat? — żywo zaprotestowała Gertruda. — Jeżeli ten młodzieniec jest dobrze urodzony, może być tematem rozmowy bez obrazy zasad dobrego wychowania. Nie rozumiem, przed jakim niebezpieczeństwem chciał nas ostrzec.

— Zachowywał się dosyć dziwnie. Mówił trochę od rzeczy, ale odniosłam wrażenie, że za jego słowami kryje się coś bardzo poważnego. Przyznaję, uśmiechał się złośliwie, ale muszę ci powiedzieć, że twoja czcigodna ciocia lubi zabierać głos w morskich sprawach, i...

— Opowiada koszałki opałki — dokończyła Gertruda. — Wiem, ale nie powinien drwić ze starszej osoby i jej tak niewinnej słabostki.

— Oczywiście. Niemniej bardzo bym chciała pomówić z nim jeszcze raz...

Przerwał jej okrzyk Gertrudy, a równocześnie młodzieniec, o którym była mowa, przeskoczył przez mur i stanął przed paniami. Okazało się, że upuścił trzcinową laskę — upadła pod nogi Gertrudy. Przeprosił grzecznie za tę niespodziewaną wizytę, podniósł laskę i już chciał się wycofać, jakby nic się nie stało, gdy pani Wyllys, blada, z lekkim drżeniem warg, ale spokojnym głosem powiedziała:

— Czy nie mógłby pan zatrzymać się na chwilę? Chciałabym skorzystać z tej niezwykłej, co prawda, okazji i zamienić z panem parę słów. Bardzo mnie zaintrygowało to, co pan powiedział o naszym statku.

— O „Karolinie”?

— Tak jest.

— Nie chciałbym, łaskawa pani, aby moje słowa były źle zrozumiane. Statek jest na pewno zbudowany z najlepszych materiałów, a jego kapitan musi być świetnym marynarzem.

— Ale powiedział pan, że podróż na „Karolinie” jest bardzo niebezpieczna.

— Tak jest!

— Czy mógłby pan wyjaśnić, dlaczego?

— Jeśli mnie pamięć nie myli, wyjaśniłem to damie, którą miałem zaszczyt spotkać tutaj przed godziną. .

— Nie ma jej teraz i nie ona, lecz ta młoda osoba i ja wraz ze służbą mamy odbyć podróż na „Karolinie”. Nikt pana w tej chwili nie krępuje, proszę powiedzieć prawdę.

Pod spokojnym, lecz przenikliwym spojrzeniem pani Wyllys młody marynarz lekko się zarumienił.

— Czy chce pani — zająknął się — bym powtórzył, co już raz powiedziałem?

— Nie, drogi panie. Dobrze słyszałam. Ale zdaje mi się, że ma pan znacznie więcej do powiedzenia.

— Bez fachowych terminów niczego pani nie wyjaśnię. A jeżeli wyjaśnię fachowo, to też nic pani nie zrozumie. Na przykład bukszpryt jest umocowany...

— ...doskonale — dokończył za niego jakiś głos z tyłu.

Wszyscy się odwrócili. Nad murem ujrzeni twarz starego marynarza: Pewnie stanął na kamieniu z drugiej strony.

— Na życzenie pani de Lacey poszedłem do portu — mówił dalej — i dokładnie obejrzałem „Karolinę”. Statek ma wszystko tam gdzie trzeba, na żadną stronę się nie chybnie bez powodu, pasażerom zapewnia wygodę i bezpieczeństwo, a kto by o nim źle mówił, jest takim samym oszczercą, jak ten, co obmawia bliźniego.

Stary marynarz wypowiedział te słowa z takim przejęciem i oburzeniem na oszczerców, że zrobiło to na obu paniach duże wrażenie. Wilder zrozumiał, że traci grunt pod nogami.

— Mogę tylko powtórzyć — powiedział — że własnej matce lub siostrze nie pozwoliłbym wsiąść na ten statek.

— Jeśli pan nie zdobędzie się na szcerość i nie powie nam, o co panu chodzi — oświadczyła pani Wyllys — nie będziemy mogły panu uwierzyć i popłyniemy na tym statku.

— Byłbym naprawdę niepokieszony, gdyby panie zdecydowały się na tę podróż.

— Nasza decyzja zależy od tego, co pan powie.

Wilder nie wiedział, co począć. Po długim namyśle powiedział:

— Żałuję, że nie umiałem jaśniej się wyrazić. Niebezpieczeństwo jest dla mnie jasne jak słońce w południe.

— Widocznie jesteście ślepe, skoro tego nie widzimy — chłodno odparła pani Wyllys. — Dziękuję panu za dobre chęci, ale nie możemy posłuchać rady okrytej zasłoną tajemnicy. Daruje pan, że go pożegnamy. Musimy już udać się na statek.

Pani Wyllys skinęła mu głową. Odpowiedział głębokim, sztywnym ukłonem. Pożegnanie z Gertrudą było mniej oficjalne i cieplejsze z obu stron. Panie weszły do domu. Wilder oparł się jedną ręką o mur, przeskoczył go i znalazł się o parę kroków od starego marynarza.

— Też byłem młody — odezwał się stary. — Rozum, bratku, przychodzi z wiekiem.

Wilder nie racząc spojrzeć na niego powiedział jakby do siebie:

— Tak się cieszyłem, że już się więcej nie zobaczymy. Proszę sobie tu postać, ja schodzę do miasta.

Ale stary podreptał za nim. Wilder przyśpieszył kroku. Tamten dreptał mu po piętach. Wilder chciał biec, ale wstyd mu było uciekać; miał ochotę dać natrętowi w ucho tak, żeby przysiadł na dłuższą chwilę, lecz oparł się tej pokusie. Odzyskał zimną krew, zwolnił kroku. .

— Rozwinął pan wszystkie żagle — mówił uparty staruch idąc dwa kroki za nim — to i ja musiałem złapać wiatr w plecy, żeby mi pan nie uciekł. Teraz pan trochę ochłonął, więc możemy sobie pogadać, to skraca drogę. Starszej pani o mało pan nie wmówił, że „Karolina” to statek widmo, jak ten słynny „Latający Holender”.

— A co panu zależało na tym, żeby ją wyprowadzić z błędu? — warknął Wilder.

— Staremu wilkowi morskiemu dobre imię statku jest tak samo drogie, jak dobra sława żony lub kochanki.

— Słuchaj, przyjacielu. Przypuszczam, że jak inni ludzie, ty też, żeby żyć, musisz jeść i pić, co?

— Je się niedużo, znacznie więcej się pije — zachichotał stary.

— I jak każdy marynarz zarabiasz na kawałek chleba ciężką i niebezpieczną pracą?

— Ba! Marynarz haruje jak koń, a puszcza pieniądze jak osioł. Taki nasz los.

— Ano właśnie. Dam ci sposobność łatwego zarobku. Popracujesz dla mnie parę godzin. Masz tu gwineę zadatku, a jeśli będziesz uczciwie pracował, dostaniesz drugie tyle.

Stary wyciągnął rękę. Wilder dał mu przez ramię gwineę, nie uważając za stosowne spojrzeć w twarz najętemu człowiekowi.

— Czy przypadkiem nie fałszywa? — spytał stary. Przystanął i sprawdził monetę na kamieniu.

— Czyste złoto — zapewnił Wilder.

Stary włożył monetę do kieszeni i tonem człowieka zdecydowanego ma wszystko zapytał:

— Czyj kurnik mam okraść?

— Będiesz użyty do znacznie mądrzejszej roboty. Wyglądasz mi na niezłego krętacza. Umiesz fałszować dziennik okrętowy?

— Ma się rozumieć. I potem przysięgać, że to wszystko szczerą prawdą. Znudziło się panu naciągać prawdę jak starą linę i chce pan mną się wyręczyć?

— Coś w tym rodzaju. Musisz odkręcić wszystko, coś powiedział o „Karolinie”. A że udało ci się omotać panią de Lacey, przedstawisz jej sprawę w nieco ciemniejszych barwach, niż ja to



zrobiłem. Chciałbym tylko sprawdzić, czy dobrze cię oceniłem. Czy pływałeś kiedy z zacyjnym admirałem?

— Słowo daję, że wczoraj po raz pierwszy usłyszałem o tym dzielnym człowieku. Och, może mi pan zaufać. Fantazji mi nie zbraknie.

— Tak mi się zdawało. A teraz posłuchaj...

— Chwileczkę, kolego — przerwał mu stary. — Tu mógłby nas ktoś podsłuchać. Czy zna pan gospodę „Pod Urwaną Kotwicą”?

— Byłem tam.

— To chętnie wstąpi pan tam jeszcze raz. Teraz się rozstaniemy. Weźmie pan kurs na ten kościół, skręci w prawo i już pan jest u zacyjnego Joe Jorama „Pod Urwaną Kotwicą”. Ja pożegluję krótszą drogą, a że wiatr dmie panu prosto w rufę, prawie równocześnie zawiniemy do portu. Jasne?

— Cóż zyskamy na tych manewrach? Bez rumu nie możesz pogadać?

— Pan mnie obraża. Zobacz pan, jaki będę trzeźwy, gdy się wezmę do roboty. Ale gdyby nas ktoś tutaj zobaczył, straciłbym zaufanie tych dam, bo co tu ukrywać, ogromnie im się pan naraził.

— Może to i racja. Pośpiesz się, przyjacielu. Mówiły, że już się wybierają na statek. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Stary podniósł rękę.

— Nie ma obawy. Czuję w palcach wiatr, ale za słaby jeszcze, żeby mógł ochłodzić rozpalone policzki tej młodziutkiej piękniś. Niech pan będzie spokojny, nasze damy muszą zaczekać na solidniejszy wiatr. Taki, co da radę ruszyć to stare pudło, „Karolinę”.

Wilder pomachał mu ręką i poszedł wskazaną drogą. Myślał o rozpalonych policzkach Gertrudy. Nawet jeśli nie była to prawda, określenie świeżo pozyskanego sprzymierzeńca utkwilo mu w pamięci.

Stary marynarz też ruszył w stronę gospody „Pod Urwaną Kotwicą”. Minę miał zadowoloną, choć uśmiechał się niezbyt szczerze.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przed gospodą „Pod Urwaną Kotwicą” zebrał się tłum, złożony po większej części z kobiet. W środku stała niewiasta, niemłoda już i dość szpetna, i lamentowała przeraźliwym głosem.

Wilder przystanął, niepewny, czy może wejść do gospody na oczach tylu świadków. Ale zobaczył, że stary marynarz pomagając sobie łokciami energicznie przepycha się przez tłum. Podszedł więc bliżej i stanął tak, by móc w każdej chwili się wycofać.

— Wzywam was wszystkich, dobrzy ludzie, na świadków — krzyczała kobieta — że byłam wierną i pracowitą żoną tego hultaja, co mnie rzucił i zostawił na łasce losu z taką gromadą potomstwa. Teraz sama będę musiała żywić i wychowywać jego dzieci...

— Ale skąd pewność, pani Homespun — spytał właściciel gospody — że małżonek naprawdę panią opuścił? Wczoraj było święto i niejeden dobrze sobie popił. Kto i z kim, tego nie powiem. I dlatego pani mąż śpi dzisiaj dłużej niż zwykle. Tylko patrzeć, jak wyjdzie z jakiejś stodoły, świeży i wypoczęty.

Tłum przyjął śmiechem wyjaśnienie oberżysty. Żony krawca wcale to nie uspokoiło.

— Opuścił mnie, opuścił! — wołała. — Ale jeżeli jest sprawiedliwość na tym świecie i są sądy, będzie się miał z pyszna! Zostanie włóczęgą, bez dachu nad głową. Nie wpuszczę dziada do domu!

Stary marynarz już stał przy niej i ciekawie jej się przyglądał. Zwróciła się do niego.

— Pan zdaje się właśnie przybył do miasta. Czy nie widział pan po drodze starego włóczykija?

— Miałem dosyć kłopotu z poruszaniem własnymi nogami, proszę pani, żebym się jeszcze oglądał za każdym włóczęgą spotkanym po drodze — odparł stary. — Ale przypomniała mi pani, że istotnie dziś wczesnym rankiem w krzakach przy drodze prowadzącej do promu, na którym można się przeprawić z tej wyspy na ląd stały, widziałem jakiegoś nicponia.

— Jak wyglądał? — zapytało równocześnie parę osób z tłumu. W tym chórze najdonioślej zabrzmiał głos porzuconej żony, niczym solistki w operze.

— Jak wyglądał? — powtórzył stary. — Taki sobie, jak każdy inny. Jedną nogą trochę pociągał, bo widziałem go, jak szedł. Kuśtykał, można by rzec. — To on! — krzyknął chór głosów,

Kilku obywateli miasta nieznacznie wydstało się z tłumu i spieszenie podążyło na poszukiwanie zaginionego. Przyczyną ich pośpiechu był fakt, że krawiec był im coś niecoś winien, i każdy chciał dostać go w ręce przed innymi. Tłum zaczął się pomału rozchodzić.

— Czy miał nikiemną minę? — spytała Desire.

— Trudno mi powiedzieć, ale wyglądał na takiego, co ma dość...

— Dość dużo wolnego czasu?

— Nie. Co ma dość własnej baby.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Tylko nieszczęsna małżonka nie dała się zbić z tropu.

— A nie wyglądał na takiego, co zrobił wielką krzywdę własnej nieszczęśliwej żonie?

— Tego nie dał poznać po sobie — odparł stary bez namysłu. — Ale chociaż samą kobiecinę

zostawił na mieliźnie, na szyi zawiesił sobie jakieś damskie cuda.

— Co? Okradł mnie, łajdak! Czy nie był to złoty naszyjnik?

— Nie powiem, czy to było szczere złoto. Mogło być fałszywe. Tyle że się świeciło.

— Łotr! — krzyknęła Desire, po czym nabrała tchu w piersi, jak nurek wynurzający się z głębiny morskiej. Przecisnęła się przez tłum i pobiegła do domu sprawdzić, czy mąż rzeczywiście dobrał się do jej ukrytych skarbów. — Zbrodniarz! Matkę własnych dzieci obdarł! — krzyknęła jeszcze po drodze.

Wszyscy pobiegli za nią.

— Tego bym się po nim nigdy nie spodziewał — oświadczył właściciel gospody.

— Ja też — przyznał stary marynarz. — Tym bardziej że nigdy go na oczy nie widziałem. Ale do czego to podobne, by tłum zagradzał wejście do pańskiej gospody. Musiałem coś zrobić. Teraz blokada się skończyła, cała flota odpłynęła i mogę swobodnie zawinąć do portu.

Joe Joram przez chwilę patrzył na starego jak urzeczony. Po czym, gdy już mu się wszystko w głowie ułożyło, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Witaj, Bobie Smoluchu! Z jakiej chmury spadłeś? Jaki wiatr przyniósł cię znów do Newport?

— Za dużo pytań, żeby się dało odpowiedzieć na ulicy, mój drogi Joramie. Jak sobie siądę przy kuflu piwa z czymś mocniejszym i przy solidnym befsztyku, wszystkiego się ode mnie dowiesz.

— A kto będzie za ciebie płacił? — spytał oberżysta, wpuszczając Boba, zwanego Smoluchem, do środka.

Stary otworzył dłoń i pokazał gwineę z wizerunkiem króla.

— Kto? Widział pan? Sam monarcha zapłaci, niech mu Bóg błogosławi.

— Niech mu Bóg błogosławi — powtórzył gospodarz prowadząc gościa do osobnego pokoju. — Chodź, Bob, zaraz dostaniesz pół wołu.

Widząc, że Bob został zaproszony do środka, Wilder wszedł na salę ogólną.

Po chwili podszedł do niego Joe Joram.

— Jakże panu poszło? — spytał poznając Wildera. — Więcej rąk do pracy niż wolnych miejsc na statkach, co? .

— Jeszcze nie wiem. Spotkałem tu jednego starego marynarza.

— Aha. Może wygodniej będzie panu zjeść śniadanie w innym pokoju — powiedział Joe i dał

mu znak, żeby poszedł za nim. Zrobił przy tym tajemniczą minę.

Poszli ciemnym korytarzem i krętymi schodkami weszli na poddasze. Joe lekko zastukał do drzwi.

— Wejść! — dał się słyszeć gruby bas ze środka. Wilder lekko zadrżał.

Gdy się znalazł w małym, niskim pokoiku, ujrzał starego marynarza. Oberżysta zniknął. Bob Smoluch raczył się już olbrzymim befsztykiem i popijał z kufła. Wskazał Wilderowi jedyne wolne krzesło.

— Nasz zacny Joe Joram przyjaźni się z rzeźnikiem, to widać — powiedział stary i pociągnął potężny łyk piwa. — Ten befsztyk ma taki smak, że można by go wziąć za porcję halibuta. Byłeś, kolego, w obcych krajach?

— Nie raz.

— No to powiedz szczerze, czyś widział gdzie takie ryby, mięso, drób, owoce, warzywa jak w Ameryce, gdzieśmy się obaj, jeśli się nie mylę, urodzili.

Wilderowi bardzo odpowiadała ta rozmowa na ogólne tematy. Nie był bowiem pewny, czy są sami i czy nikt nie podsłuchuje.

— Powszechnie wiadomo — odparł — że angielskie produkty są najlepsze.

— Komu wiadomo? Głupim gadułam chyba. Objechałem cały świat i wiem, co mówię. Żyjemy, przyjacielu, w angielskich koloniach. Kolonia nie może być lepsza od macierzy. Tak samo marynarz nie może powiedzieć oficerowi, że nie ma racji, choćby wiedział, że oficer jest skończonym głupcem. Jestem prosty człowiek, ale... Przepraszam, nie znam pańskiego nazwiska.

— Mojego nazwiska? Nazywam się Harris.

— Jestem prostym człowiekiem, panie Harris, ale znam świat i wiem, że życie mieszkańca kolonii bywa gorzkie z różnych powodów.

Wilder popatrzył na niego ze zdziwieniem. Stary pożywiał się ochoczo i z całkiem niewinną miną.

— Jesteś, przyjacielu — powiedział Wilder — bardziej przywiązany do swej amerykańskiej ojczyzny niż wierny naszemu monarsze.

— Chwalę Amerykę, którą stworzył Bóg tak samo jak Anglię, A rządy ludzkie to lina, którą człowiek związał w węzeł i...

— I co? — spytał Wilder widząc, że stary się zawahał.

— Hm, jak człowiek nie ma nic innego do roboty, to rozsypuje węzły. Chyba nic zdrowszego nie

powiedziałem?

— Chciałbym panu przypomnieć o celu naszego spotkania — odparł Wilder. — Nie zapomniał pan chyba o tym, co pan ode mnie dostał?

Stary marynarz odsunął talerz, założył ręce i przeciągle spojrzął na Wildera.

— Jak się raz do czegoś zobowiążę, to można na mnie liczyć. Ty, mój przyjacielu, też chyba dotrzymujesz słowa?

— Nie jestem zdolny do zdrady. Zanim powiem, o co chodzi, chciałbym upewnić się, czy jesteście tu sami. Pozwolisz więc, przyjacielu, że zajrzę do szafy.

— Znajdziesz tam różne fatałaszkę połowicy zacnego Jorama. Drzwi nie są zamknięte na klucz, więc sprawdź i bądź spokojny.

Zanim stary skończył, Wilder już zajrzał do szafy i przekonał się, że poza sukniami i damską bielizną nic więcej tam nie ma.

— Czy pan był sam, gdy zapukałem do drzwi? — spytał.

— Naturalnie.

— Nikogo więcej tu nie było?

— Tak mi się zdaje. — W głosie Boba dało się zauważyć lekkie zaniepokojenie. — Jeśli ma pan wątpliwości — dodał — możemy sprawdzić, czy się tu ktoś nie kryje. Gdyby nas ktoś podsłuchiwał pod drzwiami, moja ciężka pięść spadłaby mu na ucho.

— Zaraz! Proszę odpowiedzieć na jedno pytanie: kto powiedział „wejść”?

Bob Smoluch szybko wstał, pomyślał i parsknął śmiechem.

— Ha, ha, ha! Miałem usta pełne wołowiny. A to zmienia głos nie do poznania.

— A więc był to pański głos?

— Mogę przysiąc na to.

Bob usiadł, wyraźnie zadowolony, że sprawa się wyjaśniła.

— A teraz, słucham cię, przyjacielu — powiedział.

Wilder, choć niezupełnie przekonany, też usiadł i przystąpił do rzeczy.

— Z tego coś, przyjacielu, widział i słyszał, łatwo się można domyślić, że nie bardzo bym chciał, aby ta młoda dama i jej towarzysza wybrały się w podróż morską na „Karolinie”. To

powinno ci wystarczyć. Czym się kieruję, to już inna sprawa, którą pomnę milczeniem.

— Za stary jestem na to, żebym nie wiedział, o co chodzi.

— Domyśla się pan moich pobudek?

— Widać je gołym okiem. Starzy mówią: „jedź”, a młodzi chcą zostać z sobą.

— Cóż znowu! Tę młodą damę wczoraj po raz pierwszy widziałem na oczy.

— Już wiem. Właściciele „Karoliny” przyjęli pana niezbyt uprzejmie i w ten sposób chce im pan za to podziękować.

— Może ty byś tak postąpił, przyjacielu. Ja mam trochę inne zasady. A właściciele „Karoliny” nawet nie znam.

— Rozumiem. Służy pan na tym statku, co stoi na redzie. I nie ma pan żalu do nieprzyjaciół, ale woli przyjaciół. Wobec czego przekonamy obie panie, żeby popłynęły na pańskiej łajbie!

— Niech Bóg broni!

— Niech Bóg broni? Ho, ho! Drogi panie Harris, widzę, że nie sposób pana zrozumieć. Nie zgadzam się z tym, co pan nagadał na „Karolinę”, ale każdy przyzna, że na tym drugim statku sam król mógłby bezpiecznie podróżować.

— Nie przeczę, ale statek niewolniczy wcale mi się nie podoba.

— Ano właśnie! Skoro już się tak zgadało, powiem panu, panie Harris, słówko o tym okręcie na redzie. Jestem stary wilk morski i nikt mi nie zamydli oczu. Czy zgodzi się pan, że nie jest to statek handlowy? Rzucił kotwicę w przyzwoitej odległości od brzegu, przysiadł cichutko na redzie i nie wygląda wcale na to, żeby łowił ostrygi czy przewoził bydło.

— Zbudowany jest świetnie. Ale o co pan go podejrzewa? O kontrabandę?

— Przemyt to piękna robota. Ale obchodzi się bez artylerii. A ten statek, nawet z daleka to widać, jest uzbrojony po zęby.

— Jego właściciele nie chcą, żeby się dostał w ręce Francuzom.

— Może, może. W każdym razie dla mnie ten statek jest bardzo podejrzany, nawet jeśli papiery ma w porządku. A ty, Joe, co o tym myślisz?

Wilder odwrócił się i zobaczył, że Joe niepostrzeżenie wszedł do pokoju.

Pytanie zaskoczyło oberżystę i dopiero, gdy zostało powtórzone, odpowiedział:

— Ty, Bob, zadajesz czasem takie dziwne pytania, że można zgłupieć.

Mówiąc to rozejrzał się wokół, jakby chciał się upewnić, kto go słucha.

— Nie uwierzę, byś mógł jeszcze zgłupieć — odparł stary z niezmaconym spokojem. — Pytam się ciebie, czy ten statek niewolniczy nie wydaje ci się podejrzany.

— Na Boga, panie Bob! Zastanów się, co mówisz! Nie pozwolę, aby w moim domu rzucono podejrzenia na przyzwoite statki.

— To znaczy, że nic podejrzanego nie zauważyłeś? — nastawał stary,

— Nie, nic nie zauważyłem — odparł Joram. — Był bardzo zmieszany i łapał powietrze jak ryba, która wypłynęła na powierzchnię wody.

— Ciekawe. Widocznie wzrok ci się popsuł na stare lata. Bo ja bym powiedział, że to są piraci.

— Piraci! — powtórzył Joram. — To bardzo poważne oskarżenie. Myślę, że zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz.

— Naturalnie. A teraz... — pokazał Joramowi drzwi — zejdz na dół, bo pewnie goście cię wołają.

Gdy drzwi zamknęły się za Joramem, Bob zwrócił się do Wildera:

— Pana też zdziwiły moje słowa?

— Myślę, że zanim pan je powtórzy, dobrze się pan zastanowi. Na to trzeba mieć dowody. O jakim korsarzu mówiło się ostatnio na wybrzeżu?

— Czerwonym Korsarzu — odparł Bob zniżonym głosem i rozejrzał się dokoła.

— Słyszałem, że buszuje on głównie na Morzu Karaibskim.

— Wszędzie go pełno. Król wyznaczył wysoką nagrodę dla tego, co wyda go w ręce sprawiedliwości.

— Nie takie to proste — odparł Wilder.

— Pan mógłby to zrobić. Jest pan młody, dzielny, odważny. Wydałby pan tych zbirów i był bogatym człowiekiem. Wcześniej czy później i tak piekło ich pochłonie.

Wilder zadrzał i odwrócił się od swego rozmówcy. Ale trzeba było coś odpowiedzieć.

— Jakie ma pan dowody na poparcie tych podejrzeń? — zapytał. — A jeśli nawet są to piraci, jakby pan ich ujął bez pomocy królewskich fregat?

— Przysięgam na nic bym nie mógł. A jak ich ująć, przyznam się, że nie wiem...

— Gada pan trochę od rzeczy. Tracimy tylko czas — chłodno przerwał mu Wilder. — Wróćmy do naszej sprawy.

Mówiąc to przechadzał się nerwowo po ciasnym pokoju i dlatego nie zauważył wyrazu zadowolenia na twarzy starego.

— Czekam na rozkazy — oświadczył Bob.

Wilder usiadł i pouczył starego, co ma powiedzieć paniom o statku „Karolina”.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wiatr przybierał na sile. Zbliżała się chwila opuszczenia portu przez „Karolinę”. W owych czasach było to wydarzenie nawet w tak dużym porcie jak Newport. Toteż na brzegu zebrał się tłum dzieci, kobiet, próżniaków, a nawet niemało solidnych kupców i rzemieślników rzuciło pracę, by zaspokoić ciekawość.

Ale załoga statku wcale się nie śpieszyła. Tylko jeden żagiel trzepotał na wietrze. Statek szarpał się na kotwicy, przechylał na boki, niecierpliwy jak koń wyścigowy, któremu dżokej ściąga wodze na starcie.

Po godzinie niezrozumiałej zwłoki w tłumie rozeszła się wiadomość, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek i jeden z oficerów jest ciężko ranny. Wreszcie na statku błysnął ogień i rozległ się huk wystrzału. Ten strzał armatni oznaczał, że statek za chwilę odpłynie.

Oparty o kotwicę porzuconą na brzegu, Wilder bacznie obserwował „Karolinę” i raz po raz rzucił niespokojne spojrzenie w stronę tłumu.

Gdy rozległ się huk wystrzału, przeniósł wzrok na ulicę. Po chwili zobaczył panią Wyllys i Gertrudę w licznych towarzystwie odprowadzających je osób. Nadchodziły w strojach podróżnych. Wilder nie chciał wierzyć własnym oczom, bo do tej chwili był pewny, że podstęp się uda. Klnąc pod nosem Boba Smolucha, czym prędzej skurczył się, jak tylko mógł za kotwicą i odwrócił głowę. Ale pani Wyllys go zobaczyła. Podeszła, ich spojrzenia się spotkały.

— Jak pan widzi, jesteśmy nieustraszone — powiedziała.

— Oby pani nie pożałowała swej odwagi.

Guwernantka obejrzała się, czy nikt nie słyszy, i powiedziała ściszym głosem:

— Jeszcze nie jest za późno. Jeśli pan szczerze powie, na czym polega niebezpieczeństwo, zczekamy na następny statek. Wzbudzasz we mnie zaufanie, młody człowieku, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że chcesz spłatać figla lękliwym kobietom.

— Już wszystko powiedziałem.



— Bardzo mi przykro, obawiam się jednak, że z jakichś ważnych powodów nie może pan powiedzieć prawdy — chłodno odparła pani Wyllys i wróciła do swego towarzystwa.

W środku licznej grupy żegnających stała pani de Lacey. Mówiła, jak zwykle, bardzo głośno i Wilder słyszał znaczną część tego, co miała do powiedzenia.

Pani de Lacey nie szczędziła swej bratanicy rad i nauk, jakich w podobnych sytuacjach ciotki udzielają młodym pannom. Przypomniano więc Gertudzie, żeby dbała o zdrowie, często pisała, nie wychodziła na pokład podczas wietrznej pogody i tak dalej.

— Polecam cię boskiej opiece, moje drogie dziecko — mówiła. — Zapomnij, coś słyszała złego o „Karolinie”. Ten stary zuch, który tyle lat służył pod rozkazami świętej pamięci twego wuja, jeszcze raz zapewnił mnie, że nie ma najmniejszych powodów do obaw...

Obie podróżniczki zabrano łodzią na statek. Ktoś lekko dotknął ramienia Wildera. Odwrócił się i zobaczył chłopca, który nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat. Już go gdzieś widział. Przyjrzał mu się uważnie. Tak, był to Roderick, młodociany służący Czerwonego Korsarza.

— Polecono mi wręczyć panu rozkazy — powiedział Roderick. .

— Rozkazy? — spytał Wilder marszcząc brew. — Czy mam dać odpowiedź?

Zerwał pieczęć z listu wręzonego mu przez Rodericka. Gdy podniósł wzrok, chłopca już nie było. Zniknął bez śladu.

Wilder wzruszył ramionami, otworzył list i zaczął czytać.

„Kapitan »Karoliny« z powodu nieszczęśliwego wypadku nie zjawi się na jej pokładzie. Właściciel statku nie ma ochoty oddać dowództwa pierwszemu oficerowi. Ale „Karolina” musi odpłynąć. Proszę więc skorzystać z okazji. Jeśli masz, przyjacielu, odpowiednie listy polecające, możesz zostać kapitanem, co ci się słusznie należy. Zainteresowana osoba już o panu słyszała i poszukuje pana. Jeśli w porę odnajdzie, proszę natychmiast przyjąć propozycję. Nie okazuj, drogi kolego, zdziwienia, gdyby się wydało, że masz poparcie wpływowych osób. To jasne: złoto jest żółte, choć ja jestem Czerwony”

Podpis, treść i styl listu nie nasuwały żadnej wątpliwości, kto jest jego autorem.

Wilder niewiele myśląc wskoczył w najbliższą łódź i prędko powiosłował w stronę statku.

Gdy stanął na pokładzie, przecisnął się przez tłum żegnających i podszedł do gromadki mężczyzn. Z ich wyglądu i zatroskanych twarzy poznał, że są osobami odpowiedzialnymi za losy „Karoliny”. Wskakując do łodzi nie wiedział jeszcze, do czego zmierza. Teraz się zdecydował. Zresztą na odwrót było już za późno.

— Czy pan jest armatorem tego statku? — spytał mężczyznę, który najbardziej na to wyglądał.

— Nasza firma eksploatuje ten statek — odparł zapytany. Sprawiał wrażenie bogatego i

sprytnego kupca.

— Słyszałem, że poszukujecie panowie doświadczonego oficera.

— Doświadczonych oficerów zawsze chętnie widzimy.

— Podobno potrzebny jest ktoś, kto mógłby zastąpić kapitana.

— Czy pan chciałby ubiegać się o to stanowisko?

— Tak.

— A ma pan odpowiednie rekomendacje?

— Myślę, że to wystarczy.

Mówiąc to Wilder wręczył przedstawicielowi firmy dwa listy. Tamten natychmiast je przeczytał. W czasie lektury parę razy zerknął sponad okularów na Wildera.

— Hm, dwie bardzo poważne firmy wystawiły panu jak najlepsze świadectwo — powiedział. — Kłopot polega na tym, że nie mamy wolnego stanowiska.

— Słyszałem, że kapitan „Karoliny” jest ciężko ranny...

— Uległ wypadkowi, ale to nic poważnego — odparł agent zezując w stronę stojących niedaleko pasażerów. Podniósł nieco głos. — „Karolina” odpłynie, jak zwykle, pod komendą doświadczonego kapitana, Nicolasa Nichollsa.

— W takim razie przepraszam, że niepotrzebnie zabrałem panu czas — powiedział Wilder. Ukłonił się i chciał już odejść, gdy tamten przytrzymał go za rękę.

— Wolnego, młody człowieku. Interesów nie robi się tak prędko. Co nagle, to po diable. Może coś jednak dla pana znajdziemy. Jak pan sobie wyobraża pensję kapitana tego statku?

— Nie idzie mi ani o pensję, ani o tytuł. Tylko o zaufanie i funkcję, jaka mi zostanie powierzona.

— Tośmy jednak się dogadali. Ale jedna rzecz wymagałaby jeszcze wyjaśnienia. Czasy, jak pan wie, są niepewne. Nie zaszkodziłby więc jakiś dowód, że jest pan osobą wymienioną w listach polecających.

— To prosta sprawa — odezwał się głos z gromadki osób przysłuchujących się tej rozmowie. — Mogę zaświadczyć, kim jest ten pan, i swoje zeznanie poprzeć przysięgą!

Wilder odwrócił się. Zdziwiło go i zaniepokoiło, że spotkał znajomego w chwili, gdy tak mu zależało, aby nikt go nie poznał. Ze zdumieniem w osobie niespodziewanego świadka poznał właściciela gospody „Pod Urwaną Kotwicą”.

Joe Joram miał minę spokojną, godną i wzbudzającą zaufanie.

— Pan, panie Joram — odparł agent — może zaświadczyć, że ten młody człowiek mieszkał u pana, płacił regularnie i przyzwoicie się prowadził. I na tym koniec.

— Mogę też zaświadczyć, że jest to, jak na swój wiek, doskonały marynarz — z niezmaconym spokojem zapewnił oberżysta. — Może inni mają więcej doświadczenia. Ale tak energicznych, czujnych i przezornych marynarzy niewiele pan znajdzie.

— Czy jest pan pewny, że o nim, a nie o kim innym mówią te listy? Joram wziął listy, nałożył na nos okulary, uważnie przeczytał, pokiwał głową i oświadczył:

— Tak, to ten sam pan Wilder. Wszystko się zgadza. W tych listach nie wspomniano tylko, jak pan Wilder, dzięki niezwyklej przytomności umysłu, uratował dwa statki od niechybnej katastrofy. Jeden z tych statków nazywał się „Nancy”, a drugi „Peggy i Dolly”. Jak pan wie, sam pływałem za młodu. Zdaję więc sobie sprawę, co to znaczy uratować statek, gdy sytuacja jest beznadziejna. O tych dwóch zwycięstwach pana Wildera nie raz na własne uszy słyszałem od marynarzy.

Czytelnik zapewne zauważył, że wywód oberżysty dowiódł niewątpliwie jego wymowy i wyobraźni, ale też niczego więcej. Jak to się często zdarza, przedstawiciel firmy jednak dał się przekonać, że Wilder jest osobą wymienioną w papierach. Odprowadził więc młodego marynarza na bok i dobił z nim targu. Ustalono zostało, że Wilder będzie pełnił funkcję kapitana, a kapitan Nicholls wsiądzie wprawdzie na statek, ale co najmniej przez miesiąc nie będzie nim dowodził. Właśnie lekarze nastawili mu złamaną nogę i miał na statku czekać, aż się kość zrośnie.

W godzinę później statek opanowała gorączka odjazdu. Rodziny, przyjaciele, znajomi żegnali pasażerów i marynarzy, jedni przekrzykiwali drugich, niektórzy dopiero teraz przypomnieli sobie o jakichś ważnych sprawach, obarczano odjeżdżających różnymi zleceniami do portów po drodze. Wszyscy byli podnieceni. Odprowadzający zwlekali z opuszczeniem statku, można by rzec, że jak pijawki uczepili się pokładowi i nie dawali się oderwać. Marynarze, z pełnymi uszami rozkazów pilota i pożegnań, biegali wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba, a liny plątały im się w rękach.

W końcu na statku została tylko załoga i pasażerowie. „Karolina” mogła swobodnie wyjść z portu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wilder wezwał pilota, wydał mu rozkazy i stanął na pokładzie, w miejscu, z którego mógł dobrze obejrzeć cały statek i spokojnie pomyśleć o niezwyklej sytuacji, w jakiej tak niespodziewanie się znalazł. Statek mógł ucieszyć oczy najbardziej wymagającego znawcy, załoga była zdrowa, sprawna i żwawa.

Marynarze stanęli wokół kabestanów i na komendę pilota zaczęli nawijać linę kotwiczną. Pracowali miarowo, sprawnie, nie żałując wysiłku. Donośnie przy tym i wesoło pokrzykiwali. Wilder, zgodnie z przyjętym zwyczajem, dołączył do chóru. Jego głos brzmiał dźwięcznie i stanowczo. Marynarze oglądali się z uznaniem na swego nowego dowódcę. Uśmiechnął się z

zadowoleniem i przeszedł na rufę statku. Stały tam obie jego pasażerki.

— Znając pańskie zdanie o tym statku — powiedziała pani Wyllys lodowatym tonem — nie spodziewałam się spotkać pana tutaj, i to na tak odpowiedzialnym stanowisku.

— Pewnie słyszała pani, że kapitan uległ nieszczęśliwemu wypadkowi — odparł.

— Słyszałam. Dziwi mnie tylko, że właśnie pan go zastąpił.

— Może nie docenia pani moich umiejętności. Chciałbym panią zapewnić, że...

— Nie wątpię, że jest pan mistrzem w swoim zawodzie. Czy będziemy miały przyjemność całą podróż odbyć pod pańską opieką, czy pożegnamy się, jak statek wypłynie na pełne morze?

— Polecono mi zaprowadzić ten statek do celu jego podróży.

— Spodziewam się, że prawdziwe lub urojone niebezpieczeństwo, o którym słyszałyśmy od pana, znacznie zmalało. Przecież nie narażał — by się pan wraz z nami.

— Pani źle mnie sądzi — Wilder mimo woli spojrzął na Gertrudę. — Jestem gotów narazić własne życie, aby ustrzec panią i pani towarzyszkę przed niebezpieczeństwem.

Pani Wyllys uśmiechnęła się życzliwie.

— Bardzo miło mi to słyszeć. Kochanie — zwróciła się do Gertrudy. — Nie będziemy panu przeszkadzać. Wyprowadzenie statku z portu jest trudną operacją, nawet jeśli kobiety nie zawadzają na pokładzie;

Obie pasażerki oddaliły się i przystanąły w miejscu, gdzie nie przeszkadzały załodze.

Kotwicę już podniesiono. Marynarze przystąpili do rozwijania żagli. Wilder powtarzał rozkazy, wydawane przez pilota, i czuwał nad ich dokładnym wykonaniem. Po chwili wszystkie żagle były rozwinięte. Wiatr dmuchał od rufy, statek sunął w stronę wyjścia z portu. Wilder zlustrował okiem maszty, reje i żagle. Wyrzwał za burtę, czy nie wlecze się jakaś zapomniana lina. Wszystko było w idealnym porządku. Tylko z prawej burty statku płynęła na holu maleńka łódka. Siedział w niej jakiś chłopak. Wilder podszedł do oficera i spytał, czyja to łódź. Oficer wskazał Jorama, który właśnie wychodził spod pokładu, gdzie zapewne złożył wizytę któremuś ze swych opieszłych dłużników.

Joram podszedł do niego.

— Pomyślnych wiatrów, kapitanie! — powiedział. — O wieczorną bryzę jestem spokojny. Od jutra wiatr będzie pana trochę spychał na wschód.

— A jak długo, pańskim zdaniem, potrwa nasza podróż? — spytał Wilder zniżając głos, żeby nikt z załogi nie dosłyszał.

Joram rozejrzał się ukradkiem. Upewniony, że są sami, powiedział:

— Pięknie za pana przysięgałem, co?

— Serdeczne dzięki. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Niech Bóg pana prowadzi! Skąd by biedny właściciel skromnej gospody mógł wiedzieć, jakie wiatry spotka pan w drodze. W kajucie leży kapitan Nicholls, morze nie ma przed nim tajemnic. A pan, z takimi listami polecającymi, też na pewno świetnie da sobie radę. I nie zawiedzie opinii, jaką o panu wydałem.

Niech cię diabli wezmą, ty chytra sztuko! — pomyślał Wilder. A głośno powiedział:

— Zaraz się rozstaniemy, nie traćmy więc czasu. Wie pan, jaki list dostałem dziś rano?

— Ależ kapitanie! Nie jestem pocztmistrzem w Newport. Skądże miałbym wiedzieć, jakie listy i do kogo dziś przyszły?

— Tchórzliwy łajdak! — mruknął przez zęby Wilder. — Ale jedno może mi pan powiedzieć — dodał głośno. — Czy zaraz będą mnie ścigać, czy liczą na to, że pod jakimś pozorem zaczekam na nich na pełnym morzu?

— Na miły Bóg, panie kapitanie! Dziwne pytania mi pan zadaje. Ja od dwudziestu pięciu lat nie byłem na morzu. Z tego, co pamiętam musi pan wziąć kurs na południe, minąć wyspy...

— Ostrzej do wiatru! — krzyknął pilot do sternika. — Żebyśmy nie dostali się na zawietrzną tamtego statku!

— No, jeżeli nie chce pan zabrać się z nami, niech pan wraca do swej łódki — powiedział Wilder do Jorama.

— Tak jest. Żal mi się rozstać z panem, ale co robić! — odparł oberżysta.

Już z łódki zawołał:

— Szczęśliwej drogi, chłopcy! Rzućcie linę.

Łódka nawróciła i stanęła. Statek przepłynął koło niej. Podobny był do słonia, któremu motyl sfrunął z grzbietu.

— Przebrasować trochę reje! — wołał pilot. — Inaczej nigdy nie miniemy tamtego statku! Ostrzej do wiatru! — przypomniał sternikowi.

Wilder przeszedł na burtę, z której mógł obserwować statek Czerwonego Korsarza. W ten sposób znalazł się znów obok swych pasażerek. Gertruda z wielkim zaciekawieniem przyglądała się tamtemu statkowi.

— Będzie pan drwił ze mnie — powiedziała — ale wolałabym odbyć podróż na tamtym statku. Jest taki piękny!

— To prawda, że piękny — odparła pani Wyllys. — Ale nie wiem, czy taki wygodny i bezpieczny jak nasza „Karolina”.

— Wygląda jak ptak unoszący się na falach oceanu.

— Twój zachwyty można by uznać za wróżbę, że wyjdiesz kiedyś za marynarza.

Gertruda lekko się zaczerwieniła. Chciała odpowiedzieć na żart pani Wyllys, odwróciła głowę w jej stronę i mimo woli spojrzała w oczy Wilderowi. Pąsowy rumieniec oblał jej policzki. Nic nie powiedziała. Wielki słomkowy kapelusz zasłonił jej twarz i zdradzieckie rumieńce.

— Czy to jest okręt wojenny? — spytała po chwili, wskazując na „Delfina”.

— Mówią, że to statek niewolniczy — odparła pani Wyllys.

— Jakże mylą pozory! Jest taki piękny, a uprawia nikczemny — handel niewolnikami.

— Tak, pozory! — zawołał Wilder; — Statek ten rzeczywiście służy nikczemnym celom, może mi pani wierzyć.

Pani Wyllys głęboko zajrzała mu w oczy.

„Karolina” tymczasem wyszła już z basenu portowego. Statek Czerwonego Korsarza zagradzał jej drogę. Należało go minąć od jego burty nawietrznej, nie tyle dlatego, że w przekonaniu marynarzy wymaga tego honor statku, ile że w ten sposób można było uniknąć zmiany kursu w bardzo niewygodnej dla „Karoliny” sytuacji. Wilder miał, oczywiście, znacznie poważniejsze powody do obaw.

Nie znał zamiarów Korsarza. Ale zdawał sobie sprawę, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi „Karolinie”. Nadbrzeżne działa nie mogły jej obronić. Gdyby Korsarz zaatakował, na oczach całego miasta bezkarnie by uprowadził „Karolinę”. Położenie obu statków zachęcało do napaści. „Karolina” byłaby bezbronną ofiarą w starciu z tak potężnym przeciwnikiem. Z tego, co mówiono o Korsarzu, jawna, wyzywająca napaść odpowiadała jego naturze. Tylko kaprys mógł zadecydować, że nie rzuci się na upatrzoną ofiarę.

Wilder wiedział, że w każdej chwili może stracić, wraz ze statkiem, funkcję kapitana, zdobytą w tak nieoczekiwany sposób. Wpatrywał się w statek Korsarza, usiłując przejrzeć jego zamiary. Nic jednak nie wskazywało, by Korsarz chciał od płynąć lub zmienić położenie statku. Na „Delfinie” panowała głęboka cisza. Na pokładzie nie było widać żywej duszy. Samotny marynarz siedział na jednej z niższych rej i coś

tam naprawiał. Był to widok normalny na każdym statku w czasie postoju. Jedno tylko budziło podejrzenie. Marynarz siedział od strony nawietrznej, mógł więc. w każdej chwili rzucić harpunem w sternika „Karoliny” i doprowadzić do zderzenia statków. Wilder natychmiast wezwał pilota.

— Wie pan co — powiedział. — Wcale nie musimy mijać tamtego statku od nawietrznej. Chyba bezpieczniej będzie wziąć go od jego zawietrznej burty.

— Nie ma obawy, kapitanie — odparł pilot. Jego władza na statku była krótka i tym zazdrośniej jej strzegł. — Nie ma obawy — powtórzył. — Przechodziłem tędy na pewno więcej razy, niż pan przepłynął ocean. Znam tu każdą skałę na dnie. Czuję się pewniej niż mieszkaniac Newport na swojej ulicy. Ostrzej do wiatru! — krzyknął do sternika.

— Widzi pan, że żagle już tracą wiatr. Kto będzie płacił za szkody, jak zderzymy się z tamtym statkiem?

— Ja odpowiadam. Jeżeli zrobi się dziura w jakim żaglu, moja żona ją panu zaceruje cienką niteczką.

— Żarty na bok, mój panie! — odparł Wilder. — Zanim pan przestanie się chwalić, nadziejemy się na tamten statek. Przebrasować reje, chłopcy! — Tak, przebrasować, chłopcy! — powtórzył jak echo pilot spuszcżając z tonu.

Widać było coraz wyraźniej, że nie przejdą od nawietrznej.

— Niech pan trzyma statek jak najdalej od tamtego! — krzyknął Wilder. Już nie starał się przekonać pilota. Po prostu wydał rozkaz.

— Tak trzeba — zgodził się pilot — bo wiatr zmienia kierunek. Wal, bracie — krzyknął do sternika — na rufę tamtego statku! Odpadaj od wiatru! Rozwinąć lekkie żagle! Cóż to? Liną zagrodzili nam drogę. Oddam za to ich kapitana pod sąd!

— Czego ten gałgan chce? — mruknął do siebie Wilder i wskoczył na działo, żeby lepiej widzieć.

Oficer wskazał mu po zawietrznej tamtego statku, linę, która tłuła o wodę. Widocznie właśnie ją naciągano.

Wilder zrozumiał, o co chodzi. Korsarz rzucił z tej strony kotwicę i teraz wybierał linę, żeby mu przeciąć drogę. Oficerowie „Karoliny” siarczyście klęli, oburzeni na postępowanie kapitana tamtego statku. Tylko pilot był z tego zadowolony. Poprowadził „Karolinę” tak, że minąć tamten statek było równie trudno z jednej jak z drugiej strony. Teraz miał przynajmniej wymówkę. .

— Panie pilocie — odezwał się Wilder. — Musi pan przejść od nawietrznej. Teraz nie ma innej rady.

— Ja umyvam ręce — odparł pilot. — Przecież od samego początku chciałem to zrobić. Wszystkich obecnych na pokładzie wzywam na świadków. Jeżeli statek dozna szkody, sprawa oprze się o sąd. Steruj z wiatrem, bracie! — zawołał do sternika. — Kładź ster na burtę!

Sternik wykonał rozkaz. Przerzuczał szprychy, zakręciło się koło sterowe. Statek odczuł podmuch i ustawił się z wiatrem. Żagle załopotwały, jak stado ptaków zrywające się do lotu, i zaraz się naprężyły. Ale „Karolina” bezsilnie sunęła w stronę drugiego statku, a na domiar złego wiatr osłabł.

Zderzenie zdawało się nieuniknione. Statki były za blisko siebie, aby jakikolwiek manewr mógł

się udać. Wiatr był niestały, zrywał się i cichł na przemian. W czasie podmuchów wysokie maszty „Karoliny” kłaniały się tamtemu statkowi, jakby go żegnały, ale gdy wiatr ustawał, „Karolina” powoli dryfowała w stronę jego burty zawietrznej. Wynik był taki, że wciąż się zbliżała do niebezpiecznego zawalidrogi. Tylko gwałtowny podmuch i zmiana kierunku wiatru mogły ją ocalić.

Oficerowie „Karoliny” nie żalowali sobie grubych słów pod adresem nieudolnego pilota, który wpakował statek w taką kabałę. Pilot pokrywał zmieszanie licznymi i donośnymi rozkazami. Ale jedna komenda zaprzeczała drugiej i po chwili marynarze nie wiedząc, co mają robić, stanęli z założonymi rękami.

Wilder też założył ręce i z niezmaconym spokojem patrzył na to, co wyprawia nieszczęsny pilot. Stał niedaleko swych pasażerek.

— Czy są powody do obaw? — spytała pani Wyllys.

— Mówiłem pani, że „Karolina” nie jest bezpiecznym statkiem.

— Dlaczego marynarze ze statku niewolniczego tnie pokazali się dotąd i nie przyszli nam z pomocą?

— Właśnie, dlaczego? Ale zdaje się, że niezadługo ich zobaczymy.

— Z pańskiej miny wnoszę, że to spotkanie może być dla nas niebezpieczne.

— Cokolwiek się stanie, proszę trzymać się blisko mnie — odparł Wilder zaciskając wargi.

Pilot miotał się po pokładzie i sypał rozkazami jak z rogu obfitości.

Marynarze stali beczynnymi, jakby zamarli w bezruchu. Jedni przekazywali dalej komendy, inni zmieniali je na własną rękę starając się nadać im sens.

— Cicho! — krzyknął Wilder.

Głos zabrzmiał spokojnie i stanowczo. Wszyscy odwrócili się, żeby zobaczyć, kto krzyknął. Wilder stanął na kabestanie, żeby lepiej ogarnąć wzrokiem sytuację. Statek Korsarza kołysał się na fali jak zaczarowany. Nikogo nie było na pokładzie. Tylko ten sam marynarz co przedtem pracował pilnie i z takim spokojem, jakby „Karolina” była co najmniej o sto mil od niego.

— Zwinąć wszystkie żagle, co do jednego! — rozkazał Wilder.

— Tak, zwinąć wszystkie żagle! — jak echo powtórzył pilot.

— Czy mamy jakąś łódź na wodzie? — spytał Wilder. Tuzin głosów odpowiedział, że tak.

— Wrzucić do niej pilota! — krzyknął Wilder.

— To jest bezprawie! — zawołał pilot. — Załoga ma słuchać tylko mnie!



— Jazda! Do łodzi go! — Wilder powtórzył rozkaz.

Wśród gorączkowego zwijania żagli protesty pilota nie zrobiły żadnego wrażenia. Dwóch oficerów podniosło go w górę i rzuciło do łodzi jak kłodę drzewa. Za nim poleciał koniec liny.

Tymczasem marynarze wykonali rozkaz kapitana. Wielkie płachty żagli, które jeszcze przed chwilą łopotały lub wyrzuszały się to w jedną, to w drugą stronę, teraz przywarły do rej. Manewr, jaki należało wykonać, wymagał wielkiego skupienia i bardzo precyzyjnych rozkazów. Młody kapitan stanął na wysokości zadania. Tu rozwinięto jeden żagiel, tam drugi wystawiono na wiatr, ówdzie jakiś mały żagielek błysnął i rozwiął się jak mgielka w słońcu. Przez cały czas Wilder wydawał rozkazy, które natychmiast były wykonywane. Statek sprawiał wrażenie żywej istoty, która rozumiała, że jej los znalazł się teraz w pewnych rękach. Wielka chmura żagli i wysokie maszty uzbrojone w reje ożyły i stały się posłuszne woli kapitana. Statek zaczął wykonywać zwrot.

Wilder przez cały czas nie spuszczał z oka statku Korsarza. Panowała tam grobowa cisza. Tylko ten jeden marynarz wciąż niestrudzenie pracował, jakby zapomniał o świecie bożym. Ale statek niewolniczy wcale nie zastygł w bezruchu. Nieznacznie, pomalutku przesuwiał się tak, że mimo oddalania się „Karoliny” wciąż był ustawiony do niej burtą i wciąż paszcze jego dział celowały prosto w jej pokład. Statek Korsarza przypominał przyczajonego tygrysa, który ani na sekundę nie spuszcza z oka swej ofiary. Po każdym rozkazie Wilder spoglądał na działa „Delfina”, żeby sprawdzić, czy pozwolą na wykonanie manewru.

„Karolina” wreszcie odeszła na tyle, że mogła pod wiatrem minąć intruza.

Kończył się odpływ, wiatr był zbyt słaby, aby można walczyć z przyływem — Wilder kazał zwinąć żagle i rzucić kotwicę.

„Karolina” zakotwiczyła w odległości jakichś siedmiuset stóp od statku Korsarza.

Wilder, pełen otuchy i nieukrywanej dumy, że tak się spisał w trudnej sytuacji, podszedł do obu pań.

— Załoga tamtego statku to ludzie bez serca — powiedziała pani Wyllys. — Miałam wrażenie, że spotkaliśmy statek widmo. Byliśmy, zdaje się, bliscy zderzenia.

— Owszem, niewiele brakowało — odparł Wilder. — Ale, jak pani widzi, już po wszystkim.

— Wielka w tym pańska zasługa. W pana rękach „Karolina” okazała się znacznie lepsza, niżby wynikało z tego, co pan nam o niej opowiadał. Nie sztuka bawić się kosztem łatwowiernych kobiet! Myślę, że to się już nie powtórzy.

— Mogę tylko jeszcze raz zapewnić, że ani matce, ani siostrze, ani żonie nie pozwoliłbym wsiąść na ten statek.

— Czy rzeczywiście jest to statek niewolniczy? Dlaczego pokazał się tylko jeden marynarz? Czy to możliwe, by reszta załogi spała? W chwili gdy grozi zderzenie?

— W takich chwilach załoga nie śpi.

— Tak mi się też zdawało. A gdyby doszło do zderzenia, załoga tamtego statku nie ocknęłaby się z beczynności?

— Myślę, że by się ocknęła.

— Przychodzą mi do głowy najgorsze podejrzenia. Czy ktoś z załogi tego statku pokazał się w porcie?

— Tak.

— Ludzie mówią, że widziano w lecie okręt pływający pod fałszywymi banderami, że były wypadki grabieży statków handlowych, że napastnicy znęcali się nad załogą i pasażerami tych statków. Słyszałam nawet, że osławiony Czerwony Korsarz, który dotąd grasował u wybrzeży kolonii hiszpańskich, pojawił się na Morzu Karaibskim.

Wilder utkwiał wzrok w pokładzie i milczał.

— Handel niewolnikami jest zajęciem dostatecznie obrzydliwym — podjęła pani Wyllys. — Może moje podejrzenia są nazbyt pochopne. Co pan o tym sądzi?

— Nic nie mógłbym dodać do tego, co powiedziałem.

— Czy pańska obecność na „Karolinie” zmniejsza niebezpieczeństwo?

— Niebezpieczeństwo jest mniejsze, ale nadal istnieje.

Gertruda do tej chwili słuchała bez słowa. Teraz nagle odwróciła się i z płonącymi policzkami zapytała:

— Zabroniono panu mówić?

Wilder też się zaczerwienił. Popatrzył na Gertrudę, pomyślał i odparł:

— Wiem, że mogę paniom zaufać.

— Na pewno — powiedziała pani Wyllys. — Cokolwiek się stanie, nie zdradzimy pana.

— Ja się wcale nie boję o siebie. Pani mnie źle zrozumiała.

— O nic pana nie podejrzewamy! — zawołała Gertruda. — Boimy się tylko, co będzie z nami.

Wilder nie zdążył odpowiedzieć, gdyż odezwał się potężny głos pierwszego oficera, który wołał do młodszego kolegi stojącego na fokmaszcie:

— Na tamtym statku zmieniają wachtę. Do tej pory można by ich statek trzymać pod kloszem i

pokazywać dzieciom szkolnym, jak piękny model!

— Tak! — odkrzyknął tamten. — U nich wachta jak słońce w Grenlandii! Pół roku na pokładzie, pół roku pod pokładem!

Marynarze głośnym śmiechem przyjęli dowcipy oficerów.

Wilder wpatrywał się w statek. Korsarza. Marynarz, który tak długo siedział samotnie, zniknął, natomiast po tej samej rei szedł inny marynarz z końcem liny w ręce. Widocznie miał zająć miejsce tamtego. Wilder nie mógł się mylić. Marynarzem przejmującym służbę był Fid. Alkohol musiał mu już wyparować z głowy, bo na zawrotnej wysokości poruszał się pewnie, jakby szedł ulicą.

Wilder nagle spochmurniał. Pani Wyllys zauważyła to i uznała za stosowne podjąć przerwana przed chwilą rozmowę.

— Niepokoi się pan o nas, prawda? — spytała.

— Tak. Obroniłbym panie kosztem własnego życia. Ale nie kosztem honoru.

— Gertrudo, pójdziemy do naszej kajuty — chłodno zakończyła rozmowę pani Wyllys.

Obie panie skinęły mu głowami i odeszły.

Załoga zwijała liny i sprzątała pokład. Młody kapitan pogrążył się w zadumie.

Ocknął się, gdy usłyszał plusk wiosła. Wyjrzał za burtę i zobaczył w odległości dziesięciu stóp od statku małą łódź rybacką. Siedział w niej jakiś mężczyzna odwrócony plecami do statku.

— Jeżeli wybrałeś się, przyjacielu, na okonia — zawołał Wilder — to niepotrzebnie kręcisz się koło statku. Wypłynij na zatokę, a złowisz okonia i niejedną smaczną rybkę! Lepiej ci się to opłaci.

— Już ja wiem, co mi się opłaci — odparł rybak odwracając głowę.

Wilder ujrzał chytrą gębę osobnika, który przedstawił mu się w Newport jako Bob Bunt.

— Jak śmiesz, nędzny oszuście, pokazywać mi się na „oczy! — krzyknął Wilder.

— Ciszej, zacny kapitanie, ciszej! — uspokajał go tamten przykładając palec do ust. Możemy sobie pogawędzić, ale nie trzeba zaraz alarmować całej załogi. Bez świadków łatwiej się rozmawia. Dlaczego to popadłem w niełaskę u pana kapitana?

— Dlaczego? To dobre. A kto cię opłacił?

— Zawarliśmy wprawdzie pewną umowę, ale pan zapomniał zapłacić całej należności, wobec czego ja też się nie śpieszyłem. I sprawa przeciekła nam między palcami.

— Jak to? Cóż to za kłamstwa? O czym zapomniałem? Rzekomy rybak wolno wyciągnął wędkę z

wody. Na końcu zamiast

haczyka była ołowiana kulka.

— O czym pan zapomniał? To dobre. A druga gwinea?

— Miałeś ją dostać po wykonaniu zadania.

— Ja pracuję za gotówkę. Wykonałem pół roboty.

— Ty łajdaku! Nawet nie zacząłeś.

— Myli się pan. Połowę zrobiłem. Miałem pójść do pewnego domu na górce i jednej pani, wie pan komu, poprzestawiać meble w głowie. Otóż wlałem pod tę górę. To było za jedną gwineę.

— I powiedziałeś tej pani co innego, niż było umówione.

— Owszem. Za to nic nie dostałem. To już jest tylko kwestia zapatrywań.

— Skończysz, łotrze, na szubienicy!

— Niech pan za mocno nie dmucha! Jeśli pan steruje statkiem tak jak własną głową, to ładnie pan popłynie na południe! Czy naprawdę nie rozumie pan, że staremu człowiekowi trudniej było wdrapać się na tę górę, niż zbijać tę starą i łatwowierną kobietę? Po przyjsciu na miejsce postanowiłem od pana nic już nie wziąć, a za fachową opinię zainkasować od bogatej wdowy.

— Łajdak! — krzyknął Wilder. Zrobiło mu się ciemno w oczach.

— Hej, tam! — zawołał. — Spuścić szalupę i złapać tego rybaka! Niech krzyczy, ile chce! Mam z nim porachunki, coś mu się ode mnie należy.

Porucznik, do którego zwrócił się Wilder, skoczył do burty, wyjrzał, zobaczył łódkę. Nie minęła minuta i już siedział z czterema marynarzami w szalupie spuszczonej na wodę. Okrążyli rufę i ukazali się po tej stronie statku, gdzie znajdowała się łódka rybaka.

Bob Bunt zrobił kilka energicznych ruchów wiosłami i zatrzymał się w odległości jakichś dwudziestu sążni. Chichotał, zadowolony z siebie, a gdy zobaczył szalupę, tak się przyłożył do wiosła, że stało się jasne, iż wcale niełatwo będzie go dogonić.

Z początku nie wiadomo było, dokąd zmierza. Kluczył, wykonywał gwałtowne zwroty, kpił sobie z ciężkiej i niezbyt zwrotnej szalupy. W końcu jednak znudziło mu się to, a może czuł, że siły go opuszczają, dość że skierował łódkę prosto na statek Korsarza.

Pościg był zaciekły. Marynarze na pokładzie „Karoliny” zachęcali kolegów w szalupie okrzykami i oklaskami. Dystans między szalupą i łódką szybko się zmniejszał. W końcu jednak łódka dopadła rufy „Delfina” i zniknęła z oczu obserwatorów. Marynarze z „Karoliny” wpinali się na maszty i reje, żeby zobaczyć dalszy ciąg pościgu po drugiej stronie tamtego statku. Nic jednak nie

zobaczyli. W chwilę potem szalupa wróciła. Cała załoga „Karoliny” zebrała się przy burcie. Obie pasażerki usłyszały hałas i wyszły na pokład zobaczyć, co się dzieje. Marynarze z szalupy mieli głupie miny i milczeli jak zakłęci. Oficer bez słowa wszedł na pokład i natychmiast odszukał kapitana.

— Łódka była za lekka dla naszej szalupy — spokojnie powiedział: Wilder do oficera.

— Czy pan zna tego rybaka? — spytał tamten. — Trochę. Wiem, że to ciemny łotr.

— Na pewno ciemny, bo trzyma z diabłem.

— Tego bym nie powiedział. Go się z nim stało?

— Łatwo zapytać, trudno odpowiedzieć. To stary człowiek, siwą ma głowę, a wiosłował tak, że łódź leciała nad wodą. Byliśmy o jakąś, minutę za nim, ale gdyśmy wypłynęli na drugą stronę tamtego statku po nim i jego łódce nie było ani śladu!

— Cóż się mogło z nim stać?

— Zniknął jak kamfora. Załoga tamtego statku też go nie widziała.

— Jaka załoga?

— Nie załoga, tylko jeden marynarz.

— Co robił?

— Siedział na rei i drzemał. Oni nic tam nie robią, tylko śpią. Armatorzy muszą grubo dokładać do tego statku.

— Możliwe. Uciekł; trudno, nie ma o czym mówić. Panie Earing — Wilder zwrócił się do drugiego oficera — nadciąga bryza od morza. Trzeba rozwinąć górne żagle. Musimy być gotowi. Chciałbym zobaczyć zachód słońca na pełnym morzu.

Załoga, pod komendą obu młodszych oficerów, wzięła się różnie do roboty. Marynarze wypytywali kolegów z szalupy o szczegóły pościgu, tamci odpowiadali z bardzo niewyraźnymi minami.

Pani Wyllys słyszała rozmowę Wildera z oficerem.

— Widzi pani — powiedział Wilder — że nasza podróż nie najlepiej się zaczęła.

— Może pan być pewny, że żadne czary nas nie odstraszą — z uśmiechem odparła pani Wyllys.

— Do kabestanu! — zawołał Wilder.

Odezwała się pieśń marynarzy obracających kabestan. W chwilę potem kotwica została

podniesiona, i statek odzyskał swobodę ruchów.

Od oceanu powiał wiatr nasycony solą. Żagle ożyły, statek pokłonił się oczekivanemu gościowi i lekko uniósł się na fali. W labiryncie takielunku wiatr zaśpiewał pieśń miłą sercu każdego marynarza. Głos wiatru i jego rześki powiew dodały sił załodze. Kotwica była już umocowana, górne żagle rozwinięte, dziób pruć fale.

Wyrzucając pilota Wilder wziął na siebie poważną odpowiedzialność. Miał sam wyprowadzić statek między wyspami na pełne morze. Na szczęście kanał wśród wysp nie był trudny, a wiatr sprzyjał przeprawie. Całe ryzyko polegało na tym, że trzeba było przejść tuż koło statku Korsarza. Kiedy bezustanne sondowanie oznajmiło Wilderowi, że bardziej zbliżyć się do brzegu wyspy byłoby niebezpieczniej zmienił kurs i obrócił „Karolinę” dziobem do „Delfina”.

Manewr odbywał się w znacznie lepszej sytuacji niż za pierwszym razem. Wiatr dął bez przerwy, załoga panowała nad „Karoliną”. Niemniej wszyscy byli podnieceni. Nieznany statek swym dziwnym zachowaniem niepokoił marynarzy, ale jeden tylko Wilder naprawdę zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa.

Sternik chciał przejść od strony nawietrznej. Ryzyko było mniejsze niż przedtem, ale Wilder wolał postąpić ostrożnie.

— Przejść od zawietrznej! — zawołał do sternika.

Na statku Korsarza panowała cisza, tylko wiatr szumiał w olinowaniu. Gdy „Karolina” zrównała się z nim burta, na rufę wybiegł mężczyzna w oficerskim mundurze i pomachał Wilderowi czapką. Wiatr zwichrzył mu włosy. Wilder nie mógł się mylić. Ujrzał przenikliwe oczy Czerwonego Korsarza, poznał jego twarz.

— Uważa pan, że ten wiatr się utrzyma? — zawołał Korsarz.

— Chyba tak. Jest dosyć silny — odkrzyknął Wilder.

— Przezorność nakazywałaby wykorzystać ten wiatr i zrobić tyle drogi na wschód, ile panu trzeba. .

— Myśli pan, że ten wiatr zwróci się potem na południe?

— Tak mi się zdaje. Ale w nocy wiatr z burty powinien panu wystarczyć.

„Karolina” minęła już statek Korsarza i wracała na swój kurs. Korsarz pomachał Wilderowi czapką na pożegnanie i zniknął.

— Czy to możliwe, żeby ten człowiek handlował ludźmi? — spytała Gertruda.

— Bardzo dziwny człowiek — przyznała pani Wyllys.

— I wcale nie wyglądał na handlarza niewolnikami.

— Niech mi pan powie — spytała Wildera pani Wyllys — czy to był kapitan statku?

— Tak.

— Pan go zna?

— Spotkaliśmy się kiedyś.

— Jak się nazywa?

— Wiem, że jest kapitanem. Nie znam nazwiska.

— Gertrudo, wróćmy do kajuty. Kiedy znajdziemy się na pełnym morzu, pan Wilder zechce nas o tym zawiadomić.

Wilder skinął głową. Obie panie zeszły z pokładu.

Dzięki zręcznym rozkazom Wildera „Karolina” płynęła z szybkością, jakiej nigdy przedtem chyba nie rozwinęła. Łąd za nimi wolno rozplątywał się w mgle. Poproszono panie na pokład, aby pożegnały się z ziemią.

Zanim się ściemniło i wyspy zatonęły w oceanie, Wilder, z lunetą w ręce, wspiął się na najwyższy maszt. Długo patrzył w stronę portu, od którego dzielił go coraz większy obszar wód. Zszedł uspokojony, z uśmiechem na ustach. Pewnym, wesołym głosem wydawał rozkazy. Starsi marynarze nie mogli się nadziwić, że „Karolina” jest zdolna do takiej szybkości. Oficerowie rzucili log i z uznaniem kiwali głowami. Słowem, na statku wszyscy byli zadowoleni i weseli.

Tymczasem słońce zanurzyło się w oceanie, oświetlając szeroko zimne i ciemne wody. Cienie nocy gęstniały nad powierzchnią przepastnej głębin.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W czasie pierwszej nocnej wachty nic się nie wydarzyło. Wilder zasiadł do kolacji z paniami. Był w świetnym humorze. Nie tylko ani słowem nie wspomniał o niebezpieczeństwie, jakie im groziło, ale starał się, aby jego pasażerki zapomniały o wszelkich obawach. Opowiadał więc różne wesołe morskie przygody. Pani Wyllys słuchała życzliwie i z pobłażliwym uśmiechem. Gertruda myślała o tym, że każda przebyta mila zbliża chwilę spotkania z ukochanym ojcem. Z tym większą przyjemnością słuchała opowieści Wildera. Młody kapitan okazał się człowiekiem dowcipnym i bardzo dobrze wychowanym. Gertrudzie drgały kąciki ust, na policzkach rysowały się dołki. Chciała zachować powagę. A jednak parę razy parsknęła śmiechem.

Wybiła ósma. Przeciągły, ochryply głos wzywał śpiących na zmianę wachty. Gertruda zadrzała.

— To tylko zmiana wachty — uspokoił ją Wilder. — Marynarze śpią jak dzieci i niełatwo ich obudzić. Jeden kapitan ma zawsze lekki sen.

— Pan jest bardzo młodym kapitanem — zauważyła pani Wyllys.

— W służbie szybko się starzejemy.

— To dlaczego nie rzuci pan tej służby? — zawołała Gertruda. Wilder zajął jej w oczy.

— To przecież całe moje życie — odparł.

— Od dawna pan służy w marynarce? — spytała pani Wyllys.

— Zdaje mi się, że urodziłem się na morzu.

— Jakże to? Chyba zna pan miejsce swego przyjścia na świat.

— Wiadomości w tej sprawie czerpiemy zawsze z drugiej ręki — z uśmiechem odparł Wilder.

— Pierwszym wspomnieniem z mego dzieciństwa jest widok oceanu. I na pokładzie statku uczyłem się chodzić. — Uśmiechnął się smutno i dodał: — Muszę jeszcze raz wyjść na pokład, należy to do moich obowiązków. Czy zechciałyby panie zobaczyć, jaka pogoda zapowiada się na noc?

Podał ramię pani Wyllys i wyszli w trójkę.

Noc była raczej mglista niż ciemna. Wszedł księżyc w pełni, ale wędrował po niebie kryjąc się za masą ciemnych chmur. Tu i ówdzie promień księżycy przedzierał się przez kłęby chmur i mgły i oświetlał wody mętnym blaskiem, jakby ktoś wśród gęstych ciemności zapalił świeczkę. Pochylona na burtę „Karolina” pruła fale rzucając przed siebie sierpy piany. Sprawiało to wrażenie, że morski żywioł tańczy na drodze statku. Gertruda wpatrywała się w ocean jak urzeczona.

— Dla samego takiego widoku warto było wybrać się w podróż! — powiedziała.

— Na pewno! — odparł Wilder. — Panie Earing — zwrócił się do oficera — wiatr jest za silny na górne żagle. Proszę je zwinąć i iść baksztagiem

Oficer wydał marynarzom odpowiednie rozkazy. Wilder, zwrócony twarzą do wiatru, długo wpatrywał się w niebo i ocean. Podmuchy były porywiste, chwilami gwałtownie uderzały w żagle.

Wilder coś mruknął do siebie i wielkimi krokami zaczął spacerować po pokładzie. Gdy przechodził koło pasażerek, zauważyły, że utkwiał niespokojny wzrok w jakimś dalekim punkcie na oceanie.

— Czy pogoda się psuje? — spytała guwernantka.

— Gdy wiatr tak dmie, nie po zawietrznej szukamy prognozy pogody — odparł.

— Czegóż więc wypatruje pan po zawietrznej? — nastawała pani Wyllys.

Wolno podniósł rękę, jakby chciał jej coś wskazać palcem.



— To złudzenie — powiedział.

Odwrócił się na pięcie i znów zaczął spacerować, jeszcze szybciej niż przedtem.

Panie, zdziwione i trochę zaniepokojone zachowaniem młodego kapitana, wyteńczyły wzrok. Widać było tylko wzburzone fale, okryte białą pianą. — Nic nie widzimy — powiedziała Gertruda, gdy znów stanął koło nich i wpatrzył się w morze.

— Proszę spojrzeć! — wskazał palcem. — Czy nic panie nie widzą?

— Nic.

— Tam, gdzie niebo i wody się spotykają! Gdzie widać smugę mglistego światła i gdzie fale wznoszą się jak wzgórza na horyzoncie. O, teraz fale opadły. Tak, wzrok mnie nie mylił. Na Boga, to statek!

— Żagiel, ho! — zawołał marynarz z wierzchołka masztu.

W uszach Wildera okrzyk ten zabrzmiał jak złowróżbne krakanie jakiegoś niesamowitego ptaka.

— Gdzie ten statek? — zawołał Wilder.

— Po zawietrznej, panie kapitanie! — odkrzyknął marynarz. — Płynie baksztagiem, od godziny go widzę, ale myślałem, że to mgła.

— Tak, ma rację — mruknął Wilder. — Skąd się ten statek mógł tutaj wziąć? To dziwne.

— Znalazł się tutaj tak samo jak my — powiedziała pani Wyllys.

— Ale ja bym wolał, żeby popłynął na północ.

Znów wpatrzył się w horyzont. Panie poszły za jego przykładem.

— Nic nie widzę — powiedziała Gertruda.

— Widzi pani tę smugę blasku? — spytał wskazując palcem. — Chmury się nieco podniosły odsłaniając białawą pianę. Na tle nieba statek rysuje się jak pajęczyna, ale można gołym okiem dostrzec jego smukłą sylwetkę, a nawet trzy maszty.

Nareszcie obie zobaczyły.

— To rzeczywiście statek, ale chyba bardzo daleko — powiedziała pani Wyllys.

— Wolałbym, żeby był znacznie dalej i żebyśmy go nigdy nie zobaczyli.

— Może płynie z Nowego Jorku na wyspy Morza Karaibskiego.

— Nie — Wilder potrząsnął głową. — Przy tym wietrze żaden statek z Nowego Jorku tak daleko

by się nie zapędził.

— Skądkolwiek płynie, nie widzę żadnego powodu do obaw — stwierdziła guwernantka patrząc w oczy Wilderowi.

Nie odpowiedział. Zawołał oficera i odbył z nim naradę. Wachtę pełnił Earing, pierwszy oficer. Był to dzielny, ale niezbyt bystry marynarz. W pojawieniu się statku na horyzoncie nie widział nic godnego zastanowienia.

Przez chwilę obserwowali tamten statek posługując się doskonałą nocną lunetą.

— Nie rozumiem, jakim cudem on się tam znalazł — powiedział Wilder.

— Byłoby dla niego znacznie lepiej — odparł wolno myślący oficer — gdyby się znajdował tutaj. A my powinniśmy być jakieś dwanaście mil dalej na wschód. Bo przy tym wietrze...

— Czy pan nie rozumie — przerwał mu Wilder — że żaden statek, jeśli nie płynął naszym śladem, nie mógł się znaleźć w tamtym miejscu? Bo żaden statek, który wypłynął z któregoś portu na południe od Nowego Jorku, nie znalazłby się przy tym wietrze tak daleko na północy. Tak samo żaden statek z kolonu York nie będzie tędy płynął ani na wschód, ani na południe.

To rozumowanie może się wydać czytelnikowi niejasne. Ale zacny pierwszy oficer doskonale zrozumiał kapitana, bo miał w głowie dokładną mapę oceanu, na której zaznaczone były wszystkie wiatry.

— Rzeczywiście — przyznał — diabli wiedzą, skąd on się tu wziął. Nic z tego nie rozumiem. W roku 1746 mijaliśmy Przylądek Dobrej Nadziei. Patrząc, statek przed nami. I przez całą godzinę ani nie drgnął, choć dął silny wiatr. Nie chcę za dużo powiedzieć, ale są to sprawy, których w zwyczajny sposób nie da się wytłumaczyć.

— Ciekawe — przyznał Wilder, ale widać było, że myśli o czym innym.

— Opowiadają marynarze, że „Latający Holender” czasem się tutaj pokazuje. Zawsze płynie od nawietrznej, prosto na Bogu ducha winny statek, jakby go chciał napaść. Na niejednej fregacie królewskiej zerwano w nocy całą załogę ze snu, gdy posterunki dostrzegły statek o dwóch pokładach z oświetloną baterią dział gotowych do strzału. Ale ten statek nie może być „Latającym Holendrem”, za mały jest na to.

— To na pewno nie „Latający Holender” — zgodził się Wilder.

— A poza tym nie ma na nim żadnych świateł i, co najważniejsze, widzimy go po zawietrznej, a „Holender” zawsze zjawia się z nawietrznej.

Wilder głęboko westchnął, jakby obudził się ze snu.

— Hej! Posterunek na maszcie! — zawołał.

— Tak jest, kapitanie! — odkrzyknął marynarz z masztu.

— Kiedy zobaczyłeś ten statek?

— Ja dopiero objąłem służbę, ale ten, co był przede mną, mówi, że przeszło godzinę temu.

— A kto tam siedzi koło ciebie?

— To właśnie on. Bob Brace, panie kapitanie. Nie chce mu się spać i siedzi ze mną.

— Niech złazi! Chcę z nim pogadać.

— Dlaczego nie leżysz w swoim hamaku, co? — surowym tonem spytał Wilder marynarza, który zsunął się na pokład.

— Nie chce mi się spać i chciałem tam posiedzieć jeszcze z godzinkę.

— Masz dwie wachty tej nocy i jeszcze ci mało?

— Żeby tak prawdę powiedzieć, panie kapitanie, to trapią mnie złe przeczucia. Od chwili jakieśmy podnieśli kotwicę, panie kapitanie.

Pani Wyllys i Gertruda słyszały tą rozmowę. Podeszły bliżej.

— A co ci się, obywatelu, nie podoba? — podniesionym głosem z nutą pogardy spytał Wilder. — Chciałbym wiedzieć, co takiego się stało na tym statku, że straciłeś do niego zaufanie?

— Jak się pan kapitan pyta, to powiem — zaczął marynarz miętosząc czapkę w rękach. — Wiosłowałem dziś rano w tej szalupie, jak goniliśmy starego rybaka. Tak jakoś zniknął nam z oczu, że mi się to bardzo nie spodobało. A teraz ten statek po zawietrznej nie daje mi spokoju. Długo się będę huśtał w hamaku, zanim oczy mi się skleją.

— Kiedy zobaczyłeś ten statek?

— Nie przysięgłbym, że to statek z tego świata, panie kapitanie. A zobaczyłem go krótko przed wybiciem siódmej.

— Czy jego pozycja zmieniła się od tamtej chwili?

— Nie, wedle kompasu, nie. Musi to być szybki statek, jeżeli dotrzymuje kroku „Karolinie”.

— No dobra. Teraz proszę do hamaka. Rankiem lepiej zobaczymy tamten statek.

— Słuchaj no — dodał przezorny pierwszy oficer. — Nie opowiadaj tam na dole żadnych bajek. Spij i daj innym się wyspać.

— Panie Earing — powiedział Wilder, gdy marynarz pociągając nogami wolno odszedł. —

Zmienimy kurs, popłyniemy bardziej na wschód. I w ten sposób będziemy się przebijać do przylądka Hatteras. A poza tym..

— Tak jest, panie kapitanie. Poza tym nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa sztorm i z której przyjdzie strony.

— Właśnie. Ludzie dopiero co się położyli. Niech pan ich natychmiast obudzi, zanim zasną na dobre. Trzeba pomóc wachcie na pokładzie. Zmienimy kurs.

Pierwszy oficer wykonał rozkaz. Marynarze wybiegli na pokład. Wilder wydawał krótkie, stanowcze komendy. Posłuszny sterowi statek wdzięcznie odchyłał dziób od fali i obracał się burcią do wiatru. Przestał się mozolnie wspinać na grzbiety fal i nabrał szybkości. Kiedy wszystkie reje i żagle zostały już ustawione stosownie do nowego kursu, Wilder rozejrzał się za ścigającym ich statkiem.

— Zniknął — powiedział Earing.

— Powinien być tam — Wilder wskazał ręką kierunek. — Ale jakoś go nie widać.

— O to chodzi, panie kapitanie. „Latający Holender” pojawia się i znika. Byli tacy, co widzieli, jak się okrył mgłą, choć noc była pogodna i wszystkie gwiazdy świeciły na niebie. Ale to chyba nie „Holender”. Za daleko stąd do Przylądka Dobrej Nadziei.

— O, jest! Na Boga! Już zmienił kurs! — zawołał Wilder.

Cała załoga ujrzała teraz, że statek na horyzoncie, tak samo jak „Karolina”, nie płynie już na południowy zachód, tylko na północny wschód.

— Rzeczywiście, zmienił kurs — powiedział Earing po długim milczeniu. Po jego głosie nietrudno było poznać, że ogarnia go zgroza. — Tyle lat żyję na morzu i pierwszy raz widzę, żeby statek płynąc z mocnym wiatrem wykonał taki gwałtowny zwrot.

— Dobry i zwrotny żaglowiec może wykonać taki manewr, zwłaszcza jak ma liczną załogę.

— Pewnie. Dla Belzebuba to żadna sztuka. Dmuchnie i najbardziej leniwy statek frunie jak strzała!

— Panie Earing! — przerwał mu Wilder. — Postawimy wszystkie żagle i zmierzmy się z tym beczelnym natrętem. Zobaczmy, kto szybszy.

Earingowi ta decyzja wydała się wielce wątpliwa, jak na noc i oznaki nadciągającego sztormu. Ale nie śmiał protestować i szybko powtórzył rozkazy wydane przez kapitana. Marynarze wykonali je z wielkim zapałem, bo na myśl o ucieczce przed tajemniczym statkiem doznali znacznej ulgi. Prawie wszystkie żagle zostały rozwinięte. Marynarze stali z założonymi rękami i wpatrywali się w mglistą sylwetkę statku po zawietrznej.

„Karolina” jakby zrozumiała, że trzeba uciekać, przyjęła wiatr w wielkie płachty żagli. Pod jego

naciskiem pochyliła się tak głęboko, że woda przeciekała na pokład przez sztormszpigaty. Z drugiej strony czarne drzewo i błyszcząca miedź burty były odsłonięte, ale też szorowały je fale, zielone, wściekle, okryte białą pianą. Statek walczył z żywiołem, wstrząsy przybierały na sile, przy każdym uderzeniu fali spadała na pokład biała chmura piany.

Wilder pilnie obserwował walkę „Karoliny”. Parę razy, gdy statek zadrzał pod potężnym ciosem i przystanął, jakby uderzył o skałę, młody kapitan już miał na ustach rozkaz zwinięcia części żagli. Ale rzucał okiem na mglistą sylwetkę statku na zachodnim horyzoncie i zaciskał usta. Przypominał hazardzistę, który rzucił wszystko na jedną kartę i z zaciśniętymi pięściami czeka na wynik gry.

— Grotmaszt gniew się jak bat — mruknął Earing.

— Nic nie szkodzi — odparł Wilder.

— Nieraz już się przekonałem, że „Karolina” łatwo nabiera wody.

— Na to są pompy.

— Zgoda, panie kapitanie. Ale moim skromnym zdaniem szkoda zachodu. Na pewno diabeł prowadzi tamten żaglowiec.

— Ano zobaczymy.

— Ja już się raz przekonałem. Płynęliśmy pod pełnymi żaglami i z wiatrem. I co z tego? Rozwinął tylko kilka górnych żagli i postawił kliwer, a odległość między nami ani trochę się nie zwiększyła.

Wilder nie odpowiedział. Co innego mu było w głowie.

„Karolina” za każdym zanurzeniem dziobu rozbijała większą masę wody. Fala rzucała się na nią z wzrastającą zaciekłością. Parę razy zdawało się, że statek już się nie — dźwignie. A jednak, ciężko zmagając się z żywiołem, „Karolina” zrobiła około mili.

Przez parę godzin ani jeden marynarz nie zszedł z pokładu. Wszyscy z zapartym tchem obserwowali każdy ruch statku. Przesądne obawy pierwszego oficera udzieliły się załodze. Ludzie przypomnieli sobie wypadek kapitana Nichollsa, nagłe i tajemnicze objęcie dowództwa przez młodego oficera. Wszystko wydawało im się teraz tym dziwniejsze, że młody kapitan w krytycznej sytuacji zachowywał niczym niezmacony spokój. Fakt, że „Karolina” tak długo bezkarnie płynie niemal pod pełnymi żaglami, zwiększał ich podziw dla Wildera, ale równocześnie wydawało im się, że jest w tym coś niesamowitego. Budziło to różne podejrzenia co do osoby młodego dowódcy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Marynarze są nader skłonni do ulegania przesądom. Zależnie od narodowości przesady marynarskie przybierają różne formy. Na Bałtyku objawiają się one w morskich rytuałach i sposobach zjednywania bożków rządzących wiatrami. Na Morzu Śródziemnym marynarz wrywa

sobie włosy z głowy i klęka przed wizerunkiem świętego błagając o pomoc, choć mógłby własnymi rękami wybawić się z biedy. Anglik, bardziej zaradny, widzi jednak w czasie burzy na morzu duchy zmarłych i słyszy „wśród zgiełku nawałnicy głosy kolegów, którzy poszli na dno. Amerykanin, człowiek trzeźwy i rozsądny, też nie jest wolny od przesądów, zdawać by się mogło, nieodstępnych towarzyszy morskiego rzemiosła.

Jest w bezmiarze wód jakiś majestat, który działa na łatwowierność ludzką i kruszy tamy zdrowego rozsądku.

Mając nad głową firmament, a pod stopami głębiny niezmiernych wód, marynarz bez przerwy ulega pokusie ulżenia sercu i znalezienia otuchy w pomyślnych wróżbach. Niepokojna, podniecona wyobraźnia dopatruje się dobrego znaku w tak zwykłych dla marynarskich oczu widokach, jak taniec delfina na fali albo pojawienie się morskiej świni czy wielkiego cielska wieloryba. Krzyk ptaków może być dobrą lub złą wróżbą. Pomieszanie zjawisk dających się wytłumaczyć i zjawisk niezrozumiałych skłania prosty umysł marynarza do przypisywania cech nadprzyrodzonych wszystkiemu, czego nie może pojąć.

Załoga „Karoliny” pochodziła z owej okrytej mgłą wyspy u boku europejskiego kontynentu, która była i jest ulem narodów i o której upadłej potędze będzie się kiedyś mówiło z podobną ciekawością jak dziś badamy ruiny starożytnego miasta na pustyni. Była to więc załoga bardziej podatna przesądom niż kolonizatorzy Ameryki, zdani w walce o byt na własne siły i własny zdrowy rozsądek.

Wydarzenia dnia, jak już wspomnieliśmy, rozbudziły drzemiące przesady załogi „Karoliny”. Śmiałe i ryzykanckie poczynania młodego kapitana, zanim zdążył zdobyć sobie mir u podwładnych, wywołały obawy i nieufność.

Mieliśmy już sposobność przedstawić czytelnikowi drugiego oficera, choć nie odegrał on dotąd poważniejszej roli w naszym opowiadaniu. Nazywał się Nighthead. Jako drugi oficer o jeden tylko stopień stał wyżej od zwykłego marynarza. Pracował wraz z załogą i cieszył się jej posłuchem.

Nighthead stał na pokładzie wśród gromadki starych i doświadczonych marynarzy. Rozmawiali o statku—widmie majaczącym od zawietrznej i o dziwnym postępowaniu świeżo upieczonego kapitana, który uznał za stosowne poddać „Karolinę” tak ciężkiej próbie.

— Słyszałem od marynarzy, którzy zęby zjedli na morzu — mówił Nighthead — jak pewnego razu Belzebub nasłał na jeden statek handlowy młodszego diabła, aby go rozbił, za co ten niby kapitan dostał część łupu, jaki przypadł do podziału duszom utopionych marynarzy. Nigdy nie wiadomo, kto się zjawi w kapitańskiej kajucie, jak na liście załogi na pierwszym miejscu czytasz zupełnie nieznaną nazwisko.

— Tamten statek okrył się chmurą! — zawołał jeden z marynarzy słuchających Nightheada.

— Ano właśnie — oświadczył Nighthead. — Wcale bym się nie zdziwił, gdyby frunął na księżyc. Widzisz, bracie, jak mijaliśmy przylądek Horn, to na własne oczy ujrzałem jasną chmurę, co wisi w powietrzu i tak już zostanie na zawsze. Znacznie gorzej jest, gdy się zobaczy cień własnego statku okryty mgłą. A to się nam teraz zdarzyło. O, znów go widać. Nic też dobrego nie wróży to

szarpanie. Aż się człowiekowi flaki przewracają.

— Swoją drogą trzeba przyznać, że ten młokos mocno trzyma statek w rękach — wtrącił najstarszy z marynarzy. — Owszem, pogania go jak łysą kobyłę, ale ani jednej rei jeszcze nie stracił.

— Co tam reja! — Nighthead pogardliwie wydał usta. — Cóż nam przyjdzie z rej, jak się zerwie lina kotwiczna i stracimy kotwicę. Pamiętaj, Bill, że diabeł nigdy się nie cofa w pół drogi. Co się ma zdarzyć, to się zdarzy. To nie żarty. Zabawa jest wtedy, jak się znosi żonę kapitana do szalupy, a on stoi na pokładzie i patrzy, czy wszystko w porządku. Teraz wcale mi się nie chce śmiać.

— Pan Nighthead w każdej sytuacji by sobie poradził — wtrącił jeden z marynarzy.

— Nie ma w tym mojej zasługi — odparł drugi oficer. — Po prostu doświadczenie. Służyłem na tylu statkach, małych, wielkich i największych. Co umiem, tego się nauczyłem własnymi rękami, a nie w ławce szkolnej. Ale cała wiedza i doświadczenie na nie się nie zda, jak się zaczynają czary. Albo jak się mado czynienia z kimś, co nie ma pojęcia o żeglowaniu. Nazwiska nie wymienię, bo nie chcę nikogo bez potrzeby obrażać.

Pomruk słuchaczy świadczył, że jeśli nie wszystkim, to większości wywody drugiego oficera trafiły do przekonania.

— Zastanówmy się spokojnie nad sytuacją — ciągnął Nighthead oglądając się ukradkiem za siebie, czy Wilder nie stoi za blisko. — Wszyscy jesteśmy rodowitymi Anglikami. Nie ma wśród nas ani jednego Szkota czy Irlandczyka, ani kropli obcej krwi. Sami swoi. A więc najpierw nasz zacny Nicolas Nicholls, prawdziwy kapitan, ześliznął się z tej beczki i złamał nogę! Widziałem wielu marynarzy, co zlecieli z masztu, i nic im nie było. Ale jak Zły kogoś pchnie, to wysokość, z jakiej człowiek zleci, nie ma znaczenia. Kiwnie krzywym palcem i wszyscy zawisniemy na szubienicy. Tak jest. Potem przychodzi obcy człowiek. Od razu widać, że jest z kolonii. Nie ma tej szczerzej, swojskiej twarzy Anglika...

— Ale gębę ma całkiem przyjemną — wtrącił stary marynarz.

— Na tym właśnie polega cały szatański podstęp. Przystojny chłop, owszem. Ale prawdziwemu Anglikowi taka twarz nigdy się nie spodoba. Widać, że nie ma pustej głowy, ale za Boga nie poznasz po nim, czego chce. I ten człowiek obejmuje dowództwo statku, gdy prawdziwy kapitan leży w kajucie i nie może się ruszyć.

— Ale pięknie wyprowadził statek z portu, to pan przyzna! Nighthead roześmiał się dając w ten sposób do zrozumienia, że wie znacznie więcej, niż powiedział.

— Jak ktoś taki dowodzi statkiem, niczemu nie trzeba się dziwić — oświadczył po chwili. — Ja zaciągnąłem się na ten żaglowiec, żeby odbyć rejs z Bristolu do Karoliny i na Jamajkę, z tym że płynąc tam mamy zawinąć do Newport i to samo w drodze powrotnej. I nigdzie indziej nie chcę się dostać, jak mi Bóg miły. Przyznaję, kapitan dobrze wyprowadził „Karolinę” z portu, sam bym to zrobił niewiele lepiej. Ale to, co się nam przytrafiło z tym starym rybakiem w łódce, bardzo mi się nie podobało.

— Co prawda, to prawda — przyznał stary marynarz. Najwidoczniej dał się przekonać, że osoba młodego kapitana nic dobrego nie wróży.

— Może inni lepiej się znają na tych sprawach ode mnie — skromnie dodał Nighthead. — Spędziłem na morzu tylko trzydzieści pięć lat. Spójrzcie, jak fala wzbiera, popatrzcie na te czarne chmury na niebie! W nocy, kiedyśmy się rozbili w Zatoce...

— Cicho tam! Słyszycie?! — krzyknął Wilder.

Gdyby ten głos odezwał się z głębi wód, nie mógłby bardziej przestraszyć marynarzy. Wilder musiał krzyknąć drugi raz, zanim doczekał się odpowiedzi. Zgłosił się Nighthead.

— Rozwinąć górny fokmarsel! — rozkazał Wilder.

Nighthead i marynarze (patrzyli po sobie z głupimi minami. Zdziwienie ich nie miało granic. Niemo potrząsali głowami. Wreszcie jeden z nich skoczył do fokmasztu i zaczął się wspinać.

Sposób, w jaki Wilder manewrował żaglami w szalonej ucieczce przed statkiem Korsarza, mógł, nawet u nieprzesądnych marynarzy, wzbudzić wątpliwości co do jego zamiarów lub opanowania rzemiosła. Dla obu podległych mu oficerów od dawna było oczywiste, że ich młody dowódca chce umknąć statkowi, który tak dziwnie idzie ich tropem. Co do tego zgadzali się z nim, uważali jednak, że Wilder zbyt wiele ryzykuje. Obaj oficerowie porozumieli się na boku i Earingowi, jako starszemu, przypadło w udziale przekazać kapitanowi ich wspólne zdanie. Podszedł więc do Wildera. Jednak stanowcza mina młodego dowódcy jakoś go onieśmieliła. Stał obok i czekał, co wyniknie z rozwinięcia nowego żagla. Spotkanie statku z olbrzymią falą, która wzniosła się na dwanaście stóp tuż przed dziobem, przekonało go, że dłużej milczeć nie można.

— Chyba nie uciekniemy tamtemu statkowi, choć „Karolina” tak ciężko walczy z falą — powiedział.

Uważał, że dał kapitanowi do zrozumienia, o co mu chodzi, choć ani słowem nie skrytykował jego postępowania.

Wilder zmarszczył brwi. Popatrzył w stronę statku na horyzoncie, a potem rzucił wyzywające spojrzenie tam, skąd dał wiatr. Earingowi nic nie odpowiedział.

Pierwszy oficer odczekał chwilę, po czym spróbował z innej beczki.

— Wiele razy przekonaliśmy się, że marynarze bardzo nie lubią pracy przy pompach. Pan, jako doświadczony oficer, na pewno dobrze o tym wie. — Jak każe im pompować, będą pompowali — krótko odparł Wilder. Earing cofnął się o krok i przez chwilę wpatrywał się w czarne chmury, jakby nic innego dla niego nie istniało. Wziął wreszcie na odwagę i przypuścił atak pod osłoną pochlebstwa.

— Pan kapitan jest człowiekiem, który wie, czego chce. Czy pańskim zdaniem „Karolina” może uciec przed tamtym statkiem?



— Może.

— A ja, przy całym szacunku dla pańskiego wykształcenia i stopnia... śmiałybym wątpić. Widziałem w życiu wiele różnych wyścigów i wiem, że takiemu ptakowi jak ten, co nas ściga, nikt nie umknie.

— Niech pan weźmie lunetę i powie mi, pod jakimi żaglami płynie tamten statek i jak daleko jest od nas.

Pocziwy Earing długo patrzył przez lunetę, po czym złożył ją i po głębszym namyśle powiedział z wielką powagą:

— Jeżeli ten statek jest prawdziwy, to płynie pod trzema tylko dolnymi żaglami: fokiem, grotem i bezanem; ma też postawiony kliwer.

— I nic więcej?

— Nic, jeśli to jest ludzki statek.

— A myśmy rozwinęli wszystkie żagle i nic nam to nie pomogło. Earing z ubolewaniem potrząsnął głową.

— Może pan podrzeć grotżagiel na strzepy i przez całą noc ani na cal się pan od takiego statku nie oddali. A o wschodzie słońca ci, co mają dobry wzrok, ujrzą pewnie, jak tamten fruwa w obłokach. Choć ja za dnia nigdy tych szatanów nie widziałem.

— Nie odpowiedział pan na drugie moje pytanie: jak daleko jest od nas tamten statek?

— To zależy. Może jest tak blisko, że rzucą nam suchara na pokład, a może jest tam, gdzie go widzimy, na horyzoncie.

— A jeżeli jest tam?

— Hm, wygląda na sześćset ton i znajduje się jakieś dwie mile morskie za nami, po zawietrznej.

— Tak mi się też zdawało. Dwie mile to duża przewaga. Na Boga, Earing, żeby nie wiem co miało nas to kosztować, uciekniemy!

— Gdyby „Karolina” miała skrzydła, może by się nam udało. A tak, pójdzie raczej na dno.

— Jak dotąd, świetnie się trzyma.

— Znam ją dobrze...

Urwał nagle. Ogromna czarna fala wzbiła się między statkiem a wschodnim horyzontem i toczyła się prosto na „Karolinę”. Zgroza ogarnęła Wildera. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że zbyt wiele ryzykuje uparcie stawiając czoło tak potężnym masom wody. Fala załamała się o parę sążni od

rufy i załaza pokład pianą. Na jakieś pół minuty dziób „Karoliny” zniknął pod wodą, a gdy się ciężko wynurzył, lśnił, jakby obsiadł go milion robaczków świętojańskich. Statek zatrzymał się, drżał jak spłoszony koń wyścigowy. Wreszcie ruszył wolno, co sprawiało wrażenie, że chce ostrzec kapitana, by lekkomyślnie nie igrał z jego losem.

Earing w milczeniu patrzył na Wildera. Wiedział, że jego spojrzenie mówi więcej niż słowa. Marynarze głośno szemrali. Wilder zdawał się nie słyszeć tych jawnych dowodów niechęci i braku zaufania. Był gotów na wszystko. Nic nie mogło go powstrzymać.

Stłumiony okrzyk z rufy przypominał mu, że na statku są nie tylko marynarze. To Gertruda krzyknęła z przerażenia. Wilder szybko podszedł do pań. Gertruda jeszcze drżała. Od kilku godzin obie nie opuszczały pokładu i pilnie śledziły każdy ruch młodego kapitana.

— Statek doskonale zniósł to uderzenie — powiedział spokojnie. — Nie ma najmniejszego powodu do obaw i niepotrzebnie się pani zaniepokoiła...

— Proszę pana — przerwała mu pani Wyllys. — Przeżyłam niejedną straszną burzę na morzu. Niech się panu nie zdaje, że uwierzę w każdą bajkę, jaką mi pan opowie. Wiem, jak dalece pan ryzykuje. Czy to jest naprawdę konieczne?

— Tak!

— Ale tajemnicę zachowa pan dla siebie? Choć nasze życie też jest zagrożone?

— Pani jest tak obyta z żeglugą morską — odparł Wilder z lekkim uśmiechem, który zresztą nie przyszedł mu łatwo — więc chyba nie muszę pani tłumaczyć, że trzeba rozwinąć żagle, jeśli się chce płynąć pod wiatr.

— Może odpowie mi pan wprost na jedno pytanie. Czy przy tym wietrze możemy wyminąć niebezpieczne mielizny koło przylądka Hatteras?

— Wątpię.

— W takim razie, dlaczego nie wracamy do Newport?

— Zgodziłyby się panie na to?

— Jestem, proszę pana, gotowa wysiąść z tego statku i nie pytać o nic więcej — odparła pani Wyllys.

— To się da zrobić! Przy tym wietrze w ciągu paru godzin możemy być w Newport. Panie Earing!

Pierwszy oficer podbiegł do niego. Wilder wskazał mu sylwetkę statku majaczącą po zawietrznej i podał lunetę. Gdy Earing ją oddał, Wilder sam długo przez nią patrzył.

— Nie podniósł ani jednego żagla więcej! — z irytacją powiedział Wilder,

— Tak jest, panie kapitanie — przyznał Earing. — Żagle i wiatr dla takich statków nie mają żadnego znaczenia.

— Wie pan co? Wiatr za bardzo skręca na południe. Te czarne chmury nic dobrego nie wróżą. Proszę pomalutku nastawić żagle z wiatrem.

Prostoduszny oficer osłupiał. I wcale nie starał się ukryć zdumienia.

Było jasne jak słońce, że kapitan chce zawrócić i najprawdopodobniej zrezygnować z dalszej podróży.

— Kapitanie Wilder — powiedział Earing. — Myślę, że nie obrazi się pan, jeśli stary marynarz powie, co o tym myśli. Moim zdaniem należałoby trochę ulżyć statkowi i na zrefowanych żaglach popłynąć dalej w morze. W ten sposób możemy tylko zyskać, bo jesteśmy prawie na wysokości Hatteras. A jutro lub pojutrze złapiemy chyba wiatr północno—zachodni.

— Proszę natychmiast wykonać rozkaz! — ostro przypomniał Wilder.

Earing był spokojnym człowiekiem i zdyscyplinowanym oficerem. Nie zwlekając więc wydał załodze odpowiednie polecenia. Zostały wykonane, choć Nighthead i starsi marynarze głośno wypowiadali niepochlebne uwagi o niedowarzonej głowie kapitana.

Wilder udał, że nic nie słyszy. Tymczasem „Karolina”, jak ptak, który długo walczył z burzą, aż wreszcie poddał wiatrowi umęczone skrzydła, mknęła lekko, niesiona przez wiatr dmuchający w rufę. Rozwinięte żagle już jej tak nie groziły jak przedtem. Ale cała załoga uważała, że jak na burzliwą noc, Wilder utrzymał za dużo płócien. Domyślając się tego, młody kapitan głosem nieznośnym sprzeciwu nakazał rozwinąć jeszcze parę żagli. „Karolina” gnała jak szalona pozostawiając za sobą długi ogon piany.

Minęła godzina, w czasie której statek zrobił dziewięć mil. Przez cały ten czas „Delfin” trzymał się wciąż w tej samej odległości, jak cień.

Pani Wyllys i Gertruda już dawno zeszyły do kajuty. Gertruda nie wiedziała, że wracają do Newport.

Wilder prowadził statek śmiało, zdecydowanie i bez najmniejszych trudności. Wzrok dawno oswoił się z ciemnościami, poznawał każdą gwiazdę odbijającą się to tu, to tam w morskim żywiole, na rozpalonych policzkach Wilder wyczuwał kierunek każdego podmuchu wiatru i zdawał sobie sprawę z jego następstw. Nie potrzebował pomocy żadnych instrumentów. Całkowicie panował nad statkiem i trzymał się twardo raz obranego kursu. Jednego tylko zupełnie nie mógł zrozumieć — manewrów Korsarza, który nie tylko trzymał się „Karoliny”, ale zdawał się wyprzedzać każdy jej zwrot, choćby nieznaczący.

Wbrew rozsądkowi Wilder zaczynał ulegać przykreemu wrażeniu, że jest w tym coś niezwykłego, czego rozum ludzki nie zdoła wyjaśnić.

Tymczasem na niebie i morzu zaszły duże zmiany. Na wschodnim horyzoncie długo wisiała jasna

smuga — jakby kurtyna firmamentu lekko się podniosła, by przepuścić wiatry. Ta właśnie kurtyna nagle opadła. Zaczęły się tam gromadzić ciężkie czarne chmury i wkrótce wody i niebo stopiły się z sobą. Na zachodzie, pod ogromnym czarnym baldachimem chmur, ciągnął się pas mglistej poświaty.

Pośród tej poświaty majaczyła sylwetka statku Korsarza, chwilami zdając się rozplýwać w powietrzu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Młody kapitan dobrze wiedział, co zapowiadają te znaki na morzu i niebie. Nie było ani chwili do stracenia.

— Do żagli! — krzyknął donośnym głosem. — Zwijać! Panie Earing, niech pan obsadzi ludźmi bombramstengi! Ruszać się, chłopcy!

Marynarze widzieli, na co się zanosi, i nie trzeba im było powtarzać rozkazu. Na statku podniósł się zgiełk. Ludzie nawoływali się usiłując przekrzyczeć ryk oceanu. Powstało zamieszanie. Biegli z wszystkich stron, objali się jeden o drugiego, tłoczyli.

Wilder szybko opanował sytuację. Pierwszym okrzykiem postawił załogę na nogi, rozbudził sennych i wszystkich podniecił. Teraz z zimną krwią wydawał energiczne rozkazy, które przywróciły porządek i rozłożyły pracę na wiele rąk. Wielkie płachty żagli, które wyglądały jak jasne obłoki na tle posępnego nieba, teraz luźno zwisały trzepocząc na wietrze.

W ciągu paru minut pozostały tylko żagle dolne, bezpieczniejsze. Marynarze, ciężko dysząc, wpatrywali się w stronę, z której nadciągał sztorm.

Sylwetka statku na zachodnim horyzoncie rozplýnęła się w mglistej poświacie okrywającej morze. Na wschodzie wznosiły się czarne masy wody, zniknęła już biała, lśniąca piana na grzbietach fal. Wiatr wschodni przycichł, jakby uląkł się potężnych mocy zbierających się u brzegów kontynentu. Nagle nastąpiła straszliwa cisza. Słyszeć było tylko uderzenia ciężkich żagli o maszty;

Jaskrawy błysk oświecił ciemności i przez wody przetoczył się potężny huk, jakby nagle uderzył piorun. Marynarze z otwartymi gębami spoglądali po sobie. Po czym wszyscy zwrócili wzrok na kapitana.

Wilder zrobił parę kroków po pokładzie, jeszcze raz spojrział na niebo, ocean i żagle nad głową.

— Zwinąć żagle na bezanrejach! — powiedział cicho, ale wszyscy doskonale słyszeli. — I na fokrejach! Jazda, chłopcy, śmiało! — krzyknął.

Marynarze natychmiast usłuchali. Dwadzieścia ciemnych postaci ze zwinnością małp wspięło się na maszty. W ciągu minuty wielkie płachty żagli zostały ciasno zwinięte i przymocowane do rei. Marynarze zsunęli się na pokład. Znów nastąpiła złowróżbna cisza. Gdyby zapalono świeczkę, płomień ani by drgnął. „Karolina” sunęła ciężko, fale trochę opadły, jakby żywioł się pohamował. Gdy statek podnosił się z czeluści fal, woda spływała z pokładu lśnięcymi kaskadami. W tej krótkiej chwili

oczekiwania obaj oficerowie podeszli do Wildera.

— Straszna noc, kapitanie — powiedział Earing.

— Zdarzało mi się, że huragan spadał tak nagle, że nie było tyle czasu do namysłu co dziś — odparł Wilder.

— W podobną pogodę — ochryplym głosem odezwał się Nighthead — płynęliśmy na keczu „Wezuwiusz”. Raz statek dał takiego nura, że gdybyśmy strzelili w górę z naszego moździerza, pocisk by nie doleciał na powierzchnię. Oczywiście, mowy nie było o strzelaniu.

— Tak, tak. W czasie takiej ciszy „Grenlandia” rozbiła się na Orkadach — dodał Earing.

— Moi panowie! — Wilder wymówił te słowa z nutą ironii. — Czego byście jeszcze chcieli? Wiatru nie ma ani na lekarstwo, a żagle pozostały tylko na grocie.

Istotnie, statek był przygotowany na przyjęcie sztormu i nic więcej w tej chwili nie dało się zrobić. Ale obaj oficerowie nie mogli się przyznać, że po prostu nęka ich strach.

— Owszem — przyznał Earing — teraz wszystko jest w porządku. Ale na własne oczy przekonaliśmy się, że nawet tak dobry statek jak „Karolina” nie da rady „Holendrowi”...

— Niech pan spojrzy na to mgliste światło, co leci na nas — dodał Nighthead. — Chciałbym wiedzieć, skąd się ono wzięło. Czy idzie od lądu, czy od tego piekielnika, który nas prześladowe. Ja się trzymam jednego: jak nie znam kapitana, to nie chcę znać jego statku.

— Tak pan uważa? — chłodno spytał Wilder. — Ja jestem innego zdania.

— Nieraz widziałem — podjął Earing — jak dzień wstaje na wschodzie. Ale kiedy nad ranem na zachodzie robi się jasno, nic dobrego to nie przyniesie. Oddałbym całą pensję za zeszły miesiąc, tak ciężko zapracowaną, żeby tylko wiedzieć, pod jaką banderą płynie tamten statek.

— Francuz, Hiszpan czy diabeł — wszystko jedno kto! Już leci! — zawołał Wilder. — Zluzować brasy rej! Prędko chłopcy!

Marynarze bez słowa spieszenie wykonali rozkaz.

Świetlista mgła, która od kwadransa zbierała się na północnym zachodzie, pędziła teraz w ich stronę. Między masztami dały się słyszeć poświsty nadlatującego huraganu. Potem rozległ się ryk i powierzchnię oceanu okryła błyszcząca bielutka piana. Huragan uderzył w „Karolinę”. W ostatnich chwilach Wilder starał się wykorzystać słabe podmuchy i ustawić statek dziobem do wiatru. Ale manewry niewiele pomogły. Pierwsze uderzenie wiatru statek odparł burtą i dobrze się stało, bo uderzenie od dziobu mogło zmieść wszystkich z pokładu. Statek głęboko się przechylił i po chwili legł bezsilnie.

Wilder chwycił za ramię przerażonego Earinga..

— Spokojnie! — krzyknął. — Więcej zimnej krwi! Dawaj siekierę!

Earing skoczył po siekierę.

— Rąbać? — spytał wracając.

— Rąbać! — krzyknął Wilder.

Earing jednym uderzeniem odciął napiętą wantę bezanmasztu. Pozostałe liny pękły same. Maszt zatrzeszczał i jak drzewo, któremu podcięto korzenie, zwałił się w morze.

— Czy teraz lżej?! — zawołał Wilder do sternika.

— Statek trochę się podniósł, ale znów się kładzie! — odkrzyknął marynarz.

Earing doskoczył do grotmasztu.

— Rąbać? — zawołał.

— Rąbać! — odkrzyknął Wilder.

Earing odciął wantę i zadał parą potężnych ciosów siekierą samemu masztowi. Rozległ się trzask, maszt wraz z rejami, żaglami i linami runął w morze.

— Podnosi się! Podnosi! — krzyknęło naraz dwadzieścia głosów. Cała załoga milczała dotąd z przerażenia. Wszyscy wiedzieli, że życie ich wisi na włosku.

— Uprzątnąć pokład! — krzyknął Wilder. — Rozwinąć marsel na fokmaszcie! Odwagi, chłopcy!

Nadzieja wstąpiła w serca marynarzy. Pracowali z zapałem, aż wszystkie liny zwałonych masztów zostały odcięte. Wiatr unosił „Karolinę” na fali jak ptaka, który muska skrzydłami powierzchnię wody. Fokmarsel wzdymał się niebezpiecznie, grożąc jedynemu ocalałemu masztowi.

Wilder zawołał Earinga.

— Fokmaszt nie wytrzyma długo! — krzyknął. — Może się zwalić na dziób! Trzeba posłać jednego albo dwóch na górę. Muszą odciąć ten żagiel!

— To bardzo niebezpieczne! Maszt gnie się jak trzcina! — odkrzyknął Earing.

— Tak! Gdyby mi się coś stało, niech się pan stara dopłynąć do któregoś z portów Wirginii...

— Co pan chce zrobić?

Earing chwycił za ramię Wildera, który już rzucił czapkę na pokład i chciał zdjąć mundur. — Odciąć fokmarsel! Inaczej stracimy maszt, a może i statek.

— To moja robota! Pan doprowadzi statek do portu. Ja odrąbię ten żagiel. Gdyby mi się coś

stało, niech pan to zapisze w dzienniku. I doda słówko, jak spełniłem swój obowiązek.

Wilder ustąpił.

Earing znalazł toporek i zaczął się wspinać na fokmaszt po trzeszczących linach, grożących w każdej chwili zerwaniem. Załoga z zapartym tchem obserwowała każdy jego ruch. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że pierwszy oficer z narażeniem własnego życia chce ocalić statek. Pięciu starszych marynarzy bez słowa poszło w jego ślady.

— Zejść! — zawołał Wilder przez tubę. — Wszyscy z powrotem! Tylko oficer zostanie!

Żaden nie usłuchał. W ciągu niecałej minuty byli na rejach i czekali na znak oficera. Earing rozejrzał się, uznał, że wiatr trochę zelżał. Odciał linkę, którą żagiel był przymocowany do niższej rei. Z głośnym trzaskiem żagiel zerwał wszystkie więzy, frunął, jak na orlich skrzydłach, i zniknął przed dziobem statku. W tej samej chwili zerwała się jedna wana. Maszt groźnie zatrzeszczał.

— Złazić natychmiast! — ryknął Wilder przez tubę. — Złazić, bo zginiecie!

Jeden marynarz usłuchał i z szaloną szybkością ześliznął się na pokład. Liny rwały się jedna po drugiej, po czym trzasnęła kolumna masztu. Maszt słaniał się przez krótką chwilę i nagle runął w morze zrywając wszystkie liny. Odarta „Karolina” unosiła się na fali.

Burza się uciszyła. Wiatr złagodniał. Wydać się mogło, że żywioły zamilkły na chwilę, aby nacieszyć się strasznym ciosem.

Wilder doskoczył do burty. Ujrzał jeszcze marynarzy kurczowo uczepionych masztu. Zobaczył nawet, jak Earing macha mu ręką na pożegnanie. W chwilę potem rozpościerająca się po obu stronach statku mgła pochłonęła wszystko.

— Szalupę na morze! Szybko! — krzyknął Wilder.

W podnieceniu nie zdawał sobie sprawy, że ratunek jest zupełnie niemożliwy.

Nikt z załogi się nie ruszył. Patrzyli jeden na drugiego, oniemiaли ze zgrozy.

— Za późno! Za późno — szepnął Wilder.

— Żagiel! — powiedział cichym, przerażonym głosem Nighthead, który stał obok kapitana.

Wskazał palcem. We mgle ukazał się jakiś cień.

Wilder spojrzał w stronę zbliżającego się statku i stracił nadzieję, by z jego pokładu mogli nie zauważyć „Karoliny”.

Żaglowiec płynął z szaloną szybkością. Nie widać było na nim ani jednego rozwiniętego żagla. Wszystkie maszty i reje były na swoich miejscach. Burza ich nie tknęła. Przed dziobem toczyły się zwały piany.

Ktoś zawołał, że trzeba zapalić światła pozycyjne.

— Nie trzeba — odparł Wilder. — Doskonale nas widzą. Tajemniczy statek znajdował się już w odległości stu stóp od „Karoliny”. Na jego pokładzie nie widać było żywej duszy.

Wilder wstrzymał oddech. Statek mijał „Karolinę”. Nie dał żadnego sygnału. Po chwili zniknął w ciemnościach. Wilder odetchnął z ulgą.

— Zniknął! — zawołał.

— Może w chmurach — powiedział Nighthead.

— W chmurach czy w morzu, wszystko jedno. Dość że już go straciliśmy z oczu.

Nighthead spojrział na niego nieufnie.

— Marynarze w naszej sytuacji cieszą się, jak zobaczą drugi statek.

— Ludzie często nie wiedzą, co im grozi, i sami narażają się na zgubę — zagadkowo odparł Wilder. — Niech ten statek odpłynie jak najdalej — dodał — O nic tak Boga nie proszę. I niechby ten huragan dął aż do rana!

Nighthead spojrział na niego z ukosa. Jeżeli żywił pewne podejrzenia co do osoby kapitana, teraz wszystko wydało mu się jasne. Wilder był na usługach piekielnych mocy.

Nighthead podszedł do grupy zasepionych marynarzy. Wilder przestał zwracać na niego uwagę. Wielkimi krokami przemierzał pokład spoglądając na niebo i morze.

„Karolinę” niósł wiatr. Była żalosną ruiną statku, nędzną łupiną, zdaną na łaskę żywiołów.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Od chwili gdy dzielny Earing i jego nieszczęśni towarzysze ponieśli śmierć w morzu, huragan zaczął tracić na sile. Ale znów podniosła się fala i statek mógł w każdej chwili stać się łupem wzburzonego morza. Minęły dwie godziny. Na wschodzie zaczęło świtać. Wiatr ustał, fale opadły.

Przez te długie dwie godziny załoga nie udzieliła kapitanowi najmniejszej pomocy. Nie zwracał na to uwagi.

Powiała lekka bryza. Tuż przed wschodem nastąpiła zupełna cisza. Pierwsze promienie słońca padły na gładką powierzchnię wód, która tu i ówdzie lekko się unosiła, co przypominało oddech śpiącego dziecka.

— Przygotować pompy — powiedział Wilder widząc, że marynarze wychodzą z kątów, w których pochowali się w nocy.

Puścili rozkaz mimo uszu.



— Czy pan słyszy? — zwrócił się Wilder do Nightheada. — Do pomp! Ani kropli wody nie zostanie w kadłubie!

Drugi oficer popatrzył na Wildera spode łba i wymienił z marynarzami znaczące spojrzenia. Powtórzył jednak rozkaz. Marynarze leniwie wzięli się do pompowania. Gdy odkryli duży przeciek, zaczęli raźniej się ruszać.

— Tylko czary mogą pomóc statkowi do połowy zalanemu wodą — powiedział do Wildera Nighthead mierząc go złym okiem. — Pompy na nic się tu nie zdadzą.

— Czy kadłub przecieka?

— Przekonałem się tej nocy — odparł Nighthead — że nawet stary wilk morski różnych rzeczy może się nauczyć.

— O co panu chodzi? — spytał Wilder.

Dopiero teraz zauważył wrogie spojrzenie Nightheada. Domyślił się też, że drugi oficer jest pewny siebie, bo ma poparcie załogi.

— Do pomp i brać się do roboty!

— Do pomp! — powtórzył Nighthead.

Marynarze stanęli przy pompach, ale żaden ręką nie ruszył.

— Pompować! — krzyknął Wilder i zwrócił się po nazwisku do dwóch marynarzy.

Nie usłuchali. Obejrzeli się na Nightheada.

— Szkoda rąk do pompowania — powiedział Nighthead. Roześmiał się grubiańsko. Była w tym śmiechu zła wola i strach. — Po tym, cośmy widzieli tej nocy — mówił dalej — wcale bym się nie zdziwił, gdyby nasz statek siknął wodą w górę, jak wieloryb.

— Jak się pan odzywa i co to wszystko ma znaczyć? — powiedział Wilder i zrobił krok w stronę Nightheada. — Jako oficer powinien pan dawać przykład innym! A pan w takiej chwili odmawia posłuszeństwa!

Nighthead cofnął się o krok. Otworzył usta, ale ani słowa nie wymówił.

— Proszę do pompy! Dla przykładu! — zawołał Wilder.

— A ja nie chcę! — wykrztusił Nighthead. I runął do nóg Wildera, zwalony potężnym uderzeniem pięści. Cios był tak szybki, że Nighthead nie zdążył podnieść ręki, by się zasłonić.

Zrobiło się cicho. Nagle wszyscy marynarze wrzasnęli i rzucili się na kapitana. Równocześnie złapało go kilkanaście rąk. Ostry krzyk ze środka pokładu odwrócił uwagę napastników. Opuścili

ręce. Popatrzeli w tamtą stronę. Krzyknęła Gertruda.

W czasie burzy obie pasażerki, zamknięte w kajucie, słyszały huk wiatru i morza, ale ani trzask walących się masztów, ani krzyki marynarzy nie doszły ich uszu, zagłuszone potężnymi odgłosami rozszalałych żywiołów. Gdy potem nastąpiła cisza i statek położył się na burcie, obydwie z morzem guwernantkę ogarnęły najgorsze przecucia. Nic jednak nie mówiła widząc, że Gertruda z takim trudem panuje nad sobą. Nad ranem obie zasnęły. Obudziły się o świcie. Wyszły na pokład. Uderzył je posępny obraz spustoszenia. Nie ochłonęły jeszcze z wrażenia, gdy na ich oczach marynarze rzucili się na Wildera.

— Co to ma znaczyć? — spytała pani Wyllys. Wargi jej drżały, twarz zbieleła.

Wilder z ogniem w oczach podniósł zaciśniętą pięść w stronę załogi.

— To jest bunt, proszę pani — powiedział. — Nikczemny bunt!

— Bunt? A co się stało z masztami? Czyja to wina?

— Niech pani posłucha! — w grubiański sposób przerwał jej Nighthead. — Powiem pani wprost, bo wiem, kim pani jest. Tej nocy dziwne rzeczy działy się na niebie i na morzu. Jak żyję, czegoś podobnego nie widziałem. Statki leciały z wiatrem, lekkie jak korek, ich maszty ani drgnęły, a nasz statek został ogolony na gładko, niczym brzytwą golibrody. Widzieliśmy fregaty płynące bez jednego marynarza na pokładzie. Takiej wachty nocnej żaden z nas w życiu nie doświadczył.

— Ale co to ma wspólnego z napaścią na kapitana? Panie Wilder, może pan by mi to wyjaśnił?

— Musi pani przyznać, że została pani ostrzeżona — z gorzkim uśmiechem odparł Wilder.

— Tak, diabeł, jak się go przycisnie, mówi prawdę — wtrącił Nighthead. — Ostrzeżeń było wiele, to prawda. Najpierw kapitan Nicholls złamał nogę, jak podnosiliśmy kotwicę. I już wiadomo było, że coś musi się stać. Potem ukazał się nam ten stary rybak. Samo wyrzucenie pilota za burtę musi sprowadzić nieszczęście. A my zamiast pójść do głowy po rozum i nie ruszać się z portu, podnosimy żagle i wypływamy. I to kiedy? W piątek! Teraz wszystko jest jasne. Jedno mnie tylko dziwi: że jeszcze żyję. Chociaż i to łatwo można wyjaśnić. Po prostu nie słuchałem nieznanego mi kapitana. Gdyby Earing był tak samo mądry, stałby teraz na pokładzie, a nie leżał na dnie oceanu.

To wyznanie wiary Nighthead uzupełnił paru uwagami o beznadziejnej sytuacji, w jakiej znalazła się „Karolina”. Statek nabrał tyle wody, że w ciągu paru godzin musi zatonać. Taki był krótki wniosek Nightheda.

— Cóż mamy robić? — spytała pani Wyllys. — Czy nie widać żadnego statku?

— Niech nas Bóg strzeże przed nieznanymi statkami! — zawołał Nighthead. — Mamy mniejszą łódź, zawieszoną na rufie. Łąd jest jakieś czterdzieści mil na północny zachód. Wody i żywności mamy w bród. Jeżeli Ameryka jest jeszcze tam, gdzieśmy ją wczoraj zostawili o zachodzie słońca, jesteśmy uratowani.

— Chce pan opuścić statek?

— Tak jest. Interesy właścicieli statku są drogie każdemu marynarzowi, ale własne życie jest droższe niż złoto.

— Niech się dzieje wola nieba! Ale nie zrobi pan krzywdy temu młodemu człowiekowi, który w tak ciężkich warunkach prowadził statek nad wiek roztropnie?

Za całą odpowiedź Nighthead mruknął coś pod nosem i poszedł naradzić się z załogą. Nastąpiła chwila niepewności. Na ustach Wildera błąkał się uśmiech pogardy. Nikt by nie poznał po nim, że właśnie rozstrzyga się jego los.

Nighthead wystąpił na środek pokładu, żeby ogłosić decyzję załogi. Zresztą słowa były zbędne. Marynarze już przystąpili do dzieła. Jedni spuszczaali łódź, inni wynosili żywność.

— Dla wszystkich chrześcijan obecnych na pokładzie znajdzie się miejsce w tej łodzi — oznajmił oficer. — A ci, którzy trzymają z nieczystymi siłami, niech wezwą je na pomoc — dodał.

— Z tego, co słyszę, wynikałoby — spokojnie powiedział Wilder — że chce pan zostawić statek na łasce losu.

Nighthead spojrzał na niego z góry.

— Panu łódź nie jest potrzebna — powiedział po chwili. — Obywał się pan bez pomocy załogi i sam prowadził statek, więc teraz też da pan sobie radę. Zresztą zostawiamy tę dużą szalupę.

— Dobrze pan wie, że nie mając masztów nawet wszyscy razem nie dalibyśmy rady spuścić szalupę na wodę. Tylko dlatego zostawiacie ją na pokładzie.

— Ci, co porąbali maszty, mogą postawić je z powrotem — wtrącił się jeden z marynarzy.

Wilder nie raczył odpowiedzieć. Zamyślony, przechadzał się po pokładzie.

Gorączkującego kapitana Nichollsa wyniesiono z kajuty i umieszczono w łodzi.

— Do, łodzi! — zawołał do pań Nighthead.

Nie było to nazbyt uprzejme, ale trzeba było szybko się zdecydować. Nienawistne spojrzenia, jakie marynarze rzucali Wilderowi, świadczyły, że wszelkie prośby, by nie zostawiać go na łasce losu, będą daremne. Pani Wyllys początkowo zamierzała zwrócić się do kapitana Nichollsa. Ale ujrzała człowieka na pół przytomnego, w gorączce, który, gdy go wyniesiono na pokład, nakrył sobie głowę kocem.

Wilder z obojętną miną przyglądał się przygotowaniom.

— Co robić? — spytała go pani Wyllys.

— Doprawdy nie wiem — odpowiedział. — Nie jest wykluczone, że łódź dotrze do lądu. Trzeba na to dwudziestu czterech godzin ciszy na morzu.

— Na czym polega niebezpieczeństwo?

— Każdy wiatr od lądu oznacza zgubę dla łodzi.

— A co będzie ze statkiem?

— Musi zatonać.

— Spróbuję wstawić się za panem.

— Nie, droga pani! Chwytał ją za rękę i dodał:

— Nie mogę opuścić statku.,

— Jeszcze nie wiadomo. Spróbuję przemówić im do sumienia. — Jednej osoby na pewno pani nie przekona.

— Któż to taki?

— Ja.

— Chce pan popełnić szaleństwo?

— Czy wyglądam na szaleńca? Może się mylę, ale nie mogę postąpić wbrew moim zasadom. Honor nie pozwala mi opuścić statku, póki ostatnia deska pokładu nie pogrąży się w morzu.

— Czy to coś pomoże?

— Nic — Wilder uśmiechnął się smutno. — Muszę zginąć, aby inni wiedzieli, jak postąpić, gdy się znajdą w podobnej sytuacji.

Twarz Wildera była spokojna, tylko w oczach płonął ogień.

— Do łodzi! — krzyknął jeszcze raz Nighthead.

— Bóg mi świadkiem, że nie wiem, co robić! — zawołała pani Wyllys. — Niech nam pan poradzi, młody człowieku, jak własnej matce i siostrze.

— Gdybym miał matkę i siostrę, nic by nas nie rozdzieliło w takiej chwili.

— Czy jest nadzieja ratunku dla tych, co zostaną na statku?

— Niewielka.

— A dla tych w łodzi? Wilder rozejrzał się po niebie.

— Proszę mi wierzyć — powiedział — że pogoda jest bardzo niepewna. Łódź ma tak samo nikłe widoki dotarcia do lądu, jak mało prawdopodobne jest, by jakiś statek dostrzegł tonącą „Karolinę”.

— Zostańmy tutaj! — zawołała Gertruda. — Nie cierpię tych strasznych ludzi!

— Odpływamy! — zawołał Nighthead. — Nie będziemy na panie czekali!

Pani Wyllys nie odpowiedziała. Dał się słyszeć plusk wody. Łódź odbijała. Sześciu marynarzy energicznie poruszało wiosłami.

— Stać! — krzyknęła pani Wyllys. Weźcie moje dziecko! Nighthead coś mruknął i pomachał im ręką. Płynęli dalej. Na statku zapanowała długa cisza.

Łódź szybko malała kołysząc się na sinym morzu. Po chwili zginęła im z oczu. Stali wpatrzeni w punkt na horyzoncie, gdzie zniknęła łódź. Wilder pierwszy ocknął się z odrętwienia. Zaciśnął wargi.

— Nasza sytuacja — powiedział z uśmiechem — nie jest wcale beznadziejna. Nighthead i jego towarzysze wzięli mniejszą łódź, a zostawili nam dużą szalupę. Spuszczenie na morze szalupy to prosta sprawa, kiedy są maszty, ale bez masztów to ciężka praca. A oni nie mieli czasu do stracenia. Krótko mówiąc, w tej szalupie cała nasza nadzieja. Umieścimy w niej niezbędne rzeczy. Gdy „Karolina” zacznie tonąć, siądziemy w szalupie i może w ten sposób się uratujemy.

— Przecież jak statek tonie, powstaje otchłań, która wszystko wciąga — powiedziała pani Wyllys.

— Tak bywa, to prawda. Nie chcę pań ludzić. Możemy pójść na dno. Ale możemy też wyjść cało. To nasza jedyna nadzieja, jeśli przedtem nie dostrzeże nas jakiś statek.

— Czy nie dałoby się wcześniej spuścić szalupy na morze?

— Wykluczone.

— Nie jesteśmy takie słabe, jak się panu zdaje — wtrąciła Gertruda. — Kasandra siłą dorównuje mężczyźnie.

Mówiąc to wskazała na młodą Murzynkę, znaną już czytelnikowi. Kasandra stała za swoją panią z jej płaszczem i szalem na ręce, jakby się obie wybierały na poranny spacer.

— Gdyby Kasandra dorównywała siłą dwudziestu mężczyznom — odparł Wilder — spróbowałibyśmy razem spuścić szalupę. Ale nie traćmy czasu na próżne słowa. Zejdę na dół, zobaczę, ile statek nabrał wody. Potem przygotujemy się do podróży. Wtedy nawet tak piękna i krucha istota jak pani będzie mogła nam pomóc.

Wskazał różne lekkie przedmioty, które mogły się przydać, gdyby szczęście im dopisało i szalupa spłynęła na morze.

Przykazał kobietom złożyć te rzeczy w szalupie, a sam zszedł pod pokład. Sytuacja była znacznie gorsza, niż sądził. Woda w kadłubie przybierała tak szybko, że katastrofa była nieunikniona. Z ciężkim sercem wrócił do pań. Postawił obydwie maszty szalupy, przygotował żagle, zebrał wszystko, co mogło się przydać na morzu, odciął liny którymi szalupa była przymocowana do pokładu „Karoliny”.

Na tych zajęciach minęło kilka godzin. Tymczasem statek zanurzył się tak głęboko, że w każdej chwili mógł pójść na dno. Wilder wiedział, że tonący statek przypomina walący się mur, który trzyma się całkiem dobrze, aż nadchodzi krytyczny moment i mur nagle sypie się w gruzy. Poprosił więc panią Wyllys, Gertrudę i Kasandrę, aby usiadły w szalupie i spokojnie czekały.

Okazało się, że Kasandra, w trosce o dobytek swych pań, tak załadowała szalupę ich rzeczami, że nie bardzo było gdzie sięść. Mimo gorących protestów wiernej służki Wilder zrobił w szalupie porządek. Parę ciężkich kufrów, pudeł i paczek poleciało za burtę.

Sprawdził żagle. Można je było w każdej chwili bez trudu postawić. Upewnił się, że żadna lina nie krępuje szalupy. Przejrzał wyposażenie. Żywności i wody było dość. Kompas łodziowy leżał pod ręką. Nareszcie mógł trochę odetchnąć. Usiadł na rufie szalupy.

Morze iskrzyło się w słońcu. Wrak „Karoliny” leżał bezwładnie, jakby pogrążony w głębokim śnie, i tylko z rzadka przewalał swe ciężkie cielsko z boku na bok, po czym osiadał niżej w pochłaniającym go żywiole. Agonia się przedłużała. Godziny wlokły się nieznośnie. Rozbitkowie czekali niecierpliwie chwili, która przyniesie im ocalenie lub śmierć. Trochę rozmawiali, przeważnie jednak milczeli. Nikt ani słowem nie wspominał o groźnym niebezpieczeństwie. Zdawało im się, że w ten sposób jedno drugiemu oszczędzi niewesołych myśli. Tak mijały minuty, godziny, minął wreszcie dzień. Mrok wolno skradał się od wschodu, aż otoczyły ich gęste ciemności. Pole widzenia ograniczyło się do wąskiej obręczy wokół statku, dalej wzrok nie mógł się przebić.

Nastąpiła straszna godzina oczekiwania w mroku. Zdawało się że śmierć zbliża się pomału, wyprzedzana złowieszczymi znakami. Z daleka dobiegł chlupot wieloryba, który wypłynął z głębin morskich i tarzał olbrzymie cielsko na powierzchni. Towarzyszyło mu pluskanie liczego orszaku ryb asystującego królowi oceanu.

Rozgorączkowanej wyobraźni Gertrudy ukazywały się straszliwe morskie potwory czyhające na życie rozbitków. Na próżno Wilder starał się ją uspokoić. Sam zadrzał, gdy zobaczył rekina, który podkładał się do statku wężąc żer dla całego stada.

Wzeszedł księżyc. Bładym, zwodniczym blaskiem oblał niebo, przyprószył morze i rozjaśnił ponury wrak „Karoliny”.

— Proszę — powiedział Wilder — poświeci nam księżyc, gdy będziemy żegnali się z „Karoliną”.

— Czy długo jeszcze będziemy czekali? — zapytała pani Wyllys.

— Nie. Lada chwila statek pójdzie na dno — odparł spokojnie. Z głębi statku usłyszeli

dudnienie wody.

— Tonie — powiedział Wilder.

Dał się słyszeć głuchy odgłos. Powietrze uwięzione w głębi zerwało przód pokładu z takim hukiem, jakby ktoś strzelił z armaty.

— Proszę trzymać się lin! — krzyknął Wilder.

Rufa statku wysoko się podniosła, szalupa znalazła się na chwilę w pozycji niemal pionowej, statek runął w dół, woda go nakryła. Szalupa dziobem uderzyła w morze, nabrała wody, niemal zanurzyła się, lecz pchnięta w rufę przez tonącą „Karolinę” oddaliła się nieco od niej.

Ale potężny wir idący na dno chwycił ją w swoje kleszcze. Już zdawało się, że runie w dół. Natychmiast jednak wypłynęła i zakreśliła się jak fryga. Ocean jęknął i znów zamarł. Wszystko się uspokoiło. Blask księżyca igrał na wygładzonej, cichej powierzchni, jak w lustrze jeziora śpiącego w cieniu otaczających je gór.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jesteśmy ocaleni. W każdym razie najgorsze mamy za sobą — powiedział Wilder.

Kiedy szalupa oderwała się od pokładu „Karoliny”, stał mocno trzymając się masztu i w tej pozycji przetrwał karkołomne skoki i ewolucje, zanim łódź bezpiecznie osiadła na wodzie. Niewiasty skrajem sukien zakryły twarze. Nawet pani Wyllys odważyła się wyjrzeć dopiero, gdy Wilder dwukrotnie ją zapewnił, że niebezpieczeństwo minęło.

Wraz z Kasandrą Wilder ułożył rzeczy na dnie tak, żeby nie zakłócały równowagi i swobody ruchów szalupy.

— No, teraz nasz stateczek jest gotów do drogi! — wesoło zawołał. — Niech tylko powieje pomyślny wiatr, a w ciągu doby będziemy cali i zdrowi na lądzie. Szkoda jednak...

— Czegóż to panu szkoda? — spytała Gertruda widząc, że się zawahał.

— Szkoda, że jest październik, a nie sierpień. Trudno wierzyć jesiennej pogodzie.

— A więc jesień jest naszym najgroźniejszym przeciwnikiem? Tym więcej okazemy odwagi!

Wilder spojrzał na osrebrzoną blaskiem księżyca bladą twarzyczkę dzielnej dziewczyny. Wskazał ręką na południowy zachód.

— Największym naszym wrogiem jest beczynność. Z tamtej strony nadciąga bryza. Trzeba ją powitać.

Podniósł żagle na masztach i siadł przy sterze. Po chwili płótna lekko zatrzepotały. Łódź zaczęła wolno płynąć.

Powiał ostrzejszy wiatr, mocno nasycony wilgocią, jak to zwykle bywa późno w nocy. Wilder



nakłonił panie, aby się położyły na materacach pod zaimprovizowanym namiotem z nieprzemakalnego brezentu. Zarówno materace, jak brezent zabrał przezornie ze statku. Zmęczone pasażerki szalupy szybko zasnęły. Wilder miał czuwać do rana.

Minęła północ. Wiatr dał coraz silniej. Według obliczeń Wildera szalupa musiała już przebyć wiele mil w kierunku na wschodni brzeg owej długiej i wąskiej wyspy, która oddziela wody oblewające brzegi Connecticut od oceanu. Młody marynarz pochylał się czasem i nasłuchiwał oddechu Gertrudy. Ale ani na chwilę nie zapomniał o swych obowiązkach. Raz po raz spoglądał na niebo, zerkał na kompas, uważnie wpatrywał się w księżyc. Chętnie widziałby księżyc w mglistej obwódce, co jest uważane za zapowiedź burzy. Nie podobało mu się wcale, że księżyc świeci jasnym, suchym blaskiem i że wilgoć wyparowała z powietrza. Poczul, że wiatr niesie z sobą zapach łądu. Na zachodnim horyzoncie zbierały się długie, wąskie chmury. Wszystkie te znaki świadczyły, że wiatry od kontynentu biorą górę. Doświadczony marynarz wiedział, że o tej porze roku wiatry od łądu mogą być bardzo gwałtowne.

Przewidywania sprawdziły się nad ranem. Jeszcze bryza pchająca szalupę w stronę łądu nie zdążyła ucichnąć, gdy uderzyły w żagle podmuchy zachodniego wiatru. Zaczęła się walka. Wilder zarefował żagle do jednej trzeciej i bez chwili namysłu co cięższe przedmioty należące do skromnego bagażu pań wyrzucił za burtę. Zrobił to w samą porę, bo krótko potem powiał wiatr z północnego zachodu, przynosząc przejmujący chłód z dalekich, niegościnnych obszarów Kanady.

— Ach, dobrze cię znam — mruknął Wilder, gdy kanadyjski wiatr odwrócił szalupę. — Poznaję cię, bo przynosisz zapach słodkich wód i ziemi. Jesteś zimny i uparty!

— Czy pan coś mówił? — spytała Gertruda wychylając się spod namiotu.

Zadrżała z zimna i szybko się cofnęła.

— Proszę spać, proszę spać! — odpowiedział.

Gertruda ostrożnie, żeby nie obudzić pani Wyllys, wyszła spod namiotu i stanęła obok Wildera.

— Czy znów nam coś grozi? — spytała. — Mnie może pan powiedzieć. Jestem córką żołnierza!

Wskazał jej chmury na niebie.

— Wiatr zrobił się chłodniejszy — odparła. — Poza tym nic się chyba nie zmieniło.

— A wie pani, dokąd płynie szalupa?

— W stronę łądu. Zapewnił nas pan, że tak będzie. Wierzę pańskim słowom.

— To zaszczyt dla mnie. A na dowód, że można mi wierzyć, powiem pani prawdę. Myli się pani. Kompas nie kłamie.

— Nie płyniemy w stronę łądu?

— Wprost przeciwnie. Musielibyśmy przepłynąć cały Atlantyk, żeby pani mogła znów zobaczyć ziemię.

Gertruda nie odpowiedziała. Zmieszana, wróciła pod namiot i położyła się obok guwernantki.

Wilder spojrzął na kompas i jeszcze raz sprawdził kierunek wiatru. Obrócił dziób szalupy na południowy zachód, o ile tylko wiatr na to pozwalał.

Nie na wiele się to zdało. Wiatr ciągle się wzmaczał. Wilder musiał spuścić tylny żagiel. Szalupa płynęła teraz pod zarefowanym fokiem. Ocean budził się ze snu. Łódź wspinała się na ciemne grzbiety fal, zapadała w głębokie bruzdy i znów wznosiła się, by zbierać coraz silniejsze ciosy wiatru.

Szum morza i wichru obudził kobiety. Wszystkie trzy stanęły przy Wilderze. Na ich gorączkowe pytania dawał krótkie odpowiedzi. Nie było czasu na dłuższe wyjaśnienia.

Dzień nie przyniósł nadziei. W jego świetle oczom rozbitków ukazała się jasno groźna sytuacja. Zielone fale uderzały zaciekle. Na ich grzbietach zaczęła się pojawiać piana, co świadczyło, że musi dojść do starcia między skłóconymi żywiołami. Nad poszarpanym wschodnim horyzontem wzeszło słońce i wolno pięło się po błękitnym sklepieniu, czystym, zimnym, dalekim, bez jednej chmurki.

— Jak pan ocenia sytuację? — spytała pani Wyllys.

— Przy obecnym wietrze możemy się utrzymać w pobliżu szlaków wielkich statków odwiedzających porty północne. Ale gdyby wiatr przeszedł w huragan, nasza łupina nie obroni się.

— Wtedy jedynym dla nas ratunkiem byłoby dać się ponieść huraganowi?

— Tak jest.

— Dokąd byśmy wtedy popłynęli? — spytała Gertruda.

— Oddalalibyśmy się od lądu.

— Co to jest? — zawołała Kasandra, której wielkie czarne oczy bez przerwy rozglądały się wokół.

— Jakaś wielka ryba.

— To łódź! — zawołał Wilder i wskoczył na ławkę.

W odległości trzydziestu jardów widać było jakiś ciemny przedmiot unoszony przez fale.

— Łódź, ahoj! Łódź, ahoj! — krzyczał Wilder.

Żaden ludzki głos nie odpowiedział. Usłyszeli tylko wycie wiatru. Szalupa zanurzyła się w głębokiej dolinie fal, skąd nic nie było widać.

— O, Boże! — zawołała pani Wyllys. — Znów jakiś statek musiał się rozbić.

— To na pewno była łódź — powiedział Wilder. Stał na ławce. Ster oddał w ręce Kasandry.

Nagle tuż obok nich wypłynęła na fali łódź przewrócona dnem do góry. Murzynka przeraźliwie krzyknęła, puściła ster, padła na kolana i dłońmi zakryła twarz. Wilder chwycił ster i odwrócił się w stronę, gdzie Kasandra zobaczyła jakiś straszny widok. Ujrzał trupa mężczyzny. Sztywny, na pół nagi, płynął na fali okrytej pianą. Na krótką chwilę stanął w dolinie fali. Woda ciekła mu z włosów. Wyglądał jak widmo, które wychynęło z głębin, by ukazać przerażonym widzom swą straszną twarz. Fala zalała topielca. I już się nie pokazał.

Wilder, Gertruda i pani Wyllys zobaczyli ten potworny widok z tak bliska, że rozpoznali posępną twarz Nightheada, którą śmierć wykrzywiła w odrażający grymas. Nikt się słowem nie odezwał. Wilder łudził się, że tylko on rozpoznał oficera. Kobiety przerażenie ogarnęło na myśl, że lada chwila może je spotkać podobny los. Wilder po ich twarzach domyślił się, że zobaczyły to samo, co on. Nie miał więc czego ukrywać.

— Łódź z „Karoliny” nabrała wody i przewróciła się — powiedział. — Była słaba i przeładowana.

— Czy myśli pan, że wszyscy zginęli? — szeptem spytała pani Wyllys.

— Na. pewno. Zgubiły ich przesady i nieposłuszeństwo. Naturalnie ratowałbym każdego z nich, choć gdyby byli mądrzejsi, wspólnymi siłami mogliśmy ocalić statek.

— Tak więc z wszystkich osób, które na pokładzie” „Karoliny” opuściły Newport, tylko myśmy pozostali przy życiu.

— Niewątpliwie.

— Czy niebezpieczeństwo, przed którym nas pan tyle razy przestrzegał, miało coś wspólnego z tym, co się stało?

— Nie.

— Czy to niebezpieczeństwo już minęło?

— Chyba tak.

— Patrzcie! — zawołała Gertruda.

Była tak przejęta, że mimo woli położyła rękę na ramieniu Wildera.

— Statek! — krzyknęła pani Wyllys.

W odległości mili rzeczywiście ukazał się statek. Płynął lekko ślizgając się po falach, z którymi tak rozpaczliwie walczyła szalupa. Tylko jeden żagiel, i to mocno zrefowany, wznosił się, jak śnieżny obłoczek wśród ciemnych masztów i rei. Wysokie maszty zginały się chwilami pod naporem wiatru. Widać było wyraźnie długi, niski, czarny kadłub połyskujący w słońcu. Ale gdy szalupa i statek równocześnie zanurzały się w dolinie fali, statek zniknął rozbitkom z oczu.

Pani Wyllys i Gertruda padły na kolana i podziękowały Bogu za ocalenie. Kasandra śmiała się głośno i płakała na przemian. Wilder nie podzielał ogólnej radości. Z nachmurzonym czołem siedział przy sterze i milczał.

Wzruszona pani Wyllys obiema rękami uścisnęła mu dłoń i powiedziała:

— Zbliża się chwila naszego ocalenia. Mam nadzieję, dzielny młody człowieku, że niezadługo będziemy mogły dowieść, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczne za tyle poświęcenia i męstwa, jakieś okazał ratując nam życie.

Wilder nic na to nie odpowiedział.

— Co pana jeszcze martwi? — spytała Gertruda.

— Oddałbym życie — odparł — gdybym mógł w ten sposób uchronić panie przed niebezpieczeństwem, ale...

— Cieszymy się i nie szukajmy dziury w całym! — przerwała mu guwernantka. — Czy ma pan jeszcze jakieś wątpliwości?

— Sprawa nie jest taka prosta, jakby się zdawało. Mogą nie zauważyć szalupy i nie usłyszeć naszych głosów.

— Rozumiem. Chce nas pan przygotować, abyśmy nie doznały bolesnego zawodu. Ale przecież możemy z wiatrem podpłynąć do tego statku.

— To wcale niełatwe. Wiatr jest za silny.

— Na pewno już nas zobaczyli.

— Nie. Dzięki Bogu, jeszcze nie. Nasz żagiel jest okryty pianą. Jeśli zobaczą, wezmą go za mewę lub grzebień fali.

— I pan za to dziękuje Bogu! — zawołała Gertruda.

— Może mi się język poplątał. Ten statek jest uzbrojony!

— To pewnie królewska fregata. Tym lepiej by nas przyjęli. Niech pan prędko wywiesi jakiś sygnał na maszcie!

— Zapomina pani, że nieprzyjacielskie okręty kręcą się koło naszych wybrzeży. Może to okręt francuski.

— Nasi wrogowie to też ludzie, i często szlachetni. Nawet pirat nie odmówiłby ratunku kobietom tonącym na morzu.

Zapadło długie milczenie. Wilder wciąż stał na ławce i pilnie rozglądał się dokoła.

— Popłyniemy dalej — powiedział. — A potem zobaczymy, co wypadnie nam zrobić.

Żadna z nich nie znalazła odpowiedzi na te zagadkowe słowa. Pani Wyllys domyślała się z zachowania Wildera, że mimo ich beznadziejnego położenia chciałby uniknąć spotkania z nieznanym statkiem. Woląla jednak o nic nie pytać. Gertruda była bardzo zdziwiona, ale wierzyła, że Wilder wie, co robi. Jedna Kasandra wyraźnie się zbuntowała. Podniesionym głosem domagała się, by przestał zwlekać, bo jakby panience stało się coś złego, to generał Grayson wpadnie w straszny gniew, a niech nas ręka boska chroni przed gniewem generała... Wymachiwała przy tym rękami i coraz głośniejsze krzyczała.

Wilder nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, co tak ubodło Kasandrę, że chwyciła bosak, nadziała nań płachtę leżącą na dnie i za plecami swoich pań podniosła ten sygnał własnej roboty ponad żagiel. Wilder spostrzegł, co robi Kasandra, dopiero po paru minutach. Spojrzał na nią groźnie. Natychmiast opuściła bosak. Przewaga Kasandry nad Wilderem była krótka, ale skuteczna.

Nad statkiem uniosła się chmura dymu, a potem dał się słyszeć huk wystrzału, stłumiony przez wiatr.

— Za późno na wahania — powiedziała pani Wyllys. — Zobaczyli nas i przekonamy się teraz, czy to przyjaciele, czy wrogowie.

Wilder nie odpowiedział. Na statku podniesiono kilka dużych żagli, jego dziób zwrócił się w stronę szalupy. Walcząc z wiatrem statek wolno zbliżał się do nich. Gdy wznosił się na fali, wzbijał fontanny piany, która błyszczała w słońcu i deszczem brylantowej rosy opadała na żagle.

— Rzeczywiście, za późno — mruknął Wilder.

Sterował na statek. Rozwinięty żagiel wybrzuszył się tak, że w każdej chwili mógł podrzeć się w strzepy. Szalupa gnała jak szalona: Zanim kobiety zdążyły ochłonać, znalazła się w spokojniejszym miejscu, osłoniętym przed falą przez potężny kadłub statku. Na pokładzie stał jakiś mężczyzna i rzucał rozkazy marynarzom. Było ich chyba stu. Czwórka rozbitków szybko znalazła się na pokładzie wraz z całym swym mizernym dobytkiem. Szalupę pozostawiono na morzu, widocznie na nic nie mogła się przydać. Dwudziestu marynarzy wspięło się na maszty i reje. Wszystkie żagle zostały rozwinięte.

Statek jak ptak pomknął na skrzydłach gwałtownego wiatru.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jeśli czytelnik zwrócił uwagę na szybkość, z jaką wiatr niósł statek na końcu poprzedniego rozdziału, nie zdziwi go wcale wiadomość, że rozpoczynając następny rozdział w tydzień po opisanych wydarzeniach znajdziemy się daleko od miejsca, gdzie trójka naszych bohaterów, wraz z nieodstępną Kasandrą, została uratowana przez Czerwonego Korsarza, co do czego nikt z nas chyba nie miał wątpliwości. Nie będziemy wracać do dziejów tego tygodnia ani opisywać krętej drogi statku, w czasie której przeorał kilem ponad tysiąc mil oceanu, zrećźnie uniknął spotkania z niejedną królewską fregatą i ominął z daleka inne, mniej niebezpieczne statki. Te niegroźne statki Korsarz omijał po prostu z przyzwyczajenia.

Dość powiedzieć, że akcja naszej powieści potoczy się teraz w łagodniejszym klimacie i na spokojniejszych wodach.

W słońcu poranka ukazały się małe, niewysokie, skaliste wyspy. Błękitny kolor wody świadczył, że morze jest niebezpiecznie płytkie i trzeba mieć się na baczności, aby statek nie utknął na mieliźnie. Od czasu do czasu nieśmiały wietrzyk delikatnie poruszał najłżejszymi żaglami. Morze wyglądało jak uśpione jezioro.

Załoga już wczesnym rankiem wyległa na pokład. Około pięćdziesięciu tęgich i zdrowych chłopów zawisło wśród lin nad pokładem. Jedni śmiali się i gawędzili z sąsiadami, inni zajęci byli wyznaczoną im pracą, ale zbytnio się do niej nie przykładali. Drugie tyle, jeśli nie więcej, marynarzy objało się na pokładzie przy różnych zajęciach. Nikt się nie garnał do pracy, wszyscy właściwie leniuchowali, ale bardziej przezorni udawali, że coś robią.

— Na podniesionej części pokładu, bliżej rufy, miejscu dostępnym tylko dla wyższych szarż, przechadzali się oficerowie, którzy nie musieli udawać, że pracują. Było ich czterech. Jak na ludzi trudniących się grabieżą, wyglądali całkiem przyzwoicie. Wszyscy byli młodzi, na sobie mieli zwykłe (chciałoby się powiedzieć: polowe) mundury oficerskie, inne jednak niż wzory przyjęte w marynarce jakiegokolwiek państwa.

Mimo spokoju, jaki panował na statku, każdy oficer miał u pasa krótki, prosty sztylet, a kiedy jeden z nich przechylił się przez burtę, spod surduta wyrzała mu kolba małego pistoletu. Nic nie wskazywało by oficerowie musieli się mieć na baczności. Najwidoczniej więc na statku był zwyczaj noszenia krótkiej broni na co dzień. A jednak przeznaczonej dla oficerów części pokładu pilnowało dwóch ponurych drabów w mundurach i uzbrojeniu piechoty, stojących przy przejściu na niższy pokład. Marynarze zachowywali się swobodnie, co świadczyło, że przywykli do praktykowanych na statku środków ostrożności i przestali zwracać na nie uwagę.

Osobnik, którego przedstawiliśmy czytelnikowi pod szumnie brzmiącym tytułem „Generała”, stał sztywny i prosty niczym maszt naprzeciw swoich dwu żołnierzy i krytycznym okiem mierzył ich ekwipunek, zachowując taką obojętność wobec wszystkiego, co się działo na pokładzie, jakby istotnie stanowił jedną z drewnianych części wyposażenia statku.

Korsarz stał sam, nikt bowiem, nawet żaden oficer, nie śmiał do niego podejść. Pełna godności postawa pozwoliłaby niewtajemniczonym, gdyby znalazł się taki na statku, rozpoznać od pierwszego wejrzenia w tym młodym i przystojnym mężczyźnie dowódcę, sprawującego tutaj niepodzielnie najwyższą władzę. Miał na sobie błękitny surdut lamowany złotem, u pasa jawnie zwisały dwa pistolety, za pasem tkwił lekki, zakrzywiony turecki jatagan i sztylet z cyzelowaną rękojeścią, zapewne dzieło jakiegoś włoskiego mistrza.

Pani Wyllys i Gertruda przechadzały się samotnie na górnym pokładzie. Widać było, że czują się swobodnie i spokoju ducha nie mąci im nawet to, iż znalazły się pośród piratów bez czci i wiary. Guwernantka wskazała Gertrudzie bladoniebieską smugę w oddali, tuż nad powierzchnią morza, i zawołała Wildera, który od dłuższej chwili stał u stóp trapu prowadzącego na pokład rufowy. Natychmiast zjawił się przy nich.

— Właśnie mówiłam Gertrudzie — powiedziała pani Wyllys — że tam, gdzie widać tę niebieską smugę, jest chyba Karolina i jeśli powieje pomyślny wiatr, niezadługo będzie w domu. Ale moje drogie dziecko po tylu ciężkich przejściach stało się takie lękliwe i nieufne, że nie uwierzy, póki nie znajdzie się w domu i nie zobaczy ojca. Czy często pan bywał w tych stronach?

— O, tak, proszę pani.

— A więc może nam pan powiedzieć, co to za ląd widać na horyzoncie.

— Ląd? — spytał Wilder robiąc zdziwioną minę. — Pierwszy raz słyszę, że widać ląd.

— Jak to! Przecież już parę godzin temu oznajmiono to z masztów!

— Możliwe. My, marynarze, po całonocnej wachcie często jesteśmy tak zmęczeni, że nie bardzo wiemy, co się rano dzieje na statku.

Guwernantka przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Czyżby piękna ziemia amerykańska przestała być panu miła, że może pan z taką obojętnością do niej się zbliżyć? Nigdy nie mogłam zrozumieć ślepej miłości marynarzy do morza, tłumiącej przywiązanie do ziemi ojczyściej.

— Czy to prawda, co mówią ludzie, że marynarz zawiera ślub z morzem i oddaje mu swe serce?

Pośpiech, z jakim Gertruda zadała to dziwne pytanie, ją samą wyraźnie zmieszał.

Wilder uśmiechnął się do niej.

— Często oskarżają nas o to zaślepienie — przyznał.

— I słusznie oskarżają?

— Niestety tak. Gertruda nie dopytywała się więcej. Utkwiła wzrok w pokładzie i przez dłuższy czas milczała.

— Mnie nikt nie może zarzucić, że wolę morze niż dom rodzinny — odezwał się po chwili Wilder.

— Morze zawsze było moim domem.

— Ja też znaczną część życia spędziłam na morzu — wyznała pani Wyllys. — Na statkach, przeżyłam wiele szczęśliwych i smutnych chwil. Zdaje mi się jednak, że od tamtych czasów wiele się zmieniło. Czy dzisiaj powierza się nieznany ludziom odpowiedzialne funkcje na okrętach wojennych?

— Na pewno nie.

— A jednak od chwili, gdy jako nieszczęsne ofiary morza zostaliśmy przyjęci na ten statek, pan, jeśli się nie mylę, pełni tu funkcje zastępcy dowódcy. Wilder odwrócił wzrok, najwidoczniej szukał odpowiedzi.

— Widzi pani, patent oficerski jest zawsze respektowany. Ma pani najlepszy tego dowód.

— To pan jest oficerem królewskiej marynarki?

— Inaczej nie uznano by mojego stopnia na królewskim okręcie. Zmarł zastępca dowódcy na tej... fregacie. I wtedy, szczęśliwym trafem dla okrętu, i dla mnie oczywiście, ja się nawinałem.

— A mógłby mi pan powiedzieć, czy dzisiaj jest taki zwyczaj, że oficerowie na okręcie wojennym nie rozstają się z bronią?

— Taki jest rozkaz dowódcy okrętu.

— Ten dowódca jest niewątpliwie świetnym marynarzem, ale sprawia dziwne wrażenie i dziwne wydaje rozkazy. Już go gdzieś widziałam, i to bardzo niedawno.

Pani Wyllys zamilkła. Przez długą chwilę wpatrywała się w postać dowódcy okrętu, jakby go chciała przejrzeć na wylot. Wreszcie przypomniała sobie, że nie jest sama, i wróciła do przerwanej rozmowy.

— Czy od dawna zna pan kapitana Heideggera?

— Poznaliśmy się przedtem.

— To jest chyba niemieckie nazwisko. Nigdy dotąd z nim się nie spotkałam. Swego czasu znałam prawie wszystkich kapitanów królewskiej marynarki, co najmniej z nazwiska. Czy jego rodzina od dawna mieszka w Anglii?

— Na to pytanie on sam najlepiej odpowie — odparł Wilder. Właśnie z ulgą zauważył, że osoba, o której była mowa, zbliża się do nich z pewną siebie miną. Nie ulegało wątpliwości, że kapitan uważał, iż może się wmieszać do każdej rozmowy na okręcie, jeśli tylko będzie miał na to ochotę.

— Przepraszam panią, wzywają mnie obowiązki — powiedział Wilder i odszedł.

Widać było, że czyni to niechętnie. Obie panie zauważyły też, że nie był wcale zadowolony z zainteresowania, jakie okazał im kapitan.

Zachowanie Korsarza nie dawało jednak żadnych powodów do podejrzeń. Wprost przeciwnie, był chłodny, jakby roztargniony. Można było się domyślić, iż podszedł do pań przez zwykłą uprzejmość, poczuwając się do obowiązków gospodarza.

— Oto widok — powiedział wskazując niebieskawe kontury na horyzoncie — który napawa radością oczy mieszkańca lądu, a marynarza wcale nie cieszy.

— Czy marynarze naprawdę żywią taką odrazę do lądu stałego? — zapytała Gertruda.

Patrzyła na kapitana wielkimi, niewinnymi oczami, z ufnością świadczącą, że byłaby zdumiona, gdyby się dowiedziała, jakie rzemiosło uprawia ten miły młody mężczyzna.



— Choć sam jestem niepoprawnym morskim potworem — odparł z lekkim ukłonem i uśmiechem, w którym bystrzejsze oko dopatrzyłoby się ironii — nie dziwię się, że po ostatnich przejściach nie cierpi pani morza. A jednak, gdybyśmy byli parę stopni dalej na południe, pokazałbym pani malownicze góry i skały na horyzoncie, wzgórza skąpane w zieleni, ciche zatoki, pluskające w wodzie wieloryby, sennych rybaków, nieruchome białe żagle i zagrody wiejskie w oddali. Słowem, obraz jak z książki, w jakich zaczytują się piękne panny. Ludziom zdaje się, że na morzu nie mamy żadnych rozrywek. A my, na tym okręcie urządzamy czasem wspaniałe bale. Są też wśród nas tancerze, którzy swym kunsztem nie dorównują może wielkim sławom baletu, ale za to popisują się w czasie huraganu takimi piruetami, o jakich tamtym się nie śniło.

— Bal bez kobiet nie jest żadną zabawą, przynajmniej tak się wydaje nam, nieszczęsnym mieszkankom lądu.

— Hm, może to i racja. Jedna lub dwie damy nie zawadziłyby na morskim balu. Mamy też własny teatr. Krotochwila, komedia, czasem jakaś starożytna tragedia umilają nam czas. Ten na przykład jegomość, który wyleguje się na fokbramrei, niczym leniwy wąż wygrzewający się w słońcu na gałęzi, umie gruchać jak najprawdziwszy gołąbek. A tamten jest komikiem, który mógłby do łez rozśmieszyć ponurego mnicha cierpiącego na morską chorobę. To chyba daje pani pojęcie o jego aktorskich zdolnościach.

— Czy pan pełni rolę wodzireja na tych balach? — spytała Gertruda.

— A zatańczyłaby pani menueta? I zechciała łaskawie być ozdobą naszego balu?

— Ja, drogi panie? Z kim bym miała tańczyć? Czy może z tym dżentelmenem, co kręci się jak fryga w czasie huraganu?

Guwernantka surowym spojrzeniem przywołała Gertrudę do porządku uważając, że jej wychowanica pozwala sobie na coraz swobodniejszą rozmowę.

— Chciał nas pan przekonać — zwróciła się do Korsarza — że pańscy marynarze umieją się ładnie bawić?

— A, proszę bardzo. Panie Wilder! Niech no bosman zagwizdże pięknie i wezwie załogę do swawoli!

Wilder skinął głową i wydał odpowiednie rozkazy.

W chwilę potem osobnik, znany już czytelnikowi z gospody „Pod Urwaną Kotwicą”, stanął na środku pokładu, koło głównego luku, ze srebrnym łańcuchem na szyi i gwizdkiem w ustach. Nazywał się Nightingale. Wtedy, w gospodzie, nie najlepiej się spisał i po powrocie na statek miał poważne przykrości. Teraz towarzyszyło mu dwóch mniej od niego wybitnych błaznów.

Nightingale, zwany na statku Słowiczkiem, zagwizdał długo i przeraźliwie, po czym huknął ochrypłym basem:

— Hej, hej, cała załoga, ahój! Swawolić!

Mieliśmy już przyjemność porównania głosu bosmana do ryku byka i pozostaniemy przy tym porównaniu, bo nic trafniejszego nie przychodzi nam na myśl.

Hasło rzucone przez bosmana powtórzyli po kolei jego dwaj asystenci. Zamilkły pogwarki i żarty na rejach. Zrobiło się cicho jak makiem siał. A potem sto gardzieli nieopisaną wrzawą odpowiedziało na hasło. Liny zaroily się od ludzi. Młodzi marynarze śmigali w powietrzu z rei na liny i po chwiejnych szczeblach drabinek linowych zamocowanych do want zwinnie wspinali się w górę, niczym nastraszone wiewiórki szukające schronienia na szczytach drzew.

Na pokładzie też zawrzało. Starsi i mniej sprawni marynarze, kanonierzy, intendenci, chłopcy okrętowi — wszyscy żywo się uwijali. Jedni, bardziej obcy, szykowali się do ataku, inni, mniej zaradni, zajmowali obronne pozycje.

Na górze marynarze nawoływali się i zmagali, sypiąc rubasznymi żartami na głowy tych, którzy zostali na twardym gruncie pokładu, i wyciągając szyje obserwowali ruchy przeciwnika, usadowionego w górnych rejonach. Groźne spojrzenia strzelające na wysokość masztów zapowiadały, że opór pokładu będzie twardy i zaciekły. Nie brakowało zresztą i na dole ludzi zahartowanych w podobnych bojach.

W ogólnym zamęcie jedna grupa najszybciej i najsprawniej się zwarła i stanęła w pełnym pogotowiu. Był to zdyscyplinowany oddział Generała. Między tym oddziałem a resztą załogi istniała co najmniej niechęć, przez żadną ze stron nieukrywana. Nieraz już dochodziło z tego powodu do burzliwych scen i awantur grożących buntem załogi. Teraz podwładni Generała, w sile dwudziestu chłopca, musieli odłożyć na bok broń palną, bo przecież wszyscy mieli się bawić, ale groźne miny wąsatych zuchów zapowiadały, że w razie potrzeby chętnie chwycą za bagnety, których się, na wszelki wypadek, nie pozbyli.

Ich komendant, wraz z pozostałymi oficerami, wycofał się na pokład rufowy, aby swą obecnością nie krępować rozbawionych marynarzy.

Zaczął się od tego, że z rei spuszczone na linkach do morza skórzane wiadra, służące do gaszenia pożaru. Próby przeciwdziałania ze strony marynarzy na pokładzie nie powiodły się i wiadra, napełnione wodą, szybko powędrowały na górę. Jak tylko ktoś zadarł głowę i otworzył gębę, lała się w nią z góry woda. Jak długo polewano, jak zieloną trawkę, młodocianych nowicjuszy, żarty uchodziły bezkarnie. Ale napastnicy nie przebierali i rychło oberwało się niejednemu ze starszych. Zniewaga wymagała stanowczej odprawy. Pod komendą podoficerów wytoczono na pokład strażacką sikawkę i wycelowano ją na szczyt najbliższego masztu. Ale zagrożony teren szybko został ewakuowany. Jedni wspięli się tak wysoko, że sikawka przestała być dla nich groźna, inni po linach przedostali się, na zawrotnej wysokości, na dalsze maszty. Towarzyszył tej karkołomnej operacji chór szyderych śmiechów i docinków godzących w „strażaków” na dole. Zapraszano ich na górę, zachęcano, by pokazali, co potrafią. Zmoczeni do suchej nitki, żądni zemsty żołnierze, w sile sześciu chłopca, pod przewodem kaprała z makaronem na głowie, w jaki zamienił się puder obficie zlany wodą, zaczęli się wspinać w górę, co było dla nich zadaniem znacznie trudniejszym niż szturm na fortecę. Starszyzna pokładowa dodawała im ducha, choć sama ani myślała ruszyć się z miejsca. Nightingale i jego dwaj pomocnicy gwizdali przeraźliwie i pokrzykiwali: „Śmiało! Trzymajcie się! Nie dajcie się!

Wyżej!” Widok ryzykantów, pomału i ostrożnie wspinających się w górę, podniecił podniebnych linoskoczków niczym złośliwe pająki, które przy misternej sieci czyhają na zbliżające się muchy.

Na paru żołnierzy, którym udało się wdrapać dość wysoko, spadła czereda zwinnych jak małpy majtków i sprawiła im lanie linami. Ofiary były bezbronne, obiema rękami kurczowo uczezione, czego tylko się dało, aby nie zlecieć na pokład. Innych napastników marynarze chwyтали na liny jak ryby na wędkę, unosili i sadzali na wysokich rejach.

Pośród ogólnej wrzawy jeden marynarz wszakże grał swoją rolę ze śmiertelną powagą. Rozsiadł się ha skraju rei swobodnie jak na kanapie i przyglądał się jeńcowi u swych stóp, którego miał odesłać na tyły, to znaczy wyżej. Był to Ryszard Fid. Poznaliśmy go jako gadatliwego mądralę na początku tej powieści.

— W takim stanie nie mogę go posłać wyżej — mruzczał Fid. — Jakże śmiałyby się pokazać w lepszym towarzystwie w podartym ubranku, świecąc gołym ciałem. Pokład, ahój! Afrykański! Przyślij no tutaj pierwszorzędnego krawca, żeby zacerował dziury w portkach temu łazarzowi.

Czarny jak heban Scypio Afrykański skrzyżował ręce na piersi i ruszył na poszukiwanie krawca.

Zacny Homespun nie dał na siebie czekać. Usłyszał apel Fida i wyszedł z jakiegoś kąta w pełnym rynsztunku, co znaczy, że na szyi miał zwój grubych nici żeglarskich, w jednej ręce trzymał igłę, a w drugiej kawał wosku. Z miny jednak bardziej przypominał wystraszonego zająca niż krawieckiego mistrza, można by też powiedzieć, że był zaskoczony nie mniej niż chiński mandaryn, któremu kazano tańczyć w balecie. Scypio wyciągnął potężne ramię. Zagarnął „Homespuna i zarzucił go sobie na plecy. W tej samej chwili hak liny zaczepił o spodnie krawca i zacny mistrz igły poszybował w górę.

— Uważajcie, żeby nie wpadł do wody! — krzyknął Wilder.

— To krawiec, proszę pana — spokojnie odparł Scypio. — Jeżeli spodnie mu trzasną, sam będzie sobie winien.

Tymczasem Homespun wylądował już na rei. Fid przyjął go z otwartymi ramionami i tak przymocował, by obie ręce miał wolne i mógł bez obawy o własne życie przystąpić do pracy.

— Wyłataj mu pan portki, żeby wyglądał jak człowiek, a nie jak sito — powiedział Fid.

Po czym oparł stopę na karku jeńca i jedną jego nogę złożył na kolanach krawca.

— Machaj, bracie, igłą, tylko uważaj, żebyś go nie ukłuł we wrażliwe miejsce, bo będzie fikał, i mógłbyś nie trafić do celu. Zaczniemy od portek, ponieważ na portkach opiera się każdy strój, jak dom na fundamencie.

— Boże, ratuj! — zawołał krawiec spoglądając w przepaść pod sobą.

— Nie mogę patrzeć na tę goliznę — powiedział Fid. — To nie są portki, tylko dziury po nich. Nie widzę tu roboty dla mistrza. Zabierzcie tego obdartusa. Niech mu wydadzą nowy mundur.

Życzeniu Fida stało się zadość. Nie chciał dłużej znęcać się nad swą ofiarą. Był gruboskórny, ale miał dobre serce, a poza tym nabrał ochoty do pogawędki z krawcem.

— Cóż pan tak szeroko otworzył oczy, mistrza? — zaczął uprzejmie. — Nie widać nic strasznego. Morze otacza nas ze wszystkich stron, a ta niebieska plamka na wschodzie to góry na Wyspach Bahama.

— A ja widzę wokół siebie ludzi, których życie jest grzeszne i bezecne — odparł Homespun. — Przeżyłem pięć długich i krwawych wojen, a teraz czeka mnie nędzny koniec.

— Ja bym na pańskim miejscu nie narzekał. Widziałem młodszych od pana, jak odbywali podobną drogę w górę na linie, żeby już nigdy więcej nie stanąć na ziemi.

— Załoga tego statku prędzej czy później odpowie za wszystkie swe bezecności i za okrutne żarty, których padłem ofiarą.

— Zaciągając się na ten statek nie dopytywałem się za wiele.

— Ale chyba wiedział pan, komu się pan wynajął i za ile.

— Wiedziałem tylko tyle, że statek nazywa się „Delfin” i że idę za Harry’em Wilderem. On myśli za mnie i jeszcze nigdy na tym źle nie wyszedłem.

— W ten sposób zaprzedałbyś pan duszę Belzebubowi i nie wiedział za ile.

— Słuchaj no, przyjacielu. Jesteś moim gościem w tej chwili, ale nie pozwolę, żeby obrażano mojego pana. Trzymaj więc język za zębami, bo chyba wiesz, że możesz zlecieć stąd jeszcze prędzej, niż tu wjechałeś.

Krawiec ostrożnie zerknął na dół.

— Do głowy mi nie przyszło przyrównać pańskiego przyjaciela do Belzebuba — zapewnił Fida. — Chciałbym tylko wiedzieć, czy na szubienicę też by pan za nim poszedł.

Fid wepchnął sobie w usta potężną porcję tytoniu. Pracowicie żując zamyślił się głęboko. Po dłuższej chwili strzyknął czarną śliną na znaczną wysokość i odpowiedział:

— Tak, poszedłbym, niech mnie piekło pochłonie! Po dwudziestu czterech latach spędzonych razem na morzu byłbym nędznym robakiem, gdybym go opuścił z powodu głupiej szubienicy.

— Służba na tym statku — indagował dalej krawiec — musi być sownie opłacana, a wyżywienie doskonałe.

— Dostaję normalną płacę marynarza pierwszej klasy. Prosiłem mojego pana, żeby mnie zrobił sternikiem. Ale nie zgodził się, bo lubię trochę popić, a na wyższym stanowisku to się bardziej rzuca w oczy. Im wyżej wyjdzie małpa, tym bardziej widać, że ma ogon. Cc się tyczy żywności, to czasem jest za dużo, a czasem z głodu burczy w brzuchu, takie już jest życie marynarza.

— No, ale często dzieli się, jakby to rzec... łupy. I wtedy dostaje pan swój udział w zdobyczy...

— Pan, zdaje się, lepiej wie ode mnie. Ja o tym nic nie słyszałem.

Może ciekawy krawiec dowiedziałby się więcej, gdyby rozmowy nie przerwał tumult, jaki się nagle podniósł na statku.

Przyczyna tego hałasu wyjaśni się na początku następnego rozdziału, w którym akcja naszej powieści ruszy z miejsca.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jak długo bronią w starciu dwu obozów na statku był dowcip, co prawda rubaszny, ale nieszkodliwy, przewaga należała do góry. Gdy jednak w ślad za obelgami poszły w ruch pięści, siły się wyrównały i trudno było przewidzieć, komu przypadnie zwycięstwo: armii napowietrznej czy wojskom lądowym.

Przez cały czas Nightingale skutecznie poskramiał zbyt krewkich zuchów, których korciło, by przeciwnikom puścić krew i porachować zęby. W bardziej krytycznych chwilach rozlegał się przeraźliwy gwizd i słychać było potężny bas bosmana:

— Wolnego, chłopcy! Cóż ty, ciemna głowo, na żartach się nie znasz?

Korsarz, choć w przystępie dobrego humoru dał hasło do zabawy, nie okazywał najmniejszego zainteresowania tym, co się działo na statku. Jak to mu się czasem zdarzało, zamilkł i pogrzył się w myślach. Zmarszczone brwi i nachmurzone czoło wskazywały, że nie są to bynajmniej myśli pogodne. Czasem rzucał pani Wyllys i jej pięknej wychowawicy przelotne spojrzenia. Było w nich coś niepokojącego, zwłaszcza gdy spoglądał na Gertrudę, i zapewne ogarnęłyby ją przerażenie, gdyby odgadła jego myśli. Nie będziemy jednak starali się zajrzeć w głąb duszy Korsarza, bo nawet doświadczony obserwator może się omylić, jeśli z samych tylko czyichś spojrzeń chce wnioskować o jego skrytych myślach, zamiarach i pragnieniach.

Gertruda z dużym zainteresowaniem, choć nie bez obaw, przyglądała się marynarskim harcom, a czasem nawet uśmiech pojawiał się na jej twarzy. Mimo wysiłków Nightingale'a coraz częściej gniew brał górę nad wesołością, dochodziło do coraz brutalniejszych wybryków i w każdej chwili zabawa mogła się przerodzić w krwawe zamieszki na statku.

Pokład był zalany wodą. Jednego z chłopców okrętowych zawieszono wysoko na linach wraz ze świnią, tak że się o nią obijał, pewnemu żołnierzowi, huśtającemu się na zawrotnej wysokości ze skrępowanymi rękami, tresowana małpka stanęła na ramieniu i z bardzo mądrą miną goliła mu brzytwą głowę. Wywołało to huragany śmiechu, a równocześnie uspokoiło trochę zwolenników pięści i noża.

Wszyscy uciszyli się, gdy usłyszeli głos, jakby z morza, wołający przez tubę:

— „Delfin”, ahój!

— Kto wzywa „Delfina”?! — odkrzyknął Wilder widząc, że pogrążony w myślach Korsarz pozostał głuchy na to wołanie.

— Neptun jest pod waszym pokładem! — padła odpowiedź.

— Czego chce bóg morza?

— Dowiedział się, że jacyś intruzi pojawili się w granicach jego królestwa. Chce zapytać, kim są i czego tu szukają.

— Witamy, królu! Wprowadźcie staruszka przez dziób. To zbyt doświadczony marynarz, żeby włąził na statek przez bulaj.

Pojawił się na pokładzie marynarz atletycznej budowy. Ociekające wodą pasma białej wełnianej przędzy wyobrażały siwe włosy Neptuna. Bóg odziany był w płaszcz z morskiej trawy, przez który przezierało nagie ciało. W ręce trzymał trójzab, zrobiony z rożków zatkniętych na krótką pikę.

Bóg morza (rolę tę grał bosman szef) kroczył pokładem z królewską godnością, a za nim podążał orszak nimf z brodami, przybranych nie mniej dziwacznie. Gdy stanął przed pokładem zajęty przez oficerów, pozdrowił ich swoim berłem i powiedział:

— Na pięknym statku przybyłeś tym razem, mój synu. Widzę na nim dużo mych dorodnych dzieci. Kiedy opuściliście ląd stały?

— Jakieś osiem dni temu.

— To trochę mało, aby żółtodzioby nauczyły się stać na nogach. Zaraz zobaczymy, którzy to są.

Generał, który stał z głową pogardliwie odwróconą w inną stronę i trzymał się wanty bezanmasztu, natychmiast cofnął rękę. Neptun uśmiechnął się i mówił dalej.

— Nie będę się pytał, z jakiego portu wypłynęliście, gdyż błoto z dna tamtej zatoki jeszcze oblepia wasze kotwice. Nie przywieźliście chyba wielu nowicjuszy, to dobrze, bo nie mam czasu, żeby nimi się zająć. Czuję w powietrzu zapach sztokfiszka, co znaczy, że statek z Bałtyku z rybim ładunkiem jest już nie dalej jak sto mil stąd i muszę sprawdzić jego załogę.

— Naszych nowicjuszy masz, Neptunie, przed sobą. Kto jak kto, ale ty rozpoznasz ich na pierwszy rzut oka.

— W takim razie zacznę od tego dżentelmena — oświadczył beczelny Neptun zwracając się w stronę Generała. — Od razu widać, że to zatwardziały szcur lądowy. Chciałbym wiedzieć, od ilu godzin pływa po błękitnych wodach.

— O ile wiem, odbył on wiele morskich podróży — odparł Wilder. — I miał już sposobność złożyć okup Jego Królewskiej Mości.

— Niech mu będzie. Nie rozumiem tylko, dlaczego beczelnie obija się na statku, jeśli jest

człowiekiem tak obytym z morzem. A co z damami?

— Nie jest to ich pierwsza podróż morską, są więc zwolnione od wszelkich pytań — szybko odpowiedział Wilder.

— Ta młodsza jest taka ładna, że mogłaby być nimfą. Jeżeli Neptun się do kogoś zwraca bezpośrednio, byłoby obrazą majestatu nie odpowiedzieć na jego pytanie. Pozwoli pan zatem, że nie skorzystamy z pańskiej pomocy.

Wilder spiorunował go wzrokiem. Ale uparty Neptun nie raczył tego zauważyć.

— Jak słyszę, śliczna panienko — zwrócił się wprost do Gertrudy — pływałaś już na statkach. Zapewne pamiętasz, jak się nazywała łajba, na której odbyłaś pierwszą podróż morską. Nie wątpię też, że utkwiły ci w pamięci inne szczegóły tej podróży.

Gertruda przybladła, ale odpowiedziała spokojnie.

— Gdybym się wdała w szczegóły, zabrałoby to zbyt wiele twego boskiego czasu. Pewnie masz inne, poważniejsze sprawy na twej boskiej głowie. Może to świadectwo przekona cię, że nie jestem nowicjuską.

Mówiąc to wrzuciła mu gwineę w otwartą łapę. Neptun schował monetę do kieszeni, skłonił się godnie i mrużąc jedno oko powiedział:

— Jakoś nie zapamiętałem pięknego oblicza łaskawej pani, co tłumaczę sobie tylko tym, że jak pani słusznie zauważyła, mam na głowie całe królestwo. Gdybym zajrzał do moich rejestrów, zanim tu się zjawiłem, wszystko byłoby jasne. Teraz przypominam sobie nawet, iż kazałem jednemu z mych rytowników zrobić miniaturę pani pięknej twarzyczki, bo chciałem ją pokazać żonie. Nie. najgorzej się spisał. Wyrył pani podobiznę na skorupie ostrygi z Indii Wschodnich. Każę zrobić piękną kopię w oprawie z koralu i pošlę ją pani mężowi, jak się pani zdecyduje i wybierze sobie godnego towarzysza życia.

Jeszcze raz się uklonił, szurnął nogą i zwrócił się do pani Wyllys.

— A łaskawa pani po raz pierwszy zjawia się w moim królestwie?

— Ani pierwszy, ani dwudziesty. Wiele już razy widywałam Waszą Królewską Wysokość.

— Powitać starą znajomą! Na jakiej to szerokości geograficznej spotkaliśmy się po raz pierwszy?

— Ten zaszczyt spotkał mnie trzydzieści lat temu, na równiku.

— No tak, często tam bywam, żeby mieć oko na statki Towarzystwa Indyjskiego i brazylijskie w drodze do portów macierzystych. Trzydzieści lat temu odwiedziłem wiele statków, dobrze pamiętam, ten rok. Ale pani jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

— W ciągu tylu lat na pewno bardzo się zmieniłam — ze smutnym uśmiechem odparła pani Wyllys.

— Płynęłam na królewskim okręcie, i to dużym, trzypokładowym.

Bóg morza schował gwineę dyskretnie wsuniętą mu w rękę, ale zamiast podziękować, dalej nie dawał spokoju pani Wyllys, widocznie licząc na dalsze datki.

— Wszystko to może być prawdą — oświadczył. — Ale zarówno interesy mojego królestwa, jak i liczna rodzina, jaką mam na utrzymaniu, zmuszają mnie, bym nie dał się zbyć byle czym. Czy ten statek miał banderę?

— Tak.

— Wciągniętą, oczywiście, na bom?

— Banderę wciągnięto jak zwykle, gdy na okręcie jest kontradmirał, na fokmaszt.

— Ale mi się dostało! — mruknął boski Neptun, trochę zbity z tropu. — Cóż u licha, za pozwoleniem pani dobrodziejki, się stało, że nie pamiętam tego statku! Czy przypomina pani sobie, jak on wyglądał?

Guwernantka zapatrzyła się przed siebie i po chwili odpowiedziała:

— Pamiętam tylko, jak mały chłopak, nie więcej niż ośmioletni, wykpił marynarza przebranego za Neptuna i ośmieszyl go na oczach całej załogi.

— Na pewno miał osiem lat, nie więcej? — wtrącił się do rozmowy Korsarz.

Pani Wyllys zadrżała, jakby obudziła się ze snu.

— Nie więcej, ale był to wielki mądrała — odparła.

— A to dobrze! — powiedział Neptun.

Wolał nie przeciągać tej rozmowy, skoro wmieszał się do niej Korsarz, którego wszyscy na statku bali się jak ognia. Podszedł więc do oddziału Generała. Trochę się bał, że wojsko stawi opór, dlatego wybrał sobie żołnierza, który niedawno zaciągnął się pod rozkazy Generała, i kazał swoim pomocnikom odprowadzić go na bok, gdzie mógł bezpieczniej z niego sobie pokpić.

Żołnierze jednak mieli już dość zabawy ich kosztem i stanęli w obronie kolegi. Doszło do głośniejszej wymiany zdań i obelg. Atmosfera była tak naładowana, że w każdej chwili groził wybuch. Widząc, na co się zanosi, Generał uznał za stosowne zabrać głos.

— Protestuję przeciw tym buntowniczym zapędom i szarganiu munduru żołnierza — powiedział zwracając się do Korsarza, który wciąż zdawał się nie słyszeć. — Ostrzegam, że kto by się ważył choć palcem tknąć któregoś z moich podwładnych, spotka się ze stanowczą odprawą!

Ostrzeżenie wypowiedziane zostało donośnym głosem i wszyscy je usłyszeli. Skutek był natychmiastowy. Sierżant palnął Neptuna pięścią w twarz. Bóg morza zalał się krwią, co dowiodło,



że jest zwykłym śmiertelnikiem. A że był do tego nie miałym siłaczem, tak oddał sierżantowi to, co był mu dłużny, że dzielny wojak nakrył się nogami.

Ta krótka wymiana poglądów między dwiema tak ważnymi na statku szarżami dała hasło do boju wszystkim obecnym. Fid widząc, że na pokładzie się zakotłowało, że zrećnością małpy ześliznął się na dół. Za przykładem Fida spadli z obłoków na pokład wszyscy jego koledzy. Przez chwilę zdawało się, że wojsko Generała zostanie nakryte, jak się to mówi, czapkami, taka była przewaga liczebna strony przeciwnej. Ale oddział się zawziął i w zwartym szyku stawił czoło nieprzyjacielowi. Błysnęły w słońcu bagnety. Na tyłach gęstego tłumu marynarze sięgali już po piki ułożone pięknie wokół masztu.

— Stać! Cofnąć się jeden z drugim! — krzyknął Wilder.

Skoczył w tłum i przedarł się do środka. Zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo grozi bezbronnym kobietom, jeśli taka banda hultajów i zbirów raz zerwie więzy dyscypliny.

— Cofnąć się! Jeśli wam życie miłe! — wołał. — A pan, mój panie — zwrócił się do Generała — jeśli jesteś takim dobrym żołnierzem, daj swoim ludziom rozkaz, żeby się pohamowali!

Generał sam się wpierw pohamował, zbyt bowiem był zainteresowany w utrzymaniu spokoju na statku, a potem przemówił żołnierzom do rozsądku. Poparli go oficerowie, którzy wiedzieli, że mogą życiem przypłacić bunt załogi, jeśli nie stłumią go w zarodku. Ale na statku pirackim żadne prawo nie obowiązuje i wcale niełatwo jest perswazją uśmierzyć namiętności, gdy w ludziach odezwie się bestia.

Neptun odrzucił strój boga morskiego i stanął na czele gromady krzepkich marynarzy, gotów do wydania bitwy i rozgromienia wroga.

Oficerowie groźbami i perswazjami zdołali na razie wstrzymać wybuch. Niemniej wszyscy gorączkowo przygotowywali się do starcia. Żołnierze byli już w pełni uzbrojeni. Po obu stronach grotmasztu stanęły oddziały marynarzy z pikami, żelaznymi łomami i inną bronią, jaka im wpadła w ręce. Kilku przezorniejszych przetoczyło armatę i wycelowało jej lufę tak, że jeden strzał mógł wymieść ludzi z połowy pokładu.

Słowem, wrzenie doszło do punktu, w którym brakowało tylko, by jeden zaczął, a doszłoby do ogólnej masakry. Oliwy do ognia dolewało jeszcze kilkadziesiąt gęb, które zionęły nieprzerwanym potokiem przekleństw i najgrubszych obelg rzucanych przeciwnikom.

Trwało to jakieś pięć minut. Przez cały ten czas człowiek, który najbardziej powinien być zainteresowany w utrzymaniu porządku na statku, zachowywał się co najmniej dziwnie. Nie tylko nie zwracał uwagi na to, co się dzieje, ale wrzawa bijąca pod niebo zdawała się nie docierać do jego uszu. Skrzyżował ręce na piersi, wpatrzył się w cichy błękit morza i stał, jakby skamieniał w zadumie. Jego myśli musiały błądzić gdzieś bardzo daleko.

Oficerowie jednak nie tracili czasu. Wilderowi udało się trochę cofnąć najbardziej zapalczywych marynarzy. W odstępie, jaki powstał między dwoma wrogimi obozami, stanęli natychmiast pozostali

oficerowie. Ale Wilder popełnił jeden błąd. Przedwcześnie uznał, że sytuacja została opanowana. Złapał jednego z najbardziej zapalczywych marynarzy. Dwudziestu innych natychmiast wyrwało mu z rąk zakładnika. Autorytet pierwszego oficera został poważnie zachwiany.

— Kto on jest?! — krzyknął ktoś z tłumu. — Niech mu się nie zdaje, że jest kapitanem na tym statku! Skąd się wziął? Gdzie dotąd służył?

— Co zrobił z tym statkiem z Bristolu? — odezwał się drugi głos. — Miał go wpędzić nam w sidła. Tyle czasu zmarnowaliśmy czekając, aż się ten statek nareszcie ruszy z portu.

Odezwał się groźny pomruk. Obie zwaśnione strony zgodnie obrzucały Wildera obelgami. Przyjął je pogardliwym uśmiechem. Zdawał sobie sprawę, że sytuacja jest groźna, ale nie myślał ustąpić.

— Słyszeliście? — zawołał ktoś z tłumu. — Odzywa się do nas jak królewski oficer do przemytników!

— Taki odważny! — krzyczał drugi — ale burzy na pewno się boi! Nic dobrego nas nie czeka, póki ten młokos jest z nami!

— Do morza z nim! — ryknął inny. — Za burtę! Na dnie spotka swego poprzednika, prawdziwego marynarza i porządnego człowieka.

Wszyscy krzyczeli naraz. Nagle z tłumu wyskoczyło dwóch marynarzy. Stanęli przed Wilderem. Pierwszy z nich potężnym ciosem zwałił z nóg Neptuna. Drugi równie skutecznie rozprawił się z następnym napastnikiem. Tłum nieco się cofnął.

Drugi z obrońców, a był nim Fid, zawołał:

— Precz, ofiary losu! Cofnij się, jeden z drugim! Tylu na jednego? Tchórze! Do kogo się bierzecie? Do oficera? Oficera, jakiego w życiu żaden z was nie widział!

Wilder skoczył między swych obrońców a tłum.

— Odejdźcie! — powiedział. — Zostawcie, mówię, sam się rozprawię z tymi łotrami!

— Do morza z nim! — zawył tłum. — Do morza całą trójkę!

— Czy pan ogłuchł? — zawołała guwernantka. — Pozwoli pan, żeby na pańskich oczach popełniono morderstwo?

Doskoczyła do Korsarza i szarpnęła go za ramię. Zadrzał, jakby się obudził z głębokiego snu. Spojrzał jej w oczy.

— Niech pan patrzy! — krzyczała. — Nie widzi pan, co się dzieje? Chcą zabić pańskiego oficera!

Spojrzał na pokład. Purpura oblała mu twarz. Chwycił linę zwisającą z rei nad jego głową, odbił się nogami od pokładu i jednym skokiem znalazł się w samym środku tłumu. Wrzask ustał, jak nożem

uciał. W głębokiej ciszy tłum rozstępował się wokół Korsarza.

Podniósł rękę. Zaczął mówić. Głos jego brzmiał łagodniej niż zwykle i ciszej, ale słyhać go było na całym statku.

— Bunt? — powiedział. — Bunt jawny, krwawy bunt! Znudziło wam się życie, tak, chłopcy? Jeżeli jest tu taki, co chciałby posłużyć za dobry przykład innym, niech podniesie rękę, nawet jeden palec wystarczy. Niech się odezwie, spojrzy mi w twarz, niechaj śmie pokazać, że istnieje, niech ruszy palcem, westchnie lub kiwnie nosem!

Zamilkł. Tłum stał niemy, bez ruchu, jak zaczarowany. Marynarze i żołnierze jednakowo spuścili głowy, niczym niegrzeczne dzieci, które stanęły przed surowym obliczem ojca. Nikt się nie odezwał, żaden nie ośmielił się spojrzeć mu w oczy. Korsarz mówił dalej nie podnosząc głosu:

— Dobrze. Rozsądek wrócił późno, ale macie szczęście, że wrócił. Cofnąć się, cofnąć się, powiadam! Zabłóciliście pokład. — Z obu stron cofnęli się o krok. — Złożyć broń tam, gdzie jej miejsce. Jak będzie trzeba chwycić za broń, dostaniecie ode mnie rozkaz. Widzę, że znaleźli się śmiałkowie, co ruszyli piki bez mego zezwolenia. Teraz im te piki palą ręce! Kilkanaście pik równocześnie upadło na pokład.

— Mamy, zdaje się, bęben na tym statku — powiedział Korsarz. — Chciałbym go zobaczyć.

Wystraszony, drżący i zgięty we dwoje dobosz zjawił się na pokładzie.

— Daj się słyszeć, przyjacielu — rozkazał Korsarz. — Chciałbym wiedzieć, czy dowodzę załogą zdyscyplinowaną i posłuszną moim rozkazom, czy zgrają łotrzyków, których muszę przetrzebić.

Odezwał się bęben. Już po pierwszych uderzeniach wiadomo było, że bije na odwrót. Nie było na co czekać. Tłum zaczął się rozchodzić. Armata szybko wróciła na swoje miejsce.

Przez cały czas Korsarz nie okazał gniewu ani nawet zniecierpliwienia. Na jego twarzy malowała się głęboka pogarda, pewność siebie i niezachwiany spokój. Gdy już poskromił bunt, też nie dał nic poznać po sobie. Czekał obojętnie na meldunki o wykonaniu zwykłych w takiej sytuacji czynności.

Oficerowie podchodzili i składali raporty. Statek został postawiony w stan gotowości bojowej, jakby lada chwila miało dojść do bitwy morskiej. Wszyscy byli na swoich stanowiskach, otwarto magazyn z bronią i amunicją. Okazało się, że Wilder doskonale zna rzemiosło wojenne.

— Proszę zrefować żagle — powiedział do niego Korsarz. — Wydać ludziom na pokładzie piki i topory. Niech wiedzą, że nie boimy się broni w ich rękach.

Spokój, cisza, wzorowy ład i porządek zapanowały na statku. Korsarz wziął Wildera na bok i spytał, co to się stało.

Wilder. opowiedział wszystko starając się nie przesadzać i nie pominąć żadnego z istotnych szczegółów. Korsarz pilnie słuchał.

— Kazaniami nie utrzymamy ich w ryzach — powiedział, gdy Wilder skończył. — W razie buntu nie możemy podnieść żółtej flagi, by wezwać na pomoc inne statki. Nie możemy też nikogo oddać w ręce sprawiedliwości, żeby sędzia z wielką powagą przewertował jednym palcem jakąś książkę i powiedział basem: „Powiesić go!” Ta hołota wie o tym i chętnie by skorzystała z każdej sposobności. Już raz miałem z nimi kłopot. Zamknęli wszystkich oficerów i zabrali się do spijania najlepszych trunków na statku. Przyzna pan, że był to widok mało zabawny i wcale niebudujący.

— Byłem zdumiony, że tak łatwo udało się panu przywołać ich do porządku — wyznał Wilder.

— Wystarczy, żebym stanął wśród nich i podniósł rękę, a dam sobie radę nawet z tysiącem takich hultajów. Znają mnie i dobrze się rozumiemy.

— Pewnie surowo ich pan karze;

— Sprawiedliwości musi stać się zadość. Pańska służba pewnie wydaje się panu trochę dziwna. Ale po miesiącu nabierze pan wprawy i nie spotka pana taka przygoda. — Korsarz uśmiechnął się i dodał: — Tym razem sam wywołałem zamieszki na statku. Ale już po wszystkim i możemy sobie pozwolić na pobłażliwość. A poza tym nie zapominajmy, że mamy panie na pokładzie.

Po tych słowach Korsarz wyszedł na środek pokładu i wezwał do siebie głównych winowajców. Spokojnie, nie podnosząc głosu udzielił im nagany i ostrzegł, by nie liczyli na jego pobłażliwość, gdyby coś podobnego się powtórzyło. Każde jego słowo słyszała cała załoga. Gdy skończył, winowajcy stali ze spuszczoneymi głowami, szczerze skruszeni. Jeden tylko marynarz, ośmielony zapewne dobrą opinią, jaką dotąd miał u kapitana, powiedział parę słów na swoją obronę.

— Pan kapitan wie — mówił — że nie kochamy się z żołnierzami. Naturalnie pokład nie jest miejscem do załatwiania porachunków. Wiem, że źle się stało. Ale ten oficer, co nie wiadomo skąd się tu wziął...

— I zostanie tutaj — przerwał mu Korsarz. — Ja o tym decyduję i nikt nie ma tu nic do gadania.

— Naturalnie. Jeśli taka wola pana kapitana, to nie ma o czym mówić. Ale myśmy wiele sobie obiecywali po tym statku z Bristolu. Pan kapitan jest człowiekiem rozsądnym i wie, że jak ktoś ostrzył sobie zęby na statek wyładowany po brzegi, a zamiast tego dostaje mu się w ręce nędzna szalupa, to nic dziwnego, że nie jest zadowolony.

— Tak, mój przyjacielu! Jeśli mi się spodoba, weźmiesz jako łup wiosło albo zgniłą deskę! Skończmy z tym! Na własne oczy widziałeś, co się stało z tamtym statkiem. Na każdego marynarza może przyjść taka chwila, że jest bezsilny wobec potęgi żywiołów. Nawet jeśli jest znacznie lepszym od ciebie marynarzem. Kto ocalił nasz statek w czasie burzy, która sprzątnęła nam sprzed nosa upragniony łup? Może ty? Czy też ocalił statek ten, co zrobił to już nieraz, ale pewnego dnia może mieć cię dość, a wtedy będziesz zdany na własną tępą głowę. Co się zaś tyczy pierwszego oficera, wystarczy, że ja mam do niego zaufanie. Nie pora na to, bym oświecał teraz ciemne umysły i tłumaczył, że wszystko jest w porządku. Możesz odejść. I przyślij mi tych dwóch marynarzy, którzy tak dzielnie stanęli w obronie oficera.

Zjawił się Fid, a za nim Murzyn. Fid gniótł czapkę w rękę.

— Dobrze się spisałeś, mój chłopcze — powiedział Korsarz. — I twój kolega.

— Afrykański nie jest moim kolegą, bo jako Murzyn śpi i je ze swoimi czarnymi braćmi.

— Ale jest twoim przyjacielem.

— A, to co innego, panie kapitanie. Jeżeli się nie kłócimy, to się przyjaźnimy. Bardzo jest pyskaty i czasem trudno z nim wytrzymać. Ale poczciwa to dusza, a lepszego marynarza ze świecą pan nie znajdzie. Może by się pan kapitan pofatygował i wlaź na górę zobaczyć, jakie węzły robi ten Afrykański.

— Wierzę ci na słowo. Afrykański, powiadasz? Tyś mu dał to nazwisko?

— Na imię mu jest Scypio Afrykański. Ale to człowiek łagodny jak baranek i może pan kapitan wołać na niego, jak się panu podoba, na pewno się nie obrazi. Tylko lepiej go nie wołać, jak się chce czegoś napić po służbie. Wtedy nie dosłyszysz.

Scypio nic nie mówił, wielkimi czarnymi oczami patrzył na boki, unikając spojrzenia straszego kapitana. Był bardzo zadowolony, że Fid całą rozmowę wziął na siebie.

— Zdaje się, że od, dawna pływacie razem? — spytał Korsarz.

— Od dwudziestu czterech lat. Zawsze z panem Harry'm.

— Tyle czasu! Nic więc dziwnego, że tak mężnie broniliście jego życia.

— Murzyn w ogóle mało się odzywa, a ja widziałem, że zwykła mowa na niewiele się przyda. Więc przemówiliśmy do tych gałganów tak, aby od razu zrozumieli, o co nam chodzi. Dlatego obaj waliliśmy w łeb, żeby im poszło prosto do rozumu.

Korsarz uśmiechnął się. Wyjął z kieszeni garść złota i podał Murzynowi, który stał bliżej.

— Nigdy nie zapomnę przysługi, jaką mi oddaliście. Podzielcie się tym sprawiedliwie:

Scypio cofnął rękę.

— Niech pan kapitan da to panu Harry'emu — powiedział.

— Pan Harry nie potrzebuje złota.

— Mnie też nie trzeba.

Fid uznał, że należy się wtrącić.

— Niech się pan kapitan na niego nie gniewa. — Wyciągnął rękę, wziął złoto, schował do kieszeni.

— Scypio pochodzi z kraju, gdzie nie uczą, jak się należy zachować. Dziękuję w jego i moim własnym imieniu. Na pewno jest tak wdzięczny, jakby mu pan dał dwa razy tyle. Ukłoń się, chłopcze, nie rób mi wstydu. Skoro już, nie chwaląc się, dzięki mojej przytomności umysłu to drobne nieporozumienie mamy za sobą, pozwoli pan, panie kapitanie, że się oddalę, bo zostawiłem na rei krawca i chciałbym go teraz zdjąć. Inaczej zostanie tam do dnia Sądu Ostatecznego.

Korsarz skinął głową na znak zgody. Nadszedł Wilder. Korsarz z uśmiechem powtórzył mu w paru słowach rozmowę z Fidem i kazał odwołać alarm bojowy na statku.

Po chwili wszystko wróciło do normalnego stanu. Kapitan zdał służbę oficerowi wachtowemu i zszedł z pokładu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Przez cały dzień Korsarz nie pokazał się na pokładzie. Chciał w ten sposób dać załodze do zrozumienia, że sprawa została ostatecznie załatwiona i nie obawia się żadnych objawów nieposłuszeństwa. Jego pewność siebie podziałała na wszystkich tak, jak sobie tego życzył. Wiedzieli, że kapitan wie o każdym uchybieniu, że niczego nie da się przed nim ukryć, mieli wrażenie, że niewidzialne oko patrzy na każdy ich najbardziej nawet skryty ruch i każde, choćby wypowiedziane szeptem, słowo dochodzi do jego uszu. Korsarz miał żelazną rękę, gdy szło o utrzymanie w ryzach ludzi, którzy nie znali prawa ani żadnych zasad moralnych, umiał być jednak pobłażliwy, gdyż wiedział, że zbyt surowa dyscyplina mogłaby stać się ciężarem nie do zniesienia.

Nic więc dziwnego, że reszta dnia, który zaczął się tak burzliwie, minęła spokojnie i żadnych niespodzianek nie trzeba się było obawiać.

Dopiero gdy zaciągnięto nocną wachtę, Korsarz zjawił się na rufie.

Prąd Zatokowy zniósł statek daleko na północ. Dawno zniknęła błękitna smuga lądu na horyzoncie. Cisza zaległa morze, nie wiał najlżejszy nawet wietrzyk, zwinięto więc żagle i w zmierzchu wieczornym wznosiły się nad pokładem nagie maszty, zupełnie jakby statek spoczywał na uwięzi kotwic. Wachta drzemała na pokładzie. Jedni położyli się między działami, inni znaleźli sobie wygodniejsze miejsca. Tu i ówdzie widać było oficerów. Oparci o burtę lub działo sennie kiwali głowami w takt leniwego kołysania fali.

Jeden tylko oficer czuwał z szeroko otwartymi oczami. Był to Wilder, któremu właśnie przypadła nocna wachta.

Przez dwie godziny Korsarz i jego pierwszy oficer nie zamienili ani słowa. Pograżeni w myślach, obaj nie zdradzali ochoty do rozmowy. Wreszcie Korsarz, który cały czas spacerował po pokładzie rufowym, przystanął, przyjrzał się uważnie Wilderowi stojącemu na dole i powiedział:

— Na rufie jest świeższe powietrze niż tam na dole. Niech pan tu przyjdzie.

Wilder usłuchał. Przez chwilę spacerowali w milczeniu.

— Mieliśmy dziś rano trochę kłopotów — odezwał się Korsarz. — Czy przeżył pan już kiedyś bunt na statku?

Mówił ściszym głosem.

— Tak — odparł Wilder.

— A! Wie pan już, czym to pachnie. W każdym razie proszą sobie nic nie robić z nieprzyjemności, jakie pana dziś spotkały ze strony paru nicponi. Znam ich na wylot, o czym sam pan się zaraz przekona.

— Przyznam się, że nie miałbym spokojnych snów, gdybym był kapitanem takiego statku i z takimi ludźmi. Wystarczy parę godzin zamętu, aby statek znalazł się w rękach marynarki wojennej, a pan...

— W rękach kata! A może i pan... — żywo przerwał mu Korsarz. — Kto widział w życiu wiele bitew, niczego już się nie boi. Ryzykowałem życiem tyle razy, że widok królewskiej bandery wcale mnie nie przeraża. A poza tym rzadko się pokazujemy w tych niebezpiecznych stronach. Najczęściej bywamy na wodach hiszpańskich, gdzie jest znacznie spokojniej.

— A jednak ośmielił się pan zjawić tutaj w chwili, gdy zwycięstwo odniesione nad Francuzami pozwala admirałowi angielskiej floty użyć znacznej siły przeciw panu.

— Miałem pewne powody po temu, dość osobistej natury. Może jestem nieostrożny, ale jak dotąd nic mi się nie stało. Widzi pan, znudziło mi się uganianie za ospałymi hiszpańskimi statkami i zapędzanie ich przybrzeżnych straży do portów. Lubię życie bardziej urozmaicone. W braku innych wrażeń nawet bunt własnej załogi jest rozrywką nie do pogardzenia.

— Mam nieco inne upodobania. Przypominam trochę chłopca ze wsi, który boi się ciemnej nocy. Wobec jawnego wroga nie brak mi odwagi. Ale spać na beczce prochu to rzecz niewygodna i mało mi odpowiada.

— Tylko z braku przyzwyczajenia. Niebezpieczeństwo jest zawsze to samo, jawne czy skryte... Nie dosłyszałem. Czy to wybiła jedenasta czy dwunasta godzina?

— Jedenasta. Ludzie śpią. Gdyby była dwunasta, sami by się obudzili na zmianę wachty.

— To dobrze. Lubię niepewne sytuacje. Zmuszają do myślenia i pobudzają energię, rozwijają charakter. Wolę wiatry przeciwne niż pomyślne.

— Ale pańskie zajęcie...

— I pańskie!

— Nasze zajęcie, można powiedzieć, skoro ja też zostałem korsarzem.

— To dopiero pierwsze kroki. Cieszę się, że pański wybór padł na mnie. Nie powiedział pan wtedy ani słowa za dużo, sądzę więc, że będzie pan pojętym uczniem.

— I myśli pan, że nie pożałuję tej decyzji?

— Nigdy nie wiadomo. Wszyscy mamy chwile słabości. Czasem wydaje nam się, że życie wygląda tak, jak w budujących powieściach. Brałem cię, przyjacielu, na wędkę, jak rybak pstrąga. Zdawałem sobie sprawę, że możesz mnie zdradzić. Jak dotąd dochowałeś mi wiary, choć pozwoliłeś sobie na kręctwa, przez które zwierzyzna mogła mi się wymknąć z sieci.

— Kiedy i jak to zrobiłem? Sam pan przyznał...

— Że „Karolinę” prowadził pan doskonale, a że poszła na dno, to już jest wola nieba. Mam jednak na myśli zdobycz znacznie cenniejszą. Czyżby pan tak nie cierpiał kobiet, że naprawdę nie chciał, aby szlachetna dama i piękna dziewczyna, które teraz zamieszkały w mojej kajucie, miały przyjemność podróżować w pańskim towarzystwie?

— Czy to była zdrada, że chciałem uratować kobietę od zguby? Od tego na przykład, co mogło obie kobiety spotkać dziś rano. Naturalnie, jak długo pan ma władzę nad tym statkiem, jestem pewny, że nic im nie grozi, nawet tej pięknej, młodej.

— Na Boga! Widzę, że pan się poznał na mnie. Prędzej własną ręką podpaliłbym magazyn z prochem i wysłał tę niewinną lilię tam, skąd przybyła na ziemski padół, niż pozwolił ją skrzywdzić!

Wilder uwierzył w szczerłość zapewnień Korsarza, natomiast znacznie mniej mu się spodobało wrażenie, jakie na jego przelożonym zrobiła niepospolita uroda Gertrudy;

Zamilkli i przez chwilę obaj uparcie milczeli.

— Skąd pan wiedział, że chciałem im pomóc? — spytał wreszcie Wilder.

— Z tego, co słyszałem od pana. To było jasne jak słońce.

— Jasne? — zawołał zdumiony Wilder. — Widocznie wygadałem się nie zdając sobie z tego sprawy.

Korsarz uśmiechnął się. Wilder nie miał już wątpliwości, że wpadł w zastawione na niego sieci, i był zły na siebie że dał się wystrychnąć na dudka.

W milczeniu parę razy okrążyli pokład.

— Poddaję się — powiedział Wilder. — Mogę wielu rzeczy od pana się nauczyć, ale nigdy panu nie dorównam. Nie wiem, kim był ten stary marynarz w Newport, ale właściciel gospody „Pod Urwaną Kotwicą” na pewno jest na pańskich usługach.

— Zaczny Joe Joram! Przyzna pan, że niesie on pociechę każdemu marynarzowi, który jej potrzebuje. A jak się panu podobał pilot w Newport?

— Też pański agent?



— Och, to za dużo powiedziane. Ale czasem korzystam z jego usług. Nie ufam łotrom tego rodzaju. Cicho! Nic pan nie słyszał?

— Zdaje się, że lina wpadła w wodę.

— Na pewno. Zaraz pan zobaczy, jak czuwam nad tymi niespokojnymi duchami.

Tak urwała się rozmowa, po której Wilder wiele sobie obiecywał. Korsarz na palcach podszedł do burty, przechylił się i przez chwilę wpatrywał w czarną powierzchnię morza. Wilder stanął obok niego. Usłyszał szmer lin poruszających się w powietrzu. Ktoś ostrożnie wspinał się po linie w górę. Gdy dotarł do nadburcia, zatrzymał się i zadarł głowę. Widocznie chciał sprawdzić, czy jedna z postaci przechylonych przez burtę jest tą, której szuka.

— Czy to ty, Davis? — szeptem spytał Korsarz, kładąc Wilderowi rękę na ramieniu na znak, że może zostać. — Nikt cię nie widział, ani nie słyszał?

— Nie ma obawy, panie kapitanie. Wachta śpi jak zabita.

— To dobrze. Co tam nowego?

— Może pan kapitan posłać ich do kościoła i największe zabijaki pójdą z książeczkami do nabożeństwa pod pachą. Łagodni jak baranki.

— To znaczy, że nastrój się poprawił.

— Jestem tego pewny, panie kapitanie. Paru jeszcze się szarpie, ale jeden drugiemu nie ufa. Boją się pana kapitana jak ognia i wiedzą, co im grozi, gdyby spisek się wydał, więc siedzą cicho.

— Tacy są prowodyrzy — powiedział Korsarz trochę głośniej, żeby Wilder mógł usłyszeć. — Brak im poczucia honoru i wzajemnie sobie nie wierzą. A jak przyjęli moją pobłażliwość? Czy dobrze zrobiłem, czy też trzeba ich jutro ukarać?

— Lepiej do tego nie wracać, panie kapitanie. Wiedzą, że ma pan dobrą pamięć, i była o tym mowa. Uważają, że trzeba się pilnować, bo niebezpiecznie byłoby jeszcze raz się panu narazić. Bosman szef trochę się boczy, jak zwykle. Nie może zapomnieć, że oberwał od Murzyna.

— Stale mam z nim kłopoty. Kiedyś trzeba będzie nauczyć go rozumu.

— Najlepiej byłoby dać mu jakąś podrzędną funkcję. Ma zły wpływ na załogę.

— No dobrze — przerwał mu Korsarz, lekko zniecierpliwiony. Zapewne nie chciał, by Wilder za dużo się dowiedział. — Pomyślę o nim. A tobie, przyjacielu, powiedziałbym, żeś trochę za dobrze odegrał swą rolę dziś rano.

— Pan kapitan sam dał hasło do zabawy.. Nie widzę nic złego w tym, że trochę polaliśmy wodą żołnierzy.

— Tak, ale tyś, bratku, nie przestał, mimo że oficer zajął wyraźne stanowisko. W przyszłości uważaj, abyś nie przejął się zbyt swą rolą i żeby z teatru nie zrobiła się rzeźnia.

— Tak jest, będę uważał. Korsarz dał mu parę sztuk złota..

— Możesz iść spać — powiedział. — Tylko tak, żeby cię nikt nie widział.

Marynarz zniknął. Korsarz rozejrzał się, czy nikt ich nie śledził. Znow zaczęli spacerować we dwójkę. Po długiej chwili Korsarz pierwszy przerwał milczenie.

— Dobre uszy są na takim statku równie potrzebne, jak męzne serce. Jeśli załoga będzie za dużo wiedziała, rozstaniemy się z tym światem. — Uprawiamy bardzo niebezpieczne rzemiosło — zauważył Wilder.

Korsarz długo nie odpowiadał.

— Życie dla pana dopiero się zaczęło — powiedział łagodnie, niemal ojcowskim tonem. — Jeszcze nie jest za późno, jeszcze ma pan wolną drogę przed sobą. Do tej chwili nie popełnił pan żadnego przestępstwa. Wystarczy jedno pańskie słowo, a rozstaniemy się na zawsze. Dowody, że pan wstąpił na służbę u mnie, można zatrzeć bez trudu. Jutro przed zachodem słońca może pan być na lądzie.

— Wraz z panem. Jeśli służba na tym statku nic dobrego mi nie wróży, pańska sytuacja jest jeszcze gorsza.

— Do czego pan zmierza? Proszę się nie krępować. Mówi pan z przyjacielem.

— Powiem otwarcie. Możemy spuścić tę łódź na wodę i pod osłoną ciemności odpłynąć tak daleko, że ślad po nas zaginie, zanim na statku zauważą naszą nieobecność.

— W jaką stronę by pan sterował?

— Do brzegów Ameryki. Na wielkim kontynencie bez żadnej trudności znajdziemy bezpieczne schronienie.

— Wyobraża pan sobie, że człowiek, który tak długo żył jak książę wśród posłusznych mu ludzi, mógłby stać się żebrakiem wśród obcych?

— Ale ma pan złoto. Czyż nie jesteśmy panami tego statku? Nikt nie ośmielił się nas śledzić. Przed północą będziemy daleko!

— A sam by pan nie uciekł?

— Nie... nie bardzo... to znaczy... uważam, że nie wolno nam zostawić kobiet na łasce tych dzikusów.

— A wolno nam zostawić tych dzikusów, którzy obdarzyli nas zaufaniem? Nie, mój panie, byłbym ostatnim łotrem, gdybym przyjął pańską propozycję! Jestem w oczach świata zbrodniarzem, ale nie potrafię zdradzić ludzi, którzy mi zaufali. Może przyjdzie czas, kiedy wszyscy się rozstaniemy, lecz

nastąpi to jawnie, dobrowolnie, po męsku. Nie wie pan pewnie, co mnie sprowadziło na ląd, kiedy spotkaliśmy się w Bostonie.

— Nie wiem.

— To niech pan posłucha. Jeden z moich chłopców wpadł w ręce sług sprawiedliwości. Trzeba go było ratować. Nie cieszył się moją sympatią, ale był po swoim uczciwy. Tylko ja mogłem mu pomóc. Złoto i adwokacki spryt zrobiły swoje. Jest teraz tutaj i wychwala swego kapitana. Gdyby mi się noga powinęła, głową przypląciłbym tę wyprawę. I miałbym teraz zawieść ich zaufanie, zdobyte z narażeniem życia?

— Straciłby pan zaufanie łotrów, odzyskał dobre imię w oczach uczciwych ludzi.

— Nie wiem. Nie zna pan życia, jeśli pan nie słyszał, że ludzie często zdobywają sławę dzięki nikczemnym postępkom. A poza tym nie miałbym ochoty żyć jako mieszkaniec zależnej kolonii.

— Może urodził się pan w Anglii?

— Pochodzę z tego samego kraju co pan. Widział pan moje bandery. Jednej wśród nich brakowało. Gdyby istniał sztandar, o którym myślę, broniłbym go do ostatniej kropli krwi.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Gdyby pan i inni nasi rodacy zrozumieli, że naszą ojczyzną jest Ameryka, bandera, o której mówiłem, powiewałaby dumnie na wszystkich morzach świata. A mieszkańcy naszej ziemi ojczystej nie byłiby poddanymi obcego króla.

— Nie będę udawał, że nie rozumiem, o co panu chodzi. Spotkałem już takich, co przepowiadali, że nadejdzie chwila, o której pan marzy.

— Nie trzeba tu żadnych przepowiedni. To musi nastąpić. Gdyby istniała amerykańska bandera, nikt by nie słyszał o Czerwonym Korsarzu.

— Droga do służby królowi jest dla każdego otwarta.

— Można służyć królowi, to prawda. Ale być poddanym jego poddanych, to już dla mnie za wiele. Wychowałem się od dziecka na jednym z królewskich statków. Ileż razy dawano mi odczuć, że ocean dzieli mój kraj od podnóżka królewskiego tronu. Czy pan uwierzy? Jeden z moich dowódców mówiąc o Ameryce użył ordynarnego słowa, którego nie powtórzę, by nie obrazić pańskich uszu.

— Mam nadzieję, że dał pan temu łajdakowi nauczkę.

— Nigdy nie powtórzył obelgi. Drogo za nią zapłacił.

— Wyzwał go pan i los był łaskawy dla znieważonego?

— Tak, mój panie. Ale śmiałem podnieść rękę na mieszkańca błogosławionej wyspy. Król nie miał

dla mnie litości, a potem musiał tego pożałować. Dosyć na dziś. Kiedy indziej może powiem panu więcej. Dobranoc.

Korsarz odszedł. Wilder został sam. Czas włókł się nieznośnie. Do rana było daleko.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Na statku nie wszyscy spali. W kajucie Korsarza paliło się światło. Oddał ją paniom zaraz po ich uratowaniu przez załogę „Delfina”.

Przeniesiemy teraz akcję do tej kajuty, opisaney w jednym z pierwszych rozdziałów naszej powieści, i dowiemy się, co robiły panie, kiedy Korsarz rozmawiał na pokładzie z Wilderem.

Siedziały w świetle zwisającej z sufitu srebrnej lampy. Na kanapie w głębi spała Kasandra.

— Powtarzam — mówiła Gertruda — że nasza kajuta jest urządzona z przepychem niespotykanym na statkach.

— I jaki stąd wniosek?

— Nie wiem. Chciałabym już być w domu ojca.

— Dałby Bóg! Wiesz, Gertrudo, że to, cośmy dziś widziały, nasunęło mi straszne podejrzenia.

Gertruda zbladła i spojrzała na panią Wyllys szeroko otwartymi oczami.

— Znam zwyczaje panujące na okrętach wojennych — ciągnęła guwernantka — ale tego, co się dzieje na tym statku, w życiu nie widziałam.

— Co pani podejrzewa? I dlaczego pani tak dziwnie na mnie patrzy?

— Tak, powiem ci. Lepiej, żebyś wiedziała, co nam grozi, i była przygotowana na wszystko. Nie mam zaufania ani do tego statku, ani do nikogo z oficerów i załogi.

— Do nikogo! — zawołała Gertruda lękliwie rozglądając się wokół.

— Tak, do nikogo.

— Wśród marynarzy królewskiej floty mogą się znaleźć ludzie źli i podli. Ale chyba boją się kary, jaka by ich spotkała, gdyby zrobili nam coś złego.

— Obawiam się, że ci ludzie nie uznają żadnych praw i żadnej władzy poza statkiem.

— W ten sposób staliby się piratami!

— To są piraci.

— Jak to? Wszyscy?

— Wszyscy.

— Ależ, moja droga, jeden z nich na pewno jest niewinny. Przybył tu z nami i chyba zasłużył na nasze zaufanie.

— Nie wiem. Są różne rodzaje podłości. Gertruda utkwiała wzrok w podłódze.

— Znamy pana Wildera — powiedziała cichym głosem — i myślę, że niesłusznie go pani posądza.

— Możliwe, ale musimy być przygotowane na najgorsze. Opanuj się, kochanie. Ktoś idzie, to pewnie nasz służący. Może od niego czegoś się dowiemy.

Pani Wyllys przybrała spokojną minę, która mogła zwieść nawet osobę znacznie bardziej doświadczoną niż usługujący im chłopiec. Gertruda zasłoniła twarz ręką.

Wszedł Roderick.

— Moje dziecko — powiedziała guwernantka. — Widzę, że oczy ci się kleją. Pewnie od niedawna służysz na statku.

— Od tak dawna, że nie chce mi się spać, kiedy mam nocną służbę — odparł chłopiec.

— W twoim wieku powinieneś być raczej pod opieką matki niż bosmana. Ile masz lat?

— Nie jestem wcale taki młody. Za miesiąc kończę dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia? Żarty sobie ze mnie stroisz, mały gałganie!

— Czy powiedziałem: dwadzieścia? Żeby prawdę powiedzieć, mam piętnaście.

— W to mogę uwierzyć. A ile lat spędziłeś na morzu?

— Dwa, prawdę mówiąc. Czasem zdaje mi się, że to dziesięć lat, a czasem, że jeden dzień.

— A jak ci się podoba wojna?

— Jaka wojna?

— Czy nie dość jasno się wyraziłam? Służysz na okręcie wojennym, w czasie wojny.

— Czy braliście udział w jakiejś bitwie na morzu?

— Na tym statku?

— No pewnie. Służyłeś na innym?

— Nigdy.

— No to nie będziemy mówić o innych statkach. Czy dostajecie duże udziały w łupach?

— Bardzo duże.

— Wobec tego jesteś pewnie przywiązany do statku i jego kapitana.

— Tak, proszą pani. Są wśród nas tacy, co lubią statek i kapitana. — A czy masz matkę lub kogoś bliskiego, z kim dzielisz się swoimi zarobkami?

— Czy mam...

Urwał. Pani Wyllys gwałtownie odwróciła się do niego i zajrzała mu w oczy. Malowało się w nich zdumienie.

— Powiedz mi, Roderick, o życiu, jakie wiesz na tym statku. Czy jest wesołe?

— Nie, smutne.

— To dziwne. Chłopcy na statkach są zawsze bardzo weseli. Może kapitan źle się z tobą obchodzi?

Roderick nie odpowiedział.

— A więc miałam rację.

— Myli się pani. Kapitan nigdy nie powiedział mi złego słowa.

— Widocznie to dobry i miły człowiek. Jesteś szczęśliwy.

— Ja... szczęśliwy?

— To jasne.

— A, tak. Wszyscy na tym statku są szczęśliwi.

— To dobrze. Często zawijacie do portów?

— Gdybym miał przyjaciół na statku, to by mnie porty nie obchodziły. — Nie masz przyjaciół? A pan Wilder?

— Mało go znam. Po raz pierwszy spotkałem go w Newport.

— W Newport?

— Tak. Zaniósłem mu rozkaz, żeby objął dowództwo „Karoliny”. Przystał do nas poprzedniego dnia wieczorem.

— Aha. To rzeczywiście niedługo się z nim znasz. Ale kapitan musiał dużo o nim wiedzieć?

— Tak się mówi na statku. Ale... Zawahał się.

— Chciałeś coś powiedzieć?

— Nikt nie śmie zapytać kapitana. Nawet mnie nie wolno.

— A jak ci się zdaje, czy nam też by nie odpowiedział, gdybyśmy zapytały o jego zamiary?

Roderick spojrział na Gertrudę.

— Ta pani jest piękna — powiedział — ale niech nie liczy na swoją urodę. Żadna kobieta, nawet najpiękniejsza, z nim sobie nie poradzi.

— Czy jest bez serca?

— Proszę pani! W ciągu dwóch lat widziałem takie rzeczy, jakich inni nie zobaczą przez całe życie. Uciekajcie z tego statku, uciekajcie jak najprędzej!

— Boję się, że na to już za późno. Ale powiedz nam coś więcej o tym statku.

Chłopiec potrząsnął głową, oczy wbił w podłogę. Widać było, że nic więcej nie powie.

— Jak to się dzieje, że „Delfin” co dzień zmienia banderę? — Gdyby tylko o to chodziło, bylibyśmy szczęśliwi.

— A więc nie jesteś szczęśliwy! Czy chcesz, bym pomówiła z kapitanem Heideggerem i poprosiła, żeby cię zwolnił?

— Nie chcę służyć nikomu innemu.

— Jak to? Skarżysz się i chcesz zostać w kajdanach?

— Ja się nie skarżę.

— Powiedz mi, czy takie zamieszki jak dziś często zdarzają się na tym statku?

— Nie. Tego proszę się nie obawiać: Kapitan krótko ich trzyma.

— Ale odważyli się porwać na życie pana Wildera. Czy na królewskim okręcie wojennym marynarze mogą sobie pozwolić na taką zbrodnię?

Spojrział na nią wymownie, jakby chciał powiedzieć: „Nie udawaj, że nie wiesz”. Ale nie odezwał się.

— Czy sądzisz, że Kor..., że kapitan Heidegger — spytała guwernantka — pozwoli nam wysiąść w najbliższym porcie?

— Od czasu, jak panie znalazły się na statku, minęliśmy wiele portów.

— Widocznie były niedogodne. Ale jak się trafi dobry port?

— Dla nas dobre porty rzadko się trafiają.

— Przypuśćmy, że się znajdzie taki port. Czy wtedy pozwoli nam wysiąść? Możemy opłacić go złotem.

— On nie dba o złoto. Ilekroć go poproszę, daje mi złoto całymi garściami. Ale oddałbym wszystkie skarby świata za jedno jego dobre spojrzenie.

Po policzkach chłopca potoczyły się łzy.

— Roderick, czy ty masz matkę? — spytała pani Wyllys.

— Nie wiem — odparł cicho.

— Dosyć. Odtąd będzie nam usługiwała Kasandra. Gdybyś był nam potrzebny, uderzę w gong.

Roderick wyszedł ze spuszczoną głową. Pani Wyllys spojrzała na Gertrudę, która zawzięcie milczała. Ktoś cicho zapukał do drzwi. Zanim zdążyły zebrać myśli, do kajuty wszedł Korsarz.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Obie panie chłodno przyjęły Korsarza. Wszedł z poważną, jakby zamyśloną miną, stanął w kręgu światła lampy, ukłonił się i mruknął coś pod nosem, czego nie zrozumiały. Był tak roztargniony, że chciał zwalić się na wolną kanapę, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie jest sam. Uśmiechnął się, złożył paniom głęboki ukłon i podszedł do stołu.

— Przepraszam, że przyszedłem bez uprzedzenia i może nie w porę — powiedział miłym i bardzo uprzejmym tonem. — Ale gdybym tego nie zrobił, nie mógłbym zasnąć — spokojnie. Były panie dziś rano świadkami gorszących zająć. Przyszedłem więc zapewnić, że porządek i spokój zostały przywrócone, a cała załoga śpi teraz w hamakach, niczym dzieci w kołyskach.

— Cieszy nas bardzo — odparła pani Wyllys — że mamy tak. przezornego i szlachetnego opiekuna.

— Nie spotka pań zawód. W każdym razie buntu załogi mogą panie już się nie obawiać.

— Myślę, że nic innego też nam nie grozi.

Pani Wyllys wskazała mu krzesło. Ukłonił się i usiadł.

— Na morzu nigdy nic nie wiadomo — odparł. — Ale w tej chwili. żywioły śpią podobnie jak moje baranki w hamakach.

— Bardzo nas cieszy ta wiadomość.



— A pani młoda i urocza przyjaciółka — mówił do pani Wyllys, ale patrzył na Gertrudę — nie będzie miała niespokojnych snów po tym, co dzisiaj widziała?

— Niewinne istoty zawsze śpią dobrze.

— Tak, a złym ludziom wyrzuty sumienia spędzają sen z powiek. Żyjemy, niestety, w takich czasach, że nikomu nie można wierzyć.

Zamilkł. Rozglądał się wokół błędnym wzrokiem, jakby mu się zmysły pomieszały. Pani Wyllys mimo woli przysunęła się do Gertrudy, aby zasłonić ją przed atakiem szaleńca. Ale Korsarz siedział spokojnie, pogrążony w zamyśleniu. Po długiej chwili pani Wyllys uznała za stosowne przerwać kłopotliwe milczenie.

Przyjrzała się dobrze twarzy Korsarza, Poznała, że jest to kapitan statku niewolniczego z którym Wilder zamienił parę słów, gdy wypływali z portu. Wiele jej to wyjaśniło, ale wciąż jeszcze rozumiała mniej niż czytelnik tej powieści. W każdym razie było już dla niej jasne, dlaczego Wilder mówił ogródkami o grożącym im niebezpieczeństwie — honor nie pozwalał mu zdradzić tajemnicy. Postanowiła teraz dowiedzieć się czegoś więcej.

— Wzruszyli mnie ci dwaj marynarze, którzy tak dzielnie stanęli w obronie pana Wildera — powiedziała.

— Nic w tym dziwnego. Znają go od dwudziestu czterech lat. Swoją drogą jestem bardzo ciekaw historii życia tego młodzieńca.

— To pan nic o nim nie wie? — żywo zapytała Gertruda. Korsarz odwrócił się do niej i zajrzał jej w oczy. Guwernantka niespokojnie poruszyła się na krześle.

— Serce ludzkie jest nieprzeniknione — odparł. — Możemy kogoś znać i nic o nim nie wiedzieć.

Zapadło milczenie. Przerwał je Korsarz.

— Czy chciałyby panie posłuchać muzyki?

Nie czekając odpowiedzi uderzył trzy razy w gong.

— Obudzi pan cały statek — powiedziała pani Wyllys.

— Proszę się o to nie obawiać. Marynarz śpi wśród huku dział, a budzi się na gwizdek bosmana. Gdybym uderzył w gong cztery razy, oznaczałoby to alarm pożarowy, ale trzy uderzenia nikogo nie ruszą. Jest to znak dla orkiestry. Noc mamy cichą, sprzyjającą muzykom, zaraz usłyszemy słodkie dźwięki ich instrumentów.

Ledwie skończył, rozległy się pierwsze akordy koncertu. Widocznie Korsarz, idąc z wizytą do pań, kazał swej orkiestrze czekać przed kajutą.

Uśmiechnął się, zadowolony, że ma taką magiczną władzę na statku, i usiadł na kanapie. Słuchał

smutnej, tęsknej muzyki ze schyloną głową, nie widać było jego twarzy, ale obu paniom zdawało się, że płacze.

Gertruda pomyślała sobie, że człowiek tak wrażliwy na muzykę nie może być z gruntu zły. Musiało się w jego życiu stać coś niedobrego, co sprowadziło go na manowce.

Gdy ucichły instrumenty, Korsarz wstał i podszedł do Gertrudy.

— Pani ma tak miły głos — powiedział. — Czy pani śpiewa?

— Nie, nie umiem śpiewać — odparła ledwie dosłyszalnym głosem.

Odwrócił się i lekko trącił dłonią gong.

Zjawił się Roderick.

— Roderick, spałeś? — spytał Korsarz.

— Nie.

— Ten chłopak ma głos, który potrafiłby zmiękczyć serce najbardziej zatwardziałego morskiego rozbójnika. No, mój drogi, siądź pod drzwiami i poproś muzyków o akompaniament.

Roderick usiadł w cieniu przy drzwiach i przy akompaniamencie orkiestry pięknym kontraltem zaśpiewał smutną pieśń.

— A teraz usłyszają panie pieśń marynarską.

Orkiestra zaczęła znów grać. Ku niemałemu zdumieniu pań Korsarz zaśpiewał marynarską wesołą piosenkę, chwilami może nazbyt swobodną jak na delikatne uszy słuchaczek. Głos miał pełny, barwny, melodyjny.

Gdy skończył, wstał, powiedział, że orkiestra będzie grać, jak długo panie zechcą, że życzy im dobrej nocy i miłych snów, po czym szybko wyszedł.

Choć przez cały czas zachowywał się nienagannie, a koncert był naprawdę, doskonały, obie panie odetchnęły z ulgą, gdy Korsarz wyszedł. Szmer koło drzwi przypomniał im, że nie są same.

— Czy chciałyby panie posłuchać jeszcze muzyki? — spytał Roderick wychodząc z cienia. — Zaśpiewam paniom do snu.

— Roderick — powiedziała pani Wyllys. — Myślałam, że już cię dzisiaj nie zobaczymy.

— Słyszała pani gong. On potrafi być wesoły, ale w gniewie jest straszny.

— Także dla ciebie?

— Nie, ale bardzo się go boję.

— Czy często wpada w gniew?

— Nie, stara się panować nad sobą. Ale ostatnio bardzo się zmienił. Coś go gnębi, zrobił się ponury.

— Idź spać, chłopcze.

Obie panie przeszły do sypialni. Na statku było cicho, tylko zegar wydzwaniał godziny.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

„Delfina” tej nocy można by porównać do pogrążonego we śnie drapieżnego ptaka. O wschodzie słońca wiatr się wzmógł i statek przebudził się ze snu. Przez cały dzień pod pełnymi żaglami płynął na południe. Noc nie przyniosła żadnych zmian. Następnego dnia z morza zaczęły się wynurzać, jedna po drugiej, błękitne wyspy.

Kobiety, więzione na statku przez Korsarza (nie miały już wątpliwości, że tak jest), spoglądały w milczeniu na szybko przesuwane się przed ich oczami zielone wzgórza, nagie skały i piaszczyste brzegi wysp.

O nic się Korsarza nie pytały i ani słowem nie zdradziły, że wiedzą, jak daleko się znalazły od Karoliny. Gertruda popłakiwała. Ojciec, gdy się dowie o katastrofie statku, na którym płynęła, będzie opłakiwał jej śmierć. Bardzo ją to gnębiło, ale poza panią Wyllys nikt na statku nie widział jej łez. Unikała Wildera, który, podobnie jak Korsarz, trzymał się od obu pań z daleka, obaj bowiem zauważyli, że nie są mile widziani. Stosunki były poprawne, ale chłodne. Zarówno Korsarz, jak i jego pierwszy oficer nie rozmawiali z paniami więcej, niż wymagała tego zwykła uprzejmość.

W ciągu paru dni spotkali około stu statków. Przezornie minęli je w przyzwoitej odległości. Korsarz przeprowadził „Delfina” przez jedną z cieśnin, tak licznych wśród wysp należących do archipelagu Antyli, i wypłynęli na otwarty ocean.

Antyle były bardzo niebezpieczne dla pirackiego statku, gdyż kręciło się tam wiele okrętów wojennych. Gdy więc znaleźli się na oceanie, cała załoga odetchnęła z ulgą. Rozchmurzyło się też czoło kapitana. Na statku znów zapanował nastrój beztroskiej radości. Skrócono żagle, „Delfin” leniwie unosił się na fali.

Kiedy kluczyli wśród wysp, pani Wyllys spodziewała się, że Korsarz skorzysta z okazji i wysadzi je na ląd w jakimś bezpiecznym miejscu. Uważała go za człowieka niepozbawionego sumienia, a nawet szlachetnych odruchów serca. Ale gdy ostatnia wyspa zniknęła na horyzoncie, musiała się pogodzić z tym, że jej nadzieje były płonne. Od paru dni nie rozmawiała z Korsarzem. Teraz pierwsza się do niego odezwała.

— Miałam nadzieję, że nie sprawi panu trudności wysadzić nas na którejś z angielskich wysp. Przykro mi, że tak długo korzystamy z pańskiej kajuty, co na pewno naraża pana na niewygodę.

— Wprost przeciwnie. Sprawia mi to wielką przyjemność — odparł. Nie uszło uwagi pani Wyllys, że w głosie Korsarza zabrzmiała nuta źle ukrytej ironii.

— Gdyby zwyczaj nie wymagał, aby każdy statek płynął pod banderą jakiegoś kraju, rozwinąłbym sztandar na cześć pięknych kobiet.

Nie ulegało już wątpliwości, że Korsarz kpi sobie z niej w żywe oczy.

— Już od piętnastu dni — odparła pani Wyllys — nadużywam pańskiej gościnności i nie widziałam nad głową żadnej bandery.

— Och! — zawołał Korsarz. — No to szesnastego dnia pani zobaczy! Kto tam?

— Ryszard Fid w swej własnej osobie.

Fid wsadził głowę do skrzyni, jakby czegoś w niej szukał. Teraz wyprostował się i dodał:

— Jestem, jak zawsze, na rozkazy pana kapitana!

— A, to przyjaciel naszego przyjaciela — powiedział Korsarz do pani Wyllys. — Chodź no tu, przyjacielu. Pogadamy.

Fid szybko podszedł.

— Jak tam śpi się w hamaku? — spytał kapitan.

— Nie narzekam. Zdrowo się śpi.

— A nasza podróż podoba ci się?

— Widzi pan, panie kapitanie, za dużo do szkół nie chodziłem, bo bardzo młodo poszedłem w świat. I dlatego jako człowiek niezbyt oświecony zdaję się na rozum kapitana. Kurs statku to jego sprawa.

— Ale ma pan swoje upodobania — wtrąciła pani Wyllys w nadziei, że dowie się czegoś o Wilderze.

— Swoje upodobania mam, to jasne, łaskawa pani — odrzekł Fid z ukłonem, który nie najzgrabniej mu wypadł. — Miałem też jedno umiłowanie, ale okrutny zawód mnie spotkał. Zdawało mi się, że z Mary Blake połączył mnie taki węzeł, którego żaden huragan nie zerwie. Ale prawo się w to wdało i moje szczęście poszło na dno, a ona została niepoczyszona, z jednym tylko chłopem przy sobie.

— Okazało się, żerna drugiego męża? — spytał domyślny Korsarz.

— Czterech, panie kapitanie. Dziewczę lubiło towarzystwo i widok pustego domu smucił jej serce. Wszyscy byliśmy marynarzami, na różnych statkach, i nigdy razem nie zawijaliśmy do portu. Jak się sprawa wydała, ludzie narobili hałasu. Nie tyle zresztą ludzie, co baby. Przez zwykłą zazdrość. Jakby każda miała tyłu mężów co moja Mary, toby siedziała cicho. A tak, po sądach ją włóczyli i życie

dziewczynnie zatruli.

— I zrażony tym niepowodzeniem już się potem nie żeniłeś?

— Potem, tak pan kapitan powiedział? — odparł Fid rzucając Korsarzowi spojrzenie, w którym przedziwnie mieszał się spryt ze szczerością. — Dobrze pan powiedział. Potem, bo była wtedy mowa o jeszcze jednym supełku, jakim związałem się z inną niewiastą. Ale wysoki sąd uznał, że można zlekceważyć to, co mnie łączyło z biedną Mary, gdyż nie ja pierwszy stanąłem z nią na ślubnym kobiercu, wobec czego wyszedłem z trybunału czysty jak łąza.

— Wszystko to zdarzyło się po zawarciu znajomości z panem Wilderem?

— Nie, mój władco. Przed. Kiedy byłem całkiem młody. Z panem Harry'm trzymam się od dwudziestu czterech lat, to znaczy w maju przyszłego roku będzie tyle.

— A więc poznali się panowie prawie ćwierć wieku temu? — wtrąciła pani Wyllys.

— Poznali się? Moja pani, on wtedy jeszcze nie umiał się przedstawić.

— Spotkanie dwóch sławnych marynarzy musiało być ciekawym wydarzeniem — ciągnął go Korsarz za język.

— Jeśli państwo są ciekawi, mogę opowiedzieć, jak to było. Szkoda, żeście od razu nie powiedzieli, o co chodzi.

— Ano, posłuchamy — oświadczył Korsarz i dał znak pani Wyllys, by poszła za nim.

Stanęli na rufie, w miejscu, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć.

— Słuchamy — zachęcił Fida Korsarz.

Fid chrząknął, splunął, wetknął w usta sporą porcję tytoniu. Pani Wyllys usiadła na miejscu wskazanym jej przez Korsarza.

— Ojciec wcześniej wysłał mnie na morze — zaczął Fid. — Był to człowiek, który, podobnie jak ja, więcej czasu spędzał na wodzie niż na lądzie. Co prawda jako rybak zawsze trzymał się blisko brzegu, ale lepsze to, aniżeli być zwyczajnym szcurem lądowym. Tak czy inaczej, ja od razu puściłem się daleko, bo w pierwszej mojej morskiej podróży opłynąłem przylądek Horn, a trzeba pamiętać, że miałem wtedy zaledwie osiem lat... — Osiem lat! Chce nam pan opowiedzieć całe swoje życie — przerwała mu, trochę niecierpliwie, pani Wyllys.

— Jasna rzecz, czcigodna pani. Dojedziemy pomału do osób wyżej ode mnie urodzonych. Ale wszystko musi mieć swój początek. Dobrze zacząłem. Zdawało mi się, że łaskawa pani nie zechciałaby posłuchać o moim ojcu i matce, skróciłem więc historię i zacząłem od ósmego roku mojego żywota, pomijając wiele ważnych szczegółów, i ani słowem nie wspomniałem o moich własnych narodzinach. Czyta pani pewnie powieści i wie, że każdy przyzwoity autor najpierw opisuje życie rodziców i trzeba dobrze się rozczytać, by dojść do przyjscia na świat bohatera

opowiadania. A ja od razu przystąpiłem do rzeczy właściwej,

— No dobrze Słuchamy — powiedziała z lekkim westchnieniem pani Wyllys.

— Na czym tośmy stanęli, gdy mi pani przerwała? Aha. Ze mną jest jak ze statkiem. Nabierze wiatru, to leci jak strzała. Ale jak siądzie na mieliźnie, ciężko się trzeba napracować, żeby go ruszyć z miejsca. Jeśli więc mamy gładko wypłynąć na pełne morze, musimy jeszcze raz nabrać rozpędu. Zacząłem od ojca, lepiej nie można było. Powiedziałem o przyładku Horn? Bardzo dobrze. Teraz pójdzie jak z płatka. Przez cztery lata pływaliśmy po mało znanych morzach, których, żeby prawdę powiedzieć, do dziś dnia nikt dobrze nie zna. Potem całą wojnę przesłużyłem w królewskiej flocie. Zaszczytą to była służba. Potem spotkałem Afrykańskiego. To jest Murzyn, widzi go pani przy robocie, tam na rei.

— No dobrze. Doszliśmy do Murzyna — wtrącił Korsarz.

— Właśnie. Zawarłem znajomość z Afrykańskim. Choć to Murzyn, czarny jak smoła, nie znam, jeśli nie liczyć pana Harry'ego przyzwoitszego człowieka niż ten czarnuch. Nie będę ukrywał, że jest uparty jak kozioł, uważa się za największego siłacza na świecie i za najlepszego pod słońcem marynarza. No, ale trudno za wiele wymagać od Murzyna.

— Zgoda — przyznał kapitan. — Co dalej?

— Pan kapitan to rozumie. Od razu poznać wykształconego człowieka. Kto kończył szkoły, może zostać bosmanem, choćby był kiepskim marynarzem. Wracając do rzeczy, trzymaliśmy się razem, to znaczy ja i Afrykański, i jeśli można zbratać się z czarnym, byliśmy przyjaciółmi. Tak minęło pięć lat. Widzicie państwo, jak ten czas leci. No i rozbił się nasz statek niedaleko Indii Zachodnich.

— Jaki statek? — spytał Korsarz.

— Bardzo pana przepraszam, panie kapitanie. Przecież nie rozbiję statku, zanim powiem jak i co.

Okazało się, że „jak i co” to bardzo długa historia. Ale w końcu Fid doznał katastrofy.

— Płyniemy więc na tej „Prozerpinie”, ja i Afrykański, i między wyspami a hiszpańskim lądem spotykamy statek przemytniczy. Nasz kapitan zatrzymał ten stateczek i kazał mu dopłynąć do portu. Część naszej załogi przeszła na pokład aresztowanego statku, żeby dopilnować wykonania rozkazu. Chyba dobrze zrobił nasz kapitan, był to człowiek na ogół rozsądny. Dość powiedzieć, że ja i Afrykański też mieliśmy pilnować. Na jakieś dwa dni przed portem przydybał nas straszny huragan i stateczek poszedł na dno. Zanim jednak wyzionął ducha, przewrócił swe cielsko na bok, nic więc dziwnego, że nasz bosman i trzech marynarzy wlecieli do wody. Ja tam też byłem. Wszyscy spoczęli na dnie morza, bom nigdy o nich więcej nie słyszał. Tylko ja wyszedłem cało. Mam to do zawdzięczenia Afrykańskiemu. Przez wiele lat dzieliliśmy razem głód i pragnienie. Wtedy po raz pierwszy podał mi rękę. Gdyby nie on, napiłbym się, jak ryba, słonej wody.

— Uratował ci życie?

— Tego bym nie powiedział. Może jakimś cudem sam bym się wydostał. Ale że mi pomógł, to fakt.

Mówię więc, że zawdzięczam mu życie, niech się czarnuch cieszy. Może kiedyś ureguluję ten rachunek. Jak dotąd, nie miałem sposobności. Krótko mówiąc, udało nam się spuścić szalupę na wodę. Zabraliśmy trochę żywności, tyle żeby dusza jakoś trzymała się swej cielesnej powłoki. Jak nam było w tej szalupie przez dziesięć dni, nie będę pani dobrodziejce opowiadał, bo pani poznała to na własnej skórze i jeszcze nie zdążyła zapomnieć. Powiem tylko, że gdyby nie tamta szalupa, marnie by pani teraz wyglądała.

— Cóż to znaczy?

— Jasna sprawa, panie kapitanie. Przecież panu Harry'emu zawdzięczają panie życie.

— Nie widzę żadnego związku między katastrofą tamtego statku a panem Wilderem — powiedziała pani Wyllys goniąc już resztkami cierpliwości.

— Związek jest prosty i jasny jak słońce, o czym się pani zaraz sama przekona. Dwie noce i jeden dzień Afrykański i ja w pocie czoła wiosłowaliśmy na oceanie w stronę wysp, bo choć nie byliśmy mocni w nawigacji, wyczuwaliśmy nosami ląd, aż rankiem natknęliśmy się na rozbity statek. Z trzech masztów zostały tylko pieńki, statek był goły, obdarty z wszystkiego do cna. Gdyśmy podpłynęli bliżej, poznałem po budowie kadłuba, że jest to statek angielski.

— Weszliście na pokład? — spytał Korsarz.

— Nikt nam tego nie bronił, bo z całej załogi został tylko wygłodniały pies. Weszliśmy więc na pokład. — Fid nagle spoważniał. — Póki życia nie zapomnę tego widoku. Był to piękny statek. Nabrał tyle wody, że leżał bezradny jak halibut w wannie.

— Załoga go opuściła?

— Tak, ludzie albo ratowali się w szalupach, albo w czasie burzy fala ich zmyła. Pies musiał być zły, bo go przywiązali do pachołka na pokładzie i to mu uratowało życie. Pół dnia szukaliśmy na tym wraku żywności i innych rzeczy, które mogłyby nam się przydać. Ale wszystko tak było zalane wodą, że niewieleśmy skorzystali.

— I wróciliście do szalupy.

— Zaraz, nie tak prędko, panie kapitanie. Gdyśmy się kręcili po pokładzie, w pewnej chwili Afrykański mówi do mnie: „Panie Dick, ktoś płacze pod pokładem?”. Sam dawno to słyszałem, ale nic nie mówiłem, bo myślałem, że to są jęki utopionych marynarzy. Nic nie mówiłem, gdyż Murzyni są bardzo przesądni i nie chciałem straszyć mojego czarnucha. Wie pani, jaki przesądny potrafi być Murzyn i jak się boi nieboszczyków, prawda? Ale jak on sam poruszył tę sprawę, nie było sensu dalej udawać głuchego. Obaj przytknęliśmy uszy do pokładu. Wyraźnie słysząc płacz. Jeszcze nie byłem pewny, bo jak pani może wie, tonący statek płacze całkiem jak człowiek.

— Wiem — przyznała pani Wyllys. — Sama słyszałam i nigdy tego nie zapomnę.

— Ano właśnie. Nie wyglądało na to, że wrak prędko pójdzie na dno, więc siekierą wyrabaliśmy

dziurę w pokładzie, żeby zobaczyć, czy jakiś nieszczęśnik nie został żywy w hamaku.

— Znaleźliście dziecko?

— I jego matkę, proszę pani. Na całe szczęście woda jeszcze do nich nie doszła. Ale brak powietrza i głód zrobiły swoje. Kobieta skonała, gdyśmy ją wyciągnęli na pokład. A dziecko? Widzi je pani, stoi tam na dziale, zdrowy i mocny. A wtedy takie to było słabiutkie, że ledwie przełknęło odrobinę wody i wina, jakie dobry Bóg pozwolił nam zachować, by dziecko wyrosło na takiego przystojnego mężczyznę.

— A matka?

— Dała chłopakowi ostatni kawałek sucharka i ręką wskazała na niego, co pewnie miało znaczyć, że prosi, byśmy się nim zaopiekowali. — I co jeszcze?

— Pewnie się modliła, bo oczy wzniosła ku niebu i poruszała wargami. Nic nie słyszałem, ale mam nadzieję, że Ryszarda Fida też. poleciła boskiej opiece.

— Umarła?

— Niestety. Nie mogliśmy jej pomóc. Mieliśmy kwartę wody, ćwierć kwarty wina, jednego suchara i garść ryżu. Nie było to wiele jak na dwóch roślących chłopów, którzy musieli przewiosłować siedemdziesiąt mil w podzwrotnikowym klimacie, żeby dotrzeć do najbliższej wyspy. Statek coraz głębiej się zanurzał. Nie było na co czekać. Poszedł na dno, ledwieśmy siedli w naszej szalupie i odpłynęli na tyle, że wir nas nie mógł już wciągnąć.

— A chłopiec... Biedne opuszczone dziecko? — spytała pani Wyllys. Oczy miała pełne łez.

— Myli się pani, wcale nie było opuszczone. Zabraliśmy chłopaka i psa też. Czekaliśmy nas długa droga, i to z dala od szlaku handlowych statków. Zebrałem więc całą załogę na naradę, to znaczy siebie i Murzyna, bo chłopak był za słaby, żeby mógł otworzyć usta, a poza tym na pewno niewiele miał do powiedzenia. Zagałem tak: „Słuchaj, Afrykański — mówię — musimy zjeść albo tego psa, albo tego chłopaka. Jeśli zjemy chłopaka, zrównamy się z twoimi rodakami (wie pani, że to ludożercy). Jeśli zjemy we dwójkę tego kundla, nabierzemy trochę sił i uratujemy chłopaka”. Na to mój Afrykański tak odpowiada: „Ja mogę wcale nie jeść, daj moją porcję małemu”. Ale pan Harry jakoś nie lubił psiego mięsa. Trudno, zjedliśmy psa we dwójkę. Niedługo to trwało, bo psina była bezwstydnie chuda. A potem głodowaliśmy obaj, gdyż trzeba było trochę dokarmić chłopaka, inaczej prześliznąłby się nam między palcami. — Karmiliście chłopaka, choć sami umieraliście z głodu?

— Nie nudziło nam się, proszę pani, bośmy żuli skórę po tym psie — co prawda niezbyt smaczną. Nie tracąc czasu na posiłki, wiosłowało się więcej. No cóż? W końcu dobrnęliśmy do wyspy. Gdyśmy trafili do kuchni, ani siły, ani wagi żaden z nas nie miał.

— A dziecko?

— Chłopak całkiem dobrze się trzymał. Potem doktorzy nam powiedzieli, że ta głodówka wcale się nie odbiła na jego zdrowiu.



— Szukaliście bliskich tego chłopca?

— Myśmy byli jego najbliższymi przyjaciółmi. Nie mieliśmy ani takiej mapy, ani busoli, które by mogły zaprowadzić nas do jego rodziny. Powiedział nam, że na imię mu Harry, z czego wynika, że był dobrze urodzony. To zresztą widać, wystarczy na niego spojrzeć. Jak się nazywa, nie wiedział. Mówił po angielsku, znaleźliśmy go na angielskim statku, był więc Anglikiem.

— A nie wiesz, jak się nazywał ten statek? — spytał Korsarz.

— Widzi pan, kapitanie, szkół jest niewiele w moim kraju, a w Afryce oświata stoi całkiem kiepsko. Wobec czego, gdyby nawet nazwa statku nie była pod wodą, mielibyśmy duże trudności z jej odczytaniem. Ale na pokładzie znaleźliśmy wiadro i wzięliśmy je do szalupy. Było na nim coś napisane. Afrykański umie pięknie tatuować. Poprosiłem go, żeby mi prochem wytatuował ten napis na rękę. Może pan kapitan zobaczy, jak on to zmyślnie przemałował z wiadra na mnie.

Fid odwinął rękaw i pokazał Korsarzowi niebieski tatuaż na rękę, całkiem wyraźny. Chociaż litery były koślawe, bez trudu można było odczytać: „Ark”.

— Mielicie więc ślad i można było odszukać rodzinę chłopca — powiedział Korsarz.

— Nie bardzo, panie kapitanie. Wzięliśmy chłopaka na „Prozerpinę”. Nasz kapitan zrobił, co się tylko dało, żeby odszukać krewnych chłopaczka. Ale nikt nie słyszał o statku tej nazwy. Po roku poszukiwań trzeba było dać za wygraną.

— A chłopak nic nie umiał powiedzieć? — spytała pani Wyllys.

— Co miał powiedzieć, jak sam nic nie wiedziały proszę łaskawej pani. Ja, Afrykański i kapitan zajęliśmy się jego wychowaniem. Od nas dwóch nauczył się morską rzemiosła, a ode: mnie nabrał trochę ogłady. Nawigacji i łaciny nauczył go sam kapitan. Opiekował się nim serdecznie do czasu, gdy chłopak stanął na własnych nogach.

— Jak długo pan Wilder służył w królewskiej marynarce? — zapytał Korsarz takim tonem, jakby go to niewiele obchodziło.

— Tak długo, panie kapitanie, jak długo trzeba było, by się wszystkiego dobrze nauczyć — padła odpowiedź równie wymijająca, jak podstępne było pytanie.

— I został oficerem?

— Jeżeli nie został, to król najwięcej jest stratny. Ale co to ja widzę? Czy to nie żagiel na horyzoncie? A może tylko mewa bije skrzydłami?

— Żagiel, hej! — zawołał marynarz z bocianiego gniazda. Okrzyk ten powtórzyli wszyscy pełniący służbę marynarze. Korsarz spojrział na morze. Skorzystał z tego Fid i szybko się ulotnił. Pani Wyllys wstała. Pogrążona w myślach, wolnym krokiem zeszła do kajuty.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Na „Delfinie” zaszumiało jak w ulu. Wieść o żaglu na horyzoncie wywołała wielkie podniecenie wśród całej załogi, która dotąd nie mogła odżałować, że „Karolina” wymknęła jej się z rąk. Teraz nastęczała się okazja powetowania strat. Okrzyki radości rozbrzmiewały od podniebnych stanowisk na masztach do forkaasztelu.

Sam Korsarz okazywał więcej radości niż zwykle w podobnych sytuacjach. Wiedział z długiego doświadczenia, że nadszarpniętą dyscyplinę najłatwiej przywrócić, gdy się całą załogę poderwie do walki na śmierć i życie i gdy zwycięstwo przyniesie obfite łupy. W trudnych chwilach jego odwaga, rozum i spryt zjednywały mu ślepe posłuszeństwo.

Z uśmiechem podszedł do gromadki marynarzy na pokładzie, wdał się z nimi w pogawędkę, do niektórych zwracał się po nazwisku, pytał, co myślą o statku na horyzoncie. Potem wezwał na rufę Wildera, Generała i dwóch najstarszych oficerów. Za pomocą doskonałych lunet długo obserwowali w milczeniu daleki żagiel.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, wiał rześki, lecz niezbyt silny wiatr, ocean łagodnie falował, słowem wszystko nie tylko sprzyjało obserwacji, ale wprost zachęcało do śmiałych poczynań.

— To statek! — zawołał Korsarz odejmując lunetę od oczu.

— Statek! — powtórzył jak echo Generał i uśmiechnął się, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało.

— Na pewno — przyświadczył jeden z oficerów.

— Trzyma się tak, jakby ciężki ładunek zapewniał mu równowagę — oświadczył Korsarz. — Ale dlaczego pan nic nie mówi? — zwrócił się do Wildera.

— To duży statek — odparł Wilder.

— Przed chwilą rozwinął wszystkie żagle i płynie prosto w naszym kierunku. Ładnie zrobił, nie będziemy musieli go ścigać — powiedział Korsarz. — Czy to nie jest przypadkiem hiszpański galeon?

— To bardzo możliwe — odrzekł jeden z oficerów. — Hiszpanie lubią ten szlak, bo wydaje im się, że nie jest nawiedzany przez piratów.

— Hiszpański grand będzie nam do śmierci wdzięczny za to, że trochę ulżymy jego galeonowi. Z takim ładunkiem statek poszedłby na dno jak amen w pacierzu. Ale pan, panie Wilder, jakoś nie jest zachwycony. — Mówiąc to Korsarz zająrzył w oczy pierwszemu oficerowi.

— To bardzo duży statek — wycedził Wilder.

— Tym większy może udźwignąć ładunek. Za mało pan jeszcze zna nasze piękne rzemiosło. Przepadamy za dużymi statkami, płotek w ogóle nie łowimy.

— Czy oni nie dają nam sygnałów? — spytał Wilder.

— Z takiej odległości niełatwo jest dostrzec statek płynący na skróconych żaglach — odparł Korsarz.  
— Jeśli nas zobaczyli, świadczy to, że dobrze wyęzają wzrok. A czujność jest dowodem, że strzegą cennego ładunku.

Wszyscy znów podnieśli do oczu lunety. Co do sygnałów zdania były podzielone.

— Zmęczyliśmy wzrok — powiedział Korsarz. — Niech no spojrzy ktoś świeżym okiem. Hej, przyjacielu!

Ten okrzyk był skierowany do Scypiona Afrykańskiego, który właśnie pracował na rufie. Scypio szybko podszedł do kapitana.

— Popatrz no, bracie, przez to szkiełko i powiedz nam, co widzisz — powiedział Korsarz wręczając mu lunetę.

Scypio położył czapkę na pokładzie, przytknął lunetę do oka, drugie zasłonił ręką, spojrział, natychmiast opuścił lunetę i popatrzył na Wildera osłupiałym wzrokiem.

— Widziałeś żagiel? — spytał Korsarz.

— Gołym okiem pan zobaczy.

— Ale co widać przez szkło? — Statek, panie kapitanie.

— No pewnie. Jaki ma kurs?

— Do nas płynie.

— Zgadza się. Podniósł sygnał?

— Podnosi trzy nowe żagle na grotmaszcie, panie kapitanie.

— Widziałeś banderę?

— Nie ma żadnej bandery.

— Mnie się też tak zdawało. Możesz odejść... Czekać. Co byś powiedział o pojemności tego statku?

— Siedemset pięćdziesiąt ton, panie kapitanie.

— Jakże to, panie Wilder? Pański Murzyn ma wagę w oku? Ocenia pojemność ledwie widocznego statku niczym celnik po dokładnym urzędowym sprawdzeniu.

— Zechce pan wziąć pod uwagę, że to ciemny człowiek i że nie można oczekiwać od niego rozsądnych odpowiedzi.

— Ciemny, powiada pan.

Korsarz obdzielił bystrym, nieufnym spojrzeniem Wildera, Scypiona i statek mający na horyzoncie.

— Ani trochę się nie zawahał ten pański Murzyn — dodał i zwracając się do Scypiona zapytał: — Uważasz, że ten statek ma siedemset pięćdziesiąt ton pojemności — ani mniej, ani więcej?

Wielkie czarne oczy spojrzały na Korsarza, a potem na Wildera. Zmarszczona brew Wildera podziałała na Scypiona w zadziwiający sposób. Jego twarz przybrała wyraz bezdennej głupoty.

— Pytam się — nastawał Korsarz — czy ten statek musi mieć siedemset pięćdziesiąt ton pojemności, czy nie mógłby być trochę mniejszy lub większy.

— Pan kapitan wie lepiej ode mnie — padła dyplomatyczna odpowiedź.

— Wolałbym, żeby to było tysiąc ton. Lepiej byśmy się obłowili.

— Wygląda na tysiąc — zapewnił Afrykański.

— Wystarczyłoby trzysta ton, gdyby był niezłe wyładowany złotem.

— Zdaje się, że nie ma więcej niż trzysta.

— To chyba bryg.

— Na pewno bryg, panie kapitanie.

— Nie, raczej szkuner z wieloma lekkimi żaglami.

— Z wszelką pewnością. Żagle lekkie jak piórka — skwapliwie zgodził się Scypio.

— A może to w ogóle nie statek? Hej tam! To poważna sprawa, trzeba się jeszcze kogoś poradzić. Niech tu przyjdzie marynarz Fid. Pańscy ludzie, panie Wilder, to tęgie głowy, proszę się więc nie dziwić, że chętnie ich słucham.

Wilder zagryzł wargi. Ale nie było rady na kaprysy Korsarza. Zameldował się Fid.

— Statek czy nie? — spytał Korsarz Scypiona.

— Nie wiadomo — odparł Murzyn bez namysłu.

— Twój czarny przyjaciel — Korsarz zwrócił się do Fida — ma wątpliwości, czy to statek.

Fid rzucił okiem na horyzont, po czym z bezbrzeżną pogardą spojrział na Scypiona.

— Afrykański, bój się Boga — powiedział. — Oczy bielmem ci zaszyły? Może to kareta, nie statek?

— Może kareta — zgodził się czarny. — Niechże cię Bóg ma w swej opiece, ty czarna, kędzierzawa, głupia pało! — zawołał. — Proszę się nie dziwi, panie kapitanie. Oświata w Afryce nisko stoi i pełni się tam ciemnota. Ale Scypio jest dobrym marynarzem i powinien odróżnić żagiel od końskiej grzywy. Słuchaj, Afrykański, choćby przez wzgląd na twoich przyjaciół, jeśli już sam nie masz ambicji, powiedz...

— Szkoda czasu — przerwał mu Korsarz. — Bierz lunetę i powiedz, coś zobaczył.

Fid szurnał nogami i nisko się uklonił kapitanowi. Potem położył usmoloną czapkę na pokładzie i podniósł do oczu lunetę. Patrzył bardzo długo. Gdy wreszcie ją odjął od oczu, spuścił głowę i głęboko się zamyślił. Podparł się pod bok, obracał tytoń w ustach, marszczył czoło. Oznaki te świadczyły ponad wszelką wątpliwość, że umysł Fida napotkał twardy orzech do zgryzienia.

— No, jak tam? — ponaglił go Korsarz, gdy uznał, że Fid miał już dosyć czasu do namysłu.

— Czy pan kapitan mógłby mi powiedzieć, którego dziś mamy i, jeśli łaska, jaki to dzień tygodnia?

Kiedy otrzymał odpowiedź na oba pytania, chrząknął i tak zaczął:

— Jak wychodziliśmy z portu, wiał wiatr południowo—zachodni, w nocy zmienił kierunek i dał, jakby się wściekł, z północnego zachodu. Mieliśmy z nim do czynienia przez cały tydzień, choć złość mu szybko przeszła. Potem jeden dzień tłukł nas huragan. I dopiero jak dostaliśmy się w te strony, wiatry siadły cicho jak kapelan na statku przed szklaneczką ponczu...

— Ale co z tym statkiem? — przerwał mu Korsarz, trochę zniecierpliwiony tym przydługim wstępem.

— Na pewno nie jest to kareta, panie kapitanie — stanowczo oświadczył Fid.

— Czy daje nam sygnały?

— Możliwe, że przemawia do nas w języku flag, panie kapitanie, ale co gada, nie powiem, bo na to trzeba by mocniejszej głowy niż moja. W każdym razie podniósł na grotmaszcie trzy nowe żagle.

— Widzi pan te żagle? — spytał Korsarz Wildera.

— Tak mi się zdawało. Ale patrzyłem pod słońce i mogłem się pomylić. Chyba nie dawał sygnałów.

— To znaczy, że nas nie zauważył. Mamy więc trochę czasu i możemy lepiej mu się przyjrzeć.

W jego głosie zabrzmiała nieznacznie nuta ironii. Niecierpliwym gestem odprawił marynarzy i gdy zostali sami, zwrócił się do oficerów.

— Proszę panów! Skończył się czas bezczynności. Los chciał, że zbliża się chwila rozprawy. Jeśli mnie wzrok nie myli, na naszej drodze pojawił się okręt wojenny. Czy któryś z was jest innego

zdania? Co pan powie, panie Wilder?

— Całkowicie zgadzam się z panem.

Czoło Korsarza trochę się rozchmurzyło.

— Oto szczerą i męską odpowiedź — oświadczył. — I jeszcze jedno pytanie: jeśli to jest królewska fregata, czy będziemy ją atakowali?

Odpowiedź nie była łatwa. Oficerowie spoglądali jeden na drugiego. Korsarz zwrócił się do Generała:

— Chciałbym przede wszystkim usłyszeć pańskie zdanie. Wydamy bitwę czy rozwiniemy skrzydła i zwiejemy?

— Moi chłopcy nie byli ćwiczeni do odwrotu. — Ale może ryzyko jest zbyt wielkie?

— Hiszpan często odsyła złoto w sztabach do domu pod osłoną dział fregaty — powiedział jeden z oficerów, który nie lubił narażać własnej głowy, jeśli nie spodziewał się bogatego łupu. — Trzeba by przemacać ten statek. Jeśli wiezie cenny ładunek, nie będzie się kwapił odpowiadać na zaczepki, a jeżeli ma pusty brzuch, będzie zażarty jak wygłodniały tygrys.

— Trafna rada, Bracie — przyznał Korsarz. — Weźmiemy to pod uwagę. Panowie, proszę na swoje miejsca! Potrwa około pół godziny, zanim tamten statek będzie na tyle blisko, żeby można mu się dobrze przyjrzeć. Przygotujemy w tym czasie działa i dokonamy przeglądu broni. Wobec tego że decyzja jeszcze nie zapadła, proszę zachować umiar w przygotowaniach, aby załoga nie doznała zawodu, jeśli się wycofamy.

Narada była skończona. Oficerowie pośpieszyli wykonać rozkazy. Wilder też chciał odejść, ale Korsarz dał mu znak, by zaczekał. Zostali we dwójkę na rufie. Korsarz rozejrzał się, czy nikt nie słucha, i powiedział:

— Zdaje się, że przestaniemy się nudzić i będziemy mieli zabawę. Poznałem już pana dość dobrze i jestem spokojny, że gdyby mi się coś przydarzyło, zostawię władzę w pewnych rękach.

— Gdyby się panu stało coś złego, postaram się nie zawieść zaufania, jakim mnie pan obdarzył.

— Żałuję, że wcześniej pana nie poznałem. No, trudno. Pańscy chłopcy mają orli wzrok.

— Bez tego nie byliby tak świetnymi marynarzami. Ale to pan pierwszy rozpoznał w tym statku królewską fregatę.

— Dziwi mnie, skąd Murzyn mógł tak dokładnie znać pojemność tego statku.

— Im kto głupszy, tym łatwiej strzela z nie nabitej broni.

— To prawda. Proszę teraz dobrze się przyjrzeć tej fregacie. Wilder chętnie usłuchał. Rozmowa

najwidoczniej była mu bardzo nie na rękę. Długo patrzył przez lunetę. Korsarz czekał bez słowa. Gdy wreszcie Wilder odjął lunetę od oczu, jego wzrok spotkał się z przenikliwym spojrzeniem Korsarza. Miał wrażenie, że tamten chce wdrzeć się wzrokiem w głąb jego duszy. Słowa zastygły mu na ustach, zaczerwienił się po uszy.

— Cóż pan zobaczył? — dziwnym głosem zapytał Korsarz.

— Rozwinęli żagle. Za parę minut zobaczymy kadłub. — To szybki żaglowiec. Płynie prosto na nas.

— Niezupełnie. Trzyma kurs bardziej na wschód.

— Ciekawe — Korsarz podniósł lunetę do oczu. — Rzeczywiście. Jeszcze nas nie dostrzegli. Hej tam! Zwinąć przedni sztaksel. Teraz mogą wypatrywać oczy. Z takiej odległości nikt nie zobaczy statku ogołoczonego z żagli.

Wilder tylko skinął głową. Przez chwilę przechadzali się w milczeniu. Korsarz rzucił okiem na przygotowania do bitwy. Oficerowie spokojnie wydawali rozkazy, które zmierzały krok po kroku do postawienia statku w stan pełnej gotowości bojowej.

— Przyznam się panu — powiedział Korsarz — że doznaję skrytej radości na myśl, że dowódca tamtego okrętu jest sługą Niemca zasiadającego na angielskim tronie. Jeśli okaże się za silny, zagramy mu na nosie, ale jeśli siły będą równe, to zobaczymy, jak sztandar świętego Jerzego zamoczy się w morzu.

— Myślałem, że ludzie naszego rzemiosła pozostawiają ambicje głupcom, a sami atakują tylko wtedy, gdy pod ich uderzeniem zadźwięczy metal szlachetniejszy od żelaza.

— Takie jest powszechne o nas mniemanie. Ja jednak wolę zgiąć kark królewskiego faworyta, niż dostać w ręce klucz do królewskiego skarbcza. Dobrze powiedziałem? — spytał Korsarz nadchodzącego Generała, który musiał słyszeć ostatnie zdanie.

— Jesteśmy gotowi — odparł Generał. — Honor, piękna to rzecz, ale w blasku złota bledną wszelkie ideały.

— Dopóki dzielnie się bijecie, jestem gotów przymknąć oko na pobudki, jakie wami kierują — przyznał Korsarz. — Co się tam dzieje?! — krzyknął nagle. — Kto pozwolił rozwinąć grotbramsel?

Słyszając podniesiony głos kapitana cała załoga zadrżała. Wszyscy zadarli głowy do góry, żeby zobaczyć, na kogo spadnie straszny gniew Korsarza, bo nad ich głowami wznosił się nagi szkielet masztów i rei.

Na grotbramrei stał Fid i z dumą patrzył na żagiel trzepoczący na wietrze. Tak się zasłuchał w szum żagla, że nie dosłyszał głosu kapitana. Korsarz ryknął na niego głosem, który by umarłego obudził.

— Kto ci kazał rozwinąć ten żagiel?

— Wiatr, panie kapitanie! To jest król. Jak zaczniesz dać, najlepszy marynarz nie ma nic do gadania i

musi go słuchać!

— Zwinąć! Wszyscy na grotmaszt i zwijać! — krzyknął wściekły Korsarz. — I ściągnąć za portki tego durnia!

Dwunastu marynarzy zwinnie wspięło się na maszt. Żagiel został błyskawicznie zwinięty. Fid już maszerował na rufę do raportu karnego. Wilder nie widział jeszcze Korsarza w tak strasznym gniewie. Dreszcz go obleciał na myśl, co będzie z Fidem. Podszedł bliżej, by wstawić się za nim, jeśli to będzie możliwe.

— Co to ma znaczyć? — spytał Korsarz Fida przez zaciśnięte zęby. — Niedawno dostałeś ode mnie pochwałę. A teraz ośmielasz się rozwijać żagiel na własną rękę w chwili, gdy statek powinien być goły jak święty turecki! Co to za wybryki?

— Panie kapitanie! Może niepotrzebnie się wyrwałem, trudno, będę za to odpowiadał.

— Będiesz, bratku, i popamiętasz. Wziąć go, niech się zapozna z batem!

— Już się z nim znamy, panie kapitanie! Nawet się na niego nie popatrzę. Mogą mnie lać, ile wlezie. Ja tego nie zobaczę, więc i wstydu nie będzie...

— Czy pozwoli pan, panie kapitanie, że się wstawię za nim? — wtrącił się Wilder. — Robi różne głupstwa, ale nigdy by — nie zbłądził, gdyby miał tyle rozumu, co dobrych chęci.

— Panie Harry, ani słowa — powiedział Fid nieznacznie mrużąc do niego oko. — Żagielek pięknie sobie pofruwał, trudno zaprzeczyć. Fakt ten będzie zapisany na moim siedzeniu, na to nie ma rady.

— Proszę mu darować. Ośmielam się przyrzec w jego imieniu, że niczego więcej nie przeszkobie.

— Zapomnijmy o tym — powiedział Korsarz z trudem tłumiąc gniew. — W takiej chwili nie mogę odmówić panu tej drobnej przysługi. Sam pan rozumie, ile nas mogła kosztować samowola tego głupca. Poproszę o lunetę. Ciekaw jestem, czy dostrzegli nasz żagiel.

Fid rzucił Wilderowi znaczące spojrzenie. Wilder dał mu znak, żeby zniknął im z oczu, po czym wspólnie z Korsarzem pilnie obserwował tajemniczy statek na horyzoncie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Biała plamka podobna do mewy muskającej skrzydłami grzbiet fali, jaka ukazała się na horyzoncie, w ciągu pół godziny rozwinęła się w piramidę żagli, rosnącą z każdą minutą.

Korsarz podał Wilderowi lunetę ze spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Niech pan zobaczy, co ten pański idiota narobił!”

Ale słowa nie powiedział, a jego spojrzenie wyrażało raczej żal niż wymówkę. Gdy Wilder jeszcze raz zaczął niezręcznie usprawiedliwiać Fida, Korsarz odpowiedział gestem, który oznaczał, że nie



warto wracać do tej sprawy.

— Jak pan widzi — zaczął już zupełnie opanowany — wzrok mają świetny. Zmienili kurs, płyną prosto na spotkanie z nami. Zaraz zobaczymy ich baterię i będziemy wiedzieli, jak z nimi gadać.

— Jeżeli pozwoli im pan zbliżyć się do nas, ucieczka może się okazać niemożliwa.

— Mało jest statków dorównujących w szybkości „Delfinowi”.

— Nie wiem. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z równym przeciwnikiem.

Korsarz spojrział mu w oczy.

— Panie Wilder, pan zna ten statek?

— Tak jest. Jeśli się nie mylę, jest to statek znacznie większy od „Delfina”, a poza tym nie sądzę, aby jego ładunek mógł kogoś skusić.

— Pojemność?

— Podał ją panu Murzyn.

— Obaj pańscy marynarze znają ten statek?

— Marynarze, którzy spędzili na nim wiele miesięcy, a nawet lat, muszą znać na pamięć wszystkie jego żagle.

— Rozumiem. A pan dawno się pożegnał z tym statkiem?

— Bardzo niedawno. Zszedłem z jego pokładu, by się zgłosić u pana. Korsarz zamilkł i głęboko się zamyślił. Wilder obserwował go spod oka. Nie trwało to długo.

— Ile dział? — nagle spytał Korsarz.

— O cztery więcej niż na „Delfinie”.

— To okręt królewski?

— Tak jest.

— Jak mi Bóg miły, zmieni właściciela! Ja go sobie wezmę! Wilder potrząsnął głową i uśmiechnął się z powątpiewaniem.

— Nie jest pan tego pewny — powiedział Korsarz. — Proszę spojrzeć na pokład. Czy dowódca tamtego statku, z którym tak niedawno się pan rozstał, ma pod swymi rozkazami takich ludzi jak my, zdecydowanych na wszystko? Ale nie pora na przyjacielskie pogawędki. Trzeba pokazać im nasze żagle.

Wilder wydał rozkaz rozwinięcia żagli. Nightingale zagwizdał i ochrypłym głosem krzyknął:

— Wszyscy do żagli! Rozwijać, ahój!

Załoga przyjęła ten okrzyk z żywiołową radością. Dzięki sprężystym rozkazom Wildera i zapałowi marynarzy wkrótce nagie maszty okryły się białymi jak śnieg szatami żagli.

Wilder wszedł na rufę zameldować kapitanowi, że statek jest gotów i załoga czeka na dalsze rozkazy. Korsarz stał w towarzystwie obu pasażerek. Przyjął meldunek i patrząc Wilderowi w oczy zapytał:

— Czy pan na pewno zna tamten statek?

— Jestem tego pewny — spokojnie odparł Wilder.

— To królewska fregata — powiedziała pani Wyllys.

— Tak, niewątpliwie.

— Wystawimy na próbę jego szybkość — oświadczył Korsarz. — Proszę zrefować dolne żagle i przebrasować przednie.

Młody oficer skinął głową. Gdy wydawał rozkazy, głos mu lekko zadrżał. Nie uszło to uwagi starszych marynarzy. Wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Ale rozkazy wykonali.

„Delfin” rozwinął znaczną szybkość. Obcy statek znajdował się w odległości dwóch mil na zawietrznej „Delfina”. Słońce oświetlało jego burzę, żagle rzucały długie cienie na wodę. Widać było paru marynarzy na rejach.

Korsarz wezwał Wildera.

— Wie pan — powiedział — że nie po raz pierwszy widzę tę fregatę.

— To możliwe. Pływała po całym Atlantyku.

— Długo pan na niej służył?

— Dobrych parę lat.

— Niech mi pań powie, czy uważali pana za coś gorszego, prowincjusza, amerykańskiego prostaka?

— Rzuciłem służbę na tym okręcie.

— Musiał pan mieć ważne powody. Przynajmniej raz wyświadczyli mi przysługę. Skorzystałem na tym, że źle pana traktowali. Był pan tam jeszcze w marcu, kiedy dzień zrównał się z nocą?

Wilder lekko się skłonił.

— Tak mi się zdawało. I walczyliście w czasie burzy z nieznanym statkiem?

— Naturalnie. Wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia, i zdawało nam się, że wybiła pańska godzina.

— Podoba mi się pańska szczerłość. Chcieliśmy się wtedy pozabijać, tym większymi jesteście dziś przyjaciółmi. Nie będę się pana o nie dopytywał, bo nie przez zdradę można zyskać u mnie zaufanie. Wystarczy mi, że w tej chwili płynie pan pod moją banderą.

— A jaka to bandera? — spytała podchodząc do nich z tyłu pani Wyllys.

Korsarz odwrócił się na pięcie, zmierzył guwernantkę spojrzeniem, przybrał uprzejmy wyraz twarzy i zawołał:

— Oto niewiasta przypomina dwu marynarzom o ich obowiązkach! Zapomnieliśmy, że grzeczość wymaga, byśmy pokazali nieznanemu statkowi naszą banderę. Panie Wilder, proszę naprawić to niedopatrzenie.

— Oni płyną bez bandery.

— Nie szkodzi. Uprzedzimy ich grzeczość.

Wilder otworzył szafkę. W przegródkach leżało około tuzina zwiniętych flag, najczęściej używanych na „Delfinie”.

— Nie wiem, co by pan wybrał — powiedział.

— Proszę spróbować Holendra. Kapitan tak wspaniałego statku powinien znać języki wszystkich chrześcijańskich narodów.

Po chwili holenderska bandera powiewała na grotmaszcie „Delfina”. Nieznana fregata nie odpowiedziała na ten fałszywy sygnał.

— Po naszym kadłubie widać, że nie pochodzimy z holenderskich nizin. A może nas poznali? — spytał Korsarz.

— Nie sędzę. „Delfin” stroi się w barwy tylu narodów, że nawet przyjaciółom trudno go poznać.

— Przyznaję, że nasz statek przypomina zalotną pannę — z uśmiechem odparł Korsarz. — Spróbujemy teraz narodowych barw Portugalii. Zobaczymy, czy diamenty z Brazylii nie przemówią im do serca.

Wynik był ten sam. Fregata zlekceważyła Portugalie wraz z jej bogatymi koloniami i uparcie sunęła w stronę „Delfina”.

— No, no — powiedział Korsarz. — Nie chcą znać sprzymierzeńca, ciekawe, co powiedzą na nieprzyjaciela. Pokażemy mu biel francuską!

Wilder powtórzył rozkaz.

Ledwie francuska flaga załopotowała na maszcie, z pokładu fregaty podniosła się, jak olbrzymi ptak zrywający się do lotu, wielka, wspaniała bandera i załopotowała ponad wodami. Równocześnie słup dymu wzbił się nad statkiem i uniesiony przez wiatr popłynął w tył. Krótco potem do uszu załogi „Delfina” dotarł huk armatniego wystrzału.

— Boże, jak ci Anglicy kochają się z Francuzami! — oschle powiedział Korsarz. — Nawet nie spojrzą na Holendra czy Portugalczyka. Ale pokaż synom Albionu biały obrus, to od razu wątroba im się przewraca. Niechże napatrzą się tej bieli, która tak ich gryzie w oczy. Jak się nam to znudzi, pokażemy im inne kolory z naszych bogatych zapasów.

Rzeczywiście, niewinna biel podziałała na królewską fregatę jak przysłowiowa czerwona płachta na rozszalałego byka. Całe stado małych żagli, choć na niewiele mogły się przydać, wzleciało nad statkiem. Napięły się wszystkie płachty i liny. Widać było, że gorączka ogarnęła załogę fregaty. Przypominało to dżokeja, który dźga ostrogami i okłada batem konia i tak już gnającego co sił w nogach.

Obydwa statki rozwinęły maksymalną szybkość, ale żaden nie zyskał przewagi. „Delfin” był słynny z szybkości. Tym razem spotkał godnego przeciwnika.

— Pruje fale niczym jaskółka śmigająca w powietrzu — powiedział Korsarz do Wildera, który stał przy nim. Młodego oficera ogarniał coraz większy niepokój i na próżno starał się opanować.

— Czy nie lepiej byłoby zejść im z drogi? — spytał. Korsarz spojrzał na niego spod oka. Uśmiechnął się wyniośle.

— Nawet gdyby tamten statek był orłem, nie dorówna „Delfinowi”. Dlaczegoż to nie ma pan ochoty znaleźć się w odległości mili od królewskiego okrętu?

— Bo znam jego siłę i wiem, że walka z tak potężnym przeciwnikiem nie rokuje żadnych nadziei — stanowczo odparł Wilder. — Jeśli jeszcze nie jest za późno, powinniśmy uciekać co sił w żaglach.

— Przecenia pan przeciwnika, mój przyjacielu. Za długo panu wmawiali, że są nadludźmi. Nie ma odważniejszych i skromniejszych zarazem ludzi od tych, co od dawna zdani są tylko na samych sobie. Nieraz już ocierałem się o królewskie okręty, a jednak żyję, jak pan widzi.

— Słyszysz pan? Bęben. Szykują działa.

Korsarz nadstawił ucha. Na fregacie dudnił werbel wzywający do zajęcia stanowisk bojowych.

— Pójdziemy za ich przykładem. Niech pan wyda rozkaz. Odezwał się bęben. Wszyscy szybko i sprawnie znaleźli się na swoich miejscach. Na statku zapanowała głucha cisza. Tylko oficerowie sprawdzali, czy wszystko jest w porządku. Wydano amunicję., Korsarz zniknął: Po chwili zjawił się na rufie w pełnym uzbrojeniu. Zrzucił marynarską czapkę, wiatr targał mu nad czołem jasne włosy. Na pokładzie, u jego stóp, leżał skórzany hełm. Wiadomo było, że gdy włoży ten hełm na głowę, będzie to znak rozpoczęcia bitwy. Wszyscy patrzyli na niego, ale trudno było wyczytać z jego twarzy, jaką poweźmie decyzję.

Oficerowie złożyli meldunki. Ludzie zaczęli cicho rozmawiać. To odstępstwo od surowego regulaminu, obowiązującego na zwykłych okrętach wojennych, Korsarz tolerował na swym statku zdając sobie sprawę, że dowodzi ludźmi szczególnego rodzaju i dobrze jest trochę im pofolgować przed bitwą, której wynik zależał od ich odwagi, hartu i zaciekłości.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zbliżała się chwila decydująca. Można by rzec, iż czuć było w powietrzu zapach prochu. Wydano zapasową amunicję. Ucichł szmer rozmów. Napięcie wzrastało z każdą minutą. Korsarz powiódł wzrokiem po twarzach swoich ludzi. Były poważne, spokojne, zdecydowane. Wiedział, że go nie zawiodą. Miał jednak wątpliwości co do Wildera i jego dwóch towarzyszy. Pierwszy oficer najbardziej go niepokoił. Nie można mu było nic zarzucić, wzorowo wykonywał swoje funkcje, a jednak czegoś mu brakowało, coś musiało go trapić, widać było po nim, że jest niezdecydowany i czuje się nieswojo.

Korsarz rozejrzał się za Fidem i Scypionem. Stanowili we dwójkę obsługę działa tuż koło rufy. Dowodził oczywiście Fid. Raz po raz rzucał niespokojne spojrzenia na Wildera i okręt, z którym mieli się zmierzyć. Nietrudno było się domyślić, że coś się staremu wydze nie mieści w głowie. Atletyczny Murzyn stał nieruchomy jak posąg. Ale jego wielkie czarne oczy z coraz większym zdumieniem błyskały białkami w stronę Wildera, fregaty i Fida na przemian. Gdy Wilder oddalił się na chwilę, Korsarz skorzystał z okazji i przechyliwszy się przez poręcz górnego pokładu poufale zagadał do Fida.

— Jak tam, panie ogniomistrzu? Zdaje się, że pańskie działo umie przemówić basem.

— Na całym statku nie znajdzie pan piękniejszej bużki, niż u mojej armaty — odparł Fid czule poklepując lufę. — Słuchaj, Afrykański, weź z pół tuzina kul i wydrap na nich gwoździem znak kotwicy. Jak będzie już po wszystkim, ci co przeżyją, pójdą na pokład nieprzyjacielskiego statku i zobaczą, gdzie tam posadziłem kapustę.

— Nie jest to chyba twój chrzest bojowy, ogniomistrzu?

— Niechaj Bóg ma pana w swej opiece, kapitanie! Znam zapach prochu armatniego nie gorzej niż zapach tytoniu. Chociaż, prawdę mówiąc...

— Słucham, słucham.

Fid spojrział na banderę francuską i godło Anglii w oddali.

— Czasem trochę mi się w głowie kręci. Naturalnie, pan Harry wie, co robi. Powiem tylko tyle, że jak rzucam kamieniami, wolę wybić okno sąsiadowi niż rodzonej matce. Afrykański, oznacz no jeszcze parę kul, żeby nam nie brakło.

Korsarz więcej nie nalegał. Dał znak Wilderowi, by podszedł.

— Dobrze pana rozumiem — powiedział. — Nie wszyscy z tamtego okrętu pana obrazili. Na

początek wolałby pan mieć do czynienia z kim innym. Poza satysfakcją niewiele byśmy zyskali w tej bitwie. Szanuję pańskie uczucia i nie będę się z nimi bił.

Wilder potrząsnął głową.

— Za późno — powiedział ze smutkiem.

— Myli się pan. Proszę zejść wraz z paniami i poczekać w bezpiecznym miejscu. Gdy pan wróci, wszystko będzie wyglądało inaczej.

Wilder powiadomił panią Wyllys i Gertrudę, że Korsarz chce się wycofać, i zaprowadził je na dół, po czym szybko wrócił na pokład.

Sytuacja rzeczywiście zmieniła się nie do poznania. Na maszcie „Delfina” powiewała bandera angielska, oba okręty wymieniały przyjazne sygnały. Z wielkiej chmury żagli nad statkiem Korsarza pozostały tylko bombramsle, reszta zwisała lekko falując na wietrze. „Delfin” płynął prosto na królewską fregatę, która właśnie zwijała żagle, co zapewne było przykrym zawodem dla tego drapieżnika ostrzącego sobie zęby na łatwą zdobycz.

— Musieli się bardzo zmartwić, że zamiast wroga spotkali rodaków. Nigdy do głowy by im nie przyszło, że angielski sztandar może być fałszywy. Diabeł mnie kusi, ale przez wzgląd na pana będę łagodny jak baranek.

Wilder słowem się nie odezwał. Nie było czasu na rozmowę. Okręty były już blisko siebie. Mgła okrywająca fregatę szybko się przecierała odsłaniając działa, bloki, liny, ludzi, nawet ich twarze. Fregata pierwsza się zatrzymała. Gdy „Delfin” znalazł się w odległości kilkuset stóp od niej, zatoczył lekki łuk i zatrzymał się. Wilder zauważył, że Korsarz tak ustawił przednie reje i dziób, by w razie czego mógł szybciej posłużyć się działami niż łatwowierny Anglik.

„Delfin” jeszcze trochę dryfował, gdy z fregaty zawołał ochrypły głos. Pytali o nazwę statku.

Korsarz zrobił oko do Wildera, przyłożył do ust tubę i odkrzyknął. Podał nazwę królewskiego okrętu, odpowiadającego wypornością „Delfinowi”.

— Tak jest! — odpowiedział tamten. — Poznaliśmy was po sygnałach!

Z kolei Korsarz zapytał o nazwę fregaty. Odpowiedzi towarzyszyło zaproszenie, by kapitan złożył na pokładzie fregaty wizytę starszemu rangą koledze.

Dotąd wszystko szło dobrze. Ale zaproszenie stworzyło sytuację niemal bez wyjścia. Trudno było liczyć na to, że podstęp się nie wyda. Wilder raz po raz zerkał na Korsarza. Nie dostrzegł na jego twarzy ani cienia niepewności. Na fregacie zadudnił bęben. Alarm został odwołany. Korsarz z niezmaconym spokojem również wydał rozkaz odwołania alarmu bojowego i zwrócił się do Wildera.

— Słyszał pan, że mój starszy kolega prosi mnie do siebie? — uśmiechnął się ironicznie. — Wybrałby się pan ze mną?

— Jeszcze pan nie zwariował, żeby się pchać w paszczę lwa! — zawołał Wilder.

— Jeśli pan się boi, pójdę sam.

— Ja się nie boję! — Wilder zaczerwienił się i oczy mu błysnęły. — Kapitanie Heidegger, zwykły rozsądek nakazuje mi pozostać w ukryciu. Gdybym się tam pokazał, od razu by wiedzieli, z jakim statkiem mieli przyjemność się spotkać. Zapomina pan, że wszyscy mnie tam znają.

— Słusznie, zapomniałem o tym szczególe. Niech pan zostanie, a ja pobawię się w kotka i myszkę z kapitanem Jego Królewskiej Mości. Chodźmy.

W kajucie Korsarz szybko przyczesał złociste loki i przebrał się w mundur kapitana królewskiej marynarki wojennej. Wyglądał teraz niezwykle młodo i sztywnie. W nowej roli czuł się swobodnie i nie zdradzał odrobiny zdenerwowania.

Odwrócił się od lustra.

— Sypałem piaskiem w znacznie bystrzejsze oczy niż mętny wzrok kapitana Bignalla — powiedział.

— Kapitana Bignalla! Zna go pan?

— Drogi panie, mój zawód wymaga, bym wiedział więcej niż inni. Uważa pan, że wszystko stracone, a dla mnie ta wizyta jest po prostu dziecianną igraszką. Jestem pewny, że żaden z oficerów i marynarzy na pokładzie „Jastrzębia” nigdy nie widział okrętu, którego nazwę pożyczyłem sobie przed chwilą. „Antylopa” to nowy żaglowiec, bardzo niedawno spuszczonej na wodę. Nie grozi mi też odnowienie znajomości z żadnym kolegą, bo jak pan dobrze wie, „Jastrząb” od lat nie był w Europie. Gdyby pan zajrzał do moich papierów, okazałoby się, że jestem młodym arystokratą, synem lorda, i otrzymałem niedawno dowództwo statku — dzięki wpływom ojca na dworze, jak się łatwo domyślić. — Okoliczności są istotnie sprzyjające. Ale po co się pan naraża?

— Po co? Może chcę sprawdzić, jaki łup nas czeka, a może po prostu mnie to bawi.

— Ale naraża pan życie.

— Koszty się nie liczą, gdy w grę wchodzi przygoda. Słuchaj Wilder — szczerze i ufnie spojrzął mu w oczy. — Zostawiam moje życie i honor w pańskich rękach. Czuję się zhańbiony, gdybym zdradził moich ludzi.

— Może pan być spokojny, że nie zawiodę pańskiego zaufania i będę czuwał nad załogą „Delfina”.

Był tak wzruszony, że słowa te z trudem przeszły mu przez gardło. Korsarz spojrzął na niego, uśmiechnął się, skinął mu ręką na pożegnanie i już miał wyjść, gdy dostrzegł w drzwiach Rodericka.

— A ty, chłopcze, po coś się tak wystroił?

— Pan kapitan bierze mnie z sobą.

— Nie jesteś mi potrzebny. Po co miałbyś nadstawiać głowy?

— Pan kapitan może stracić życie. Zginiemy razem.

Korsarz położył chłopcu rękę na ramieniu i długo patrzył mu w oczy. Wreszcie powiedział cicho i łagodnie:

— Dobrze. Pojedziesz ze mną.

Przesunął ręką po czole i wbiegł po schodkach na pokład. Roderick i Wilder pośpieszyli za nim. Energicznym krokiem Korsarz przeszedł pokład, spojrzął na takielunek, stanął przy burcie. Na wodzie czekała już łódź. Postawił nogę na szczeblu sztormentrapu. Po raz pierwszy zawahał się.

— Davis! — powiedział do marynarza siedzącego w łodzi. — Na pokład!

Davis był, jeśli czytelnik pamięta, zausznikiem kapitana i donosił mu, co się dzieje w forkaszteku, zdradzając własnych kolegów.

— Przyślijcie mi tego gbura, bosmana szefa. Ma gębę niewyparzoną, ale myślę, że potrafi milczeć wtedy, gdy trzeba.

Były Neptun zajął w łodzi miejsce usłużnego Davisa.

— Żegnaj, Wilder — powiedział Korsarz. — Jesteś teraz kapitanem „Delfina” i panem mojego losu. Jedno i drugie oddałem w godne ręce.

Nie czekając odpowiedzi zręcznie zszedł po sztormentrapie. Łódź szybko popłynęła w stronę fregaty. Załoga „Delfina” z zapartym tchem śledziła jej drogę. Korsarz siedział w łodzi z godną miną, jak przystało kapitanowi podążającemu z wizytą do starszego kolegi.

Na pokładzie „Jastrzębia” przyjął należnemu honory. Stary weteran, który mimo wieloletniej wzorowej służby w marynarce wojennej słabo awansował i doczekał się tylko stopnia kapitana, powitał młodego kolegę z otwartymi ramionami.

Po wstępnych ceremoniach stary wilk morski poprosił gościa do swej kajuty.

— Kapitanie Howard — powiedział — proszę się wygodnie rozgościć, bez żadnych ceregieli. W bardzo młodym wieku awansował pan na tak zaszczytne stanowisko.

— Wprost przeciwnie — odparł Korsarz siadając po drugiej stronie stołu, skąd mógł dobrze się przyjrzeć markotnej minie gospodarza. — Niech pan sobie wyobrazi, że jutro, jeśli dożyję, skończę dwadzieścia trzy lata. Tak, tak, starzejemy się.

— Dałbym koledze parę lat więcej. Ale w Londynie ludzie starzeją się równie szybko jak na równiku.

— Święte słowa, kapitanie! Niech nas ręka boska broni przed służbą u ołtarza, w admiralicji.



Bignall, mój drogi, zapewniam pana, że to może zniszczyć najmocniejszy organizm. Czasem zdawało mi się, że umrę w stopniu porucznika.

— Musiałby pan dostać galopujących suchot — mruknął oburzony stary wilk morski. — Ale w końcu dali panu piękny okręt, kapitanie.

— Znośny, tylko strasznie mały. Powiedziałem ojcu, że jeśli Pierwszy Lord Admiralicji nie odświeży naszej floty i nie wybuduje przyzwoitszych okrętów, cała nasza marynarka wojenna przejdzie w ręce pospólstwa. Czy nie uważa kolega, że niedobrze się człowiekowi robi od pływania na jednopokładowym stateczku?

— Drogi kolego, jak się ktoś od czterdziestu pięciu lat tłucze na morzu, to jest mu wszystko jedno, czy jego okręt ma jeden czy kilka pokładów.

Kapitan Bignall nerwowo przyglądał siwe włosy. Ręka mu się trzęsła z irytacji na tego młokosa.

— Ach! Rozumiem pana, ale zupełnie nie podzielam tego poglądu. Mam naprawdę dość. Po ukończeniu tego rejsu nie ruszę się z Londynu. Dzięki plecocom mojego ojca dostanę okręt patrolowy na Tamizie. Jak pan wie, kapitanie, bez protekcji u dworu człowiek dziś na nic nie może liczyć.

— Mimo że moda w Anglii tak się zmieniła, mam nadzieję, że nad Admiralicją nadal powiewa stary sztandar. Pan tak długo kłuł nam dziś oczy francuską banderą, że jeszcze chwila, a doszłoby między nami do gwałtownej wymiany zdań — zjadliwie zauważył weteran.

— Ba! Jestem dumny z tego podstępu. Wystawiłem kolegę na próbę. Zresztą świetnie się pańscy chłopcy spisali. Złożę o tym dokładny raport gdzie należy.

— Tak, niech pan to zrobi. Za tyle bohaterstwa może dostanie pan tytuł szlachecki.

— Bój się Boga, kolego! Moja matka by zemdląła, gdyby usłyszała, co pan powiedział. Ma bardzo staroświeckie poglądy i wielką wagę przywiązuje do arystokratycznych tradycji jej przodków i rodu mego ojca.

— Tak bywa, kapitanie. A swoją drogą mieliśmy obaj szczęście, że szybko przeszła panu ochota na parole franse. Jeszcze chwila i moje działa same by wypaliły!

— Nie przeczę, obu nam się udało. — Ziewnął. — Niech mi pan powie, drogi Bignall, co pan robi na tej łajbie dla zabicia nudy.

— Ależ, panie drogi! Walczę z wrogami Jego Królewskiej Mości i to mnie całkowicie pochłania. Mam okręt na głowie, a wolne chwile spędzam w towarzystwie moich oficerów. Nie mam kiedy się nudzić!

— Rzeczywiście, zapomniałem, że ma pan oficerów! Obawiam się jednak, że są to ludzie nieobcy i niewiele ma pan pociechy z ich towarzystwa. Czy zechciałby pan pokazać mi listę pańskich oficerów?

Dowódca „Jastrzębia” podał mu listę, nie racząc nawet spojrzeć w jego stronę. Uważał gościa za aroganckiego młokosa i już zdążył nabrać do niego niepohamowanej odrazy.

Korsarz rzucił okiem na listę.

— Nazwiska istotnie popularne wśród naszego ludu — zauważył. — Cóż to za jeden ten Henry Ark, który figuruje na liście jako pański zastępca?

— Jest to młodzieniec, któremu brak tylko paru kropel pańskiej błękitnej krwi na to, by kiedyś stanął na czele floty Jego Królewskiej Mości.

— Jeśli to taki orzeł, chętnie bym go poznał, za pańskim kapitanie, pozwoleniem. Ja codziennie rano poświęcam pół godziny mojemu zastępcy, bo to człowiek dobrze urodzony.

— Biedny chłopak! Bóg raczy wiedzieć, gdzie on się teraz obraca. Podjął się pewnej bardzo niebezpiecznej misji i wszelki śluch po nim zaginął. Rwał się do tego i żadne perswazje nie pomogły. Admirał szukał zdolnego i śmiałego oficera, by powierzyć mu niezwykle delikatne i ryzykowne zadanie. Wystarczy powiedzieć, że w grę wchodziło dobro naszej ojczyzny. Kto jak kto, ale pan dobrze wie, że człowiek nisko urodzony, niemający dostępu do dworu, może się wybić tylko dzięki własnym zasługom, często z narażeniem życia. Ten chłopak jest znajdą. Znalaziono go na rozbitym statku.

— Ale wciąż figuruje na pańskiej liście jako zastępca dowódcy?

— I tak będzie, dopóki nie dostanie okrętu, na co w pełni sobie zasłużył. Co się stało? Kapitanie! Pan zasłabł? Chłopcze, przynieś no prędko szklaneczkę grogu!

Korsarz zbladł i zdawało się, że zemdleje. Odsunął podany trunek. Z kolei krew uderzyła mu do głowy i policzki przybrały kolor szkarłatu.

— Nie, dziękuję, kapitanie — powiedział spokojnie i lekko się uśmiechnął. — Odziedziczyłem tę przypadłość po matce. Nazywamy ją w rodzinie chorobą kości słoniowej. Podobno jedna z moich prapraprababek będąc w błogosławionym stanie przestraszyła się na widok kła słonia i to nam zostało w rodzinie. Słyszałem, że nawet ładnie się wygląda w czasie ataku tej choroby. Zresztą bardzo szybko to przechodzi.

— Jeśli idzie o mężczyznę, wygląda on wtedy bardziej na takiego, co powinien się raczej trzymać maminej spódnicy, niż stawiać czoło huraganowi. Ale cieszę się, że szybko panu to przeszło.

— Ludzie dzisiaj często zmieniają oblicze, jak pan wie, kapitanie. Powiada pan, że ten Ark taki zdolny?

— Proszę pana, jeśli odwaga, kwalifikacje, oddanie jeszcze coś znaczą, Henry Ark będzie w najbliższym czasie dowódcą fregaty.

— Może gdybyśmy nieco więcej o nim wiedzieli, dałoby się w liście do odpowiednich osób zmieścić parę słów, które na pewno by młodemu człowiekowi nie zaszkodziły.

Korsarz uśmiechał się miło i przybrał ton życzliwości, który w znacznej mierze naprawił złe wrażenie wywołane na początku rozmowy.

— Ba! Gdyby mi wolno było ujawnić, jakiej podjął się misji! Stary kapitan zupełnie się udobruchał. Był człowiekiem porywczym i równie łatwo można go było sobie zrazić, jak zjednać.

— W każdym razie — dodał — może pan z czystym sumieniem napisać, że podjął się zadania zaszczytnego, niebezpiecznego i dla dobra poddanych miłościwie nam panującego monarchy. A wie pan, że zaledwie godzinę temu już myślałem, że Ark dopiął celu. Czy pan często stawia górne żagle, podczas gdy cięższe płachty są zwinięte? Dla mnie okręt wygląda wtedy jak mężczyzna, który włożył surdut, a zapomniał wciągnąć spodni.

— Mówi pan o chwili, kiedy pan spostrzegł mój okręt prawda? Rozwinęliśmy wtedy górne żagle.

— Ano właśnie. Przez lunetę dojrzeliliśmy pańskie maszty. Potem zniknął nam pan z oczu, aż nasz obserwator zobaczył pańskie górne żagle. Nie mogę więcej powiedzieć, ale był to przedziwny zbieg okoliczności. Mogło dojść do bardzo przykrego wypadku.

— Ach, często robię takie rzeczy, bo lubię zadziwić. Wie pan, po dowcipie poznaje się inteligencję. Zresztą ja też zostałem wysłany na te morza z pewną misją.

— Z jaką? — bez ogródek zapytał gospodarz.

Wyraźnie się zaniepokoił, czego nie umiał ukryć. Zmarszczył czoło i wybałuszył oczy.

— Tropię pewien statek. Gdyby mi dobry los go zesłał, powitanie byłoby nad wyraz gorące. Była chwila, że pana uważałem za ptaszka, na którego poluję. Całe szczęście, że pańskie sygnały w porę wyprowadziły mnie z błędu. Inaczej mogłoby się to bardzo źle skończyć.

— Za kogóż to mnie pan wziął?

— Niech sobie kapitan wyobrazi, że za tego słynnego zbira, Czerwonego Korsarza.

— Niestychane! Kapitanie Howard, czy wyobraża pan sobie, że poważny marynarz mógłby wziąć taki wspaniały okręt, jakim jest „Jastrząb”, za gniazdo pirackiej zgrai? Na obronę pańskiej załogi powiedziałbym, że poza kapitanem nikomu coś podobnego nie mogło przyjść do głowy.

— Zanim zbliżyliśmy się na tyle, że pańskie sygnały stały się czytelne, co najmniej połowa starych marynarzy na moim okręcie ostrzyła sobie zęby na pana, drogi mój Bignall. Daję panu na to słowo oficera królewskiej marynarki wojennej. Doprawdy, tak długo błąka się pan po obcych morzach i tak dawno nie był w kraju, że pański „Jastrząb” pogubił piórka i nabrał bardzo podejrzanego wyglądu. Pan tego może nie widzi, ale proszę nie lekceważyć tej życzliwej uwagi.

Gospodarz pohamował gniew i kwaśno się uśmiechnął.

— Mnie pan przypiął łatkę pirata, dziękuję za pamięć. Boję się teraz, żeby pan tego dżentelmena nie wziął za Belzebuba.

Rzeczywiście, ktoś wszedł do kajuty tak cicho, że Korsarz tego nie zauważył. Zerwał się z krzesła. Na krótką chwilę opuściła go zimna krew, ale szybko się opanował i Bignall nie zdążył spostrzec jego zmieszania.

W drzwiach stał staruszek, łagodny, uśmiechnięty, pokorny. „Gdy Korsarz spojrział na niego, staruszek nisko się uklonił. Korsarz odklonił się z wielkim szacunkiem. Trzeba przyznać, że kłaniać się umiał, jakby całe życie spędził w królewskich przedpokojach.

— Sądząc z duchownej sukienki, jest to pański kapelan — powiedział.

— Nie omylił się pan, kapitanie — przyznał Bignall. — Kapelan i mój serdeczny przyjaciel. Po trzydziestoletniej rozłące znów jesteśmy razem. Admirał był tak dobry i przydzielił mi go na tę wyprawę. Choć mój okręt jest skromny, mam nadzieję, że czcigodny kapelan nie czuje się gorzej niż na okręcie admirała. Pozwolę sobie przedstawić ci szlachetnie urodzonego kapitana Howarda, dowódcę królewskiego statku „Antylopa”. Nie powiem nic więcej, bo kapitański stopień w tak młodym wieku wydaje mi się najlepszą rekomendacją.

Kapelan z niemałym zdziwieniem spojrział w twarz szlachetnie urodzonego. Jeszcze raz się skłonił i powiedział parę zdawkowych słów na powitanie. Korsarz z niezmaconym spokojem wrócił do rozmowy z dowódcą „Jastrzębia”.

— Panie kapitanie — mówił z wyszukaną uprzejmością. — Wrócę teraz na mój okręt. Zaczynam podejrzewać, że obaj przybyliśmy na te morza w tym samym celu. Wydaje mi się pożądane, byśmy uzgodnili nasze poczynania, a wtedy, pod pańskim światłym przewodem, wspólnymi siłami, da Bóg, z honorem spełnimy wyznaczone nam zadanie.

Rozpromieniony Bignall zaprosił go na bankiet. Rzekomy kapitan Howard przyjął zaproszenie i przyrzekł przyjść z paru oficerami, najgodniejszymi tak zaszczytnego wyróżnienia.

Stary Bignall był człowiekiem prawym i świetnym oficerem. Ale jego zasługi długo nie spotkały się z należnym uznaniem. Wszyscy jesteśmy ludźmi, więc i Bignall, przy całej swej poczciwości, trochę liczył na to, że znajomość z synem wpływowego ojca, zapewne dobrze widzianego na dworze, może mu się przydać, tym bardziej że trzeba już było myśleć o emeryturze. Nic przeto dziwnego, że pod koniec rozmowy atmosfera była znacznie cieplejsza niż na początku. Wśród wzajemnych ukłonów obaj kapitanowie wyszli na pokład. Serdecznie uścisnęli sobie ręce, Korsarz pożegnał zebranych na pokładzie oficerów dotknięciem kapelusza i łaskawie wyniosłym uśmiechem.

Już schodził do szalupy, gdy kapelan szepnął coś Bignallowi na ucho. Gospodarz zawołał gościa i przeprosił; chciałby mu powiedzieć jeszcze słówko. Wraz z kapelanem odprowadzili go na bok. Korsarz zachował podziwu godny spokój. Ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy.

— Kapitanie, czy ma pan na okręcie duchownego? — spytał weteran.

— Dwóch — bez zajknięcia odrzekł Korsarz.

— Dwóch! W życiu nie słyszałem o dwóch kapelanach na okręcie wojennym! (Przy jego stosunkach

na dworze mógłby mieć nawet biskupa na pokładzie — pomyślał). To miał pan szczęście, bo ja. obecność kapelana na „Jastrzębiu” zawdzięczam raczej przyjaźni. Jak pan wie, na wielu okrętach wojennych marynarze są pozbawieni duchowej opieki. Mój czcigodny przyjaciel właśnie prosił mnie, bym zapytał, czy pański kapelan, ściślej mówiąc pańscy kapelani, nie zechcieliby przyjąć mego zaproszenia. Jak to mówią, czym chata bogata.

— Ależ proszę bardzo. Będzie pan miał, kapitanie, całe moje duchowieństwo.

— I jeszcze jedno. Nic o tym nie mówiłem, ale to się rozumie samo przez się, że liczymy także na obecność pańskiego zastępcy.

— A! Żywego czy umarłego — będziecie go mieli. To pewne! Powiedział to tak gwałtownym tonem, że obaj rozmówcy aż zadrżeli ze zdziwienia.

— No — dodał. — Jeszcze raz żegnam panów.

Uklonił się, zszedł po trapie. Schodząc otaksował okiem takielunek „Jastrzębia”, podobnie jak stołeczny krawiec patrzy na ubranko prowincjała.

Bignall jeszcze raz powtórzył zaproszenie i pomachał mu ręką. Gdybyż wiedział, jaki ptaszek wymknął mu się z rąk i jak blisko był upragnionego awansu!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Aha — mruknął Korsarz, gdy szalupa mijala rufę „Jastrzębia”. — Będziecie mieli bankiet, a jakże! Wątpię tylko, czy najemnym sługom króla przypadną do gustu dania, jakimi my ich poczęstujemy. Ciągnijcie, chłopaki, co sił! — powiedział normalnym już głosem. — Za godzinę wszystko, co ma ten stary osioł, będzie wasze!

Piraci przy wiosłach krzyczeli by z radości, gdyby nie wiedzieli, że polityka wymaga trzymania języków za zębami. Wiosła śmigaly im w rękach. W minutę później byli już pod osłoną dział „Delfina”.

Kiedy Korsarz stanął na pokładzie, po błyskach w jego oczach załoga od razu poznała, że zbliża się wielka chwila. Słowem się do nikogo nie odezwał i szybko zszedł do kajuty. Albo zapomniał, że odstąpił ją damom, albo był tak podniecony, że zlekceważył względy uprzejmości. Obie niewiasty struchlały, gdy nagle wszedł i wyrznął pięścią w gong.

— Proszę powiedzieć pierwszemu oficerowi, że na niego czekam — rozkazał surowym tonem marynarzowi, który zameldował się na wezwanie.

W drzwiach stanął Wilder. Najbystrzejszy obserwator nie poznałby po spokojnej twarzy kapitana, jak straszne namiętności szarpią mu serce. Opanował się już zupełnie i przypomniał sobie, że wtargnął do kajuty, którą odstąpił paniom.

— Tak się paliłem do rozmowy z przyjacielem — powiedział — że na śmierć zapomniałem o

obecności miłych i czciwych pań w tej kajucie.

— Niepotrzebnie pan się tłumaczy — z godnością odparła guwernantka. — Może pan się tutaj czuć jak u siebie w domu.

Poprosił, by usiadły. Odstępując od przyjętych zwyczajów z uprzejmym uśmiechem wskazał krzesło Wilderowi.

— „Jastrząb” nie przynosi ujmy królewskim stoczniom — powiedział z szelmowskim uśmiechem do Wildera. — Natomiast dowódcą można było mianować tęższą głowę.

— Kapitan Bignall ma opinię dzielnego oficera i zacnego człowieka. — Gdyby nie był dzielny i zacny, cóż by z niego zostało? Nie mogę powiedzieć przy paniach. Bignall dał mi do zrozumienia, że wysłano go na te wody z zadaniem wytropienia statku, o którym wszyscy słyszeliśmy tyle dobrych i złych rzeczy. Miał niewątpliwie na myśli statek powszechnie, choć nieściśle, nazwany „Czerwonym Korsarzem”. Zauważył, że pani Wyllys zadrżała, a Gertruda kurczowo chwyciła ją za rękę. Udał jednak, że nic nie widzi. Zachowywał się z największą swobodą, w czym, trzeba to przyznać, dzielnie sekundował mu Wilder.

— Kapitan Bignall podjął się wielce niebezpiecznego zadania i co gorzej nierokującego powodzenia — zauważył Wilder.

— Właśnie. Ale on jest jak najlepszej myśli.

— Pewnie, jak wielu innych, ma fałszywe wyobrażenie o człowieku, którego poszukuje.

— Na czym polega jego błąd?

— Myśli, że ujrzy zwykłego pirata, że jest to człowiek nieokrzesany, brutalny, bez serca. Będzie bardzo zdziwiony.

— Aha. Tak czy inaczej, spotka się z Korsarzem. Czy nie wydaje się panu trochę dziwne, że taki doświadczony oficer szuka Korsarza właśnie tutaj, na morskiej pustyni? Przecież piraci buszują zawsze na uczęszczanych szlakach.

— Może wytropił go podczas przeprawy przez wąskie cieśniny i potem płynął jego śladem.

— Nie jest to wykluczone — odrzekł Korsarz marszcząc czoło. — Wasi świetni marynarze cudownie wyczuwają wiatry i prądy i żeglują jak ptaki niebieskie. Ale Bignall nie mógł wiedzieć, jak wygląda poszukiwany przez niego żaglowiec.

Pod świdrującym spojrzeniem Korsarza Wilder spuścił oczy.

— Może wie — powiedział.

— Może. Przypomniało mi się teraz, że Bignall napomknął coś o szpiegu nasłanym Korsarzowi. Co więcej, wyznał mi wprost, iż powodzenie obławy na Korsarza zależy od sprytu tego osobnika oraz

informacji, jakie przekaże. Ten agent podobno zdobył sobie zaufanie herszta piratów. Uzyskane dzięki temu wiadomości o zamiarach Korsarza ów sprytny szpieg ma przekazywać marynarce wojennej w zawczasu umówiony sposób.

— Wymienił nazwisko agenta?

— Tak.

— Kto nim jest?

— Henry Ark, inaczej Wilder.

— Nie będę się wypierał. Na nic by się to nie zdało. Wie pan, kim jestem.

Wilder wstał z krzesła.

— Tak, podłym zdrajcą, mój panie.

— Kapitanie Heidegger, jestem w pańskich rękach i łatwo panu mnie obrażać.

Korsarz zaciskał zęby starając się ostudzić gniew, który w nim wrzał.

— O tym też złoży pan raport swoim przełożonym — powiedział zjadliwie. — Jak ten potwór morski, który grabi bezbronych rybaków, plądruje pozbawione ochrony wybrzeża i ucieka przed banderą króla Jerzego, niczym podła źmija zmykająca przed krokami nadchodzącego człowieka, jak ten łotr bez czci i wiary miał odwagę powiedzieć, co myśli, gdy się znalazł w bezpiecznej kajucie, strzeżonej przez jego stu pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby zbirów.

Wilder skrzyżował ręce na piersi.

— Chciałem uwolnić ocean od plagi, jaka się na nim rozpanoszyła. Wiedziałem, czym mi to grozi, i teraz niczego się nie boję.

— A to świetnie! — odparł Korsarz. Uderzył w gong. Wszedł marynarz.

— Murzyna i jego kolegę zakuć w kajdany! Dopilnować, żeby pod żadnym pozorem ani głosem, ani sygnałami nie mogli porozumieć się z tamtym okrętem.

— Panie Wilder — podjął Korsarz, gdy marynarz wyszedł. — Wystarczy, że otworzę te drzwi, a ludzie dowiedzą się, z jakim zdrajcą mieli do czynienia i zawisnie pan na rei wraz z obu nędznymi współnikami. I będzie to zgodne z prawem obowiązującym na tym statku.

— Nie robi pan tego! — zawołała przeraźliwie pani Wyllys. — Zerwał pan wszystkie więzy ze światem uczciwych ludzi, ale nie jesteś istotą pozbawioną ludzkiego serca. Zaklinam cię na wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa, na czułą opiekę matki, jakiej na pewno zaznałeś, na wszystko, co było ci kiedyś bliskie i drogie, zaklinam cię na Boga, jeśli Jego imię jeszcze coś dla ciebie znaczy, daruj życie temu niewinnemu człowiekowi.

— A co on chciał zrobić ze mną i moimi ludźmi? — ochrypłym głosem spytał Korsarz.

— Prawa boskie i ludzkie są po jego stronie. Rozsądek przemawia do ciebie przez moje usta, a ludzkie uczucia muszą znaleźć dostęp do twego serca.

— Czy to nie nazbyt górne i śmiałe słowa? I kogo mają one przekonać? Zapomina pani, że mówi do krwawego zbirą, bez serca i sumienia.

Z dumnym uśmiechem Korsarz rozejrzał się wokół.

— To słowa prawdy. Nie pozostanie pan głuchy...

— Dosyć, moja pani.

Podniósł rękę gestem pełnym godności.

— Powziąłem decyzję, zanim czcigodna pani się odezwała. Żadne nauki ani żadne groźby nie miały do mnie dostępu i niczego nie mogły zmienić. Panie Wilder, jest pan wolny. Choć nie służył mi pan tak wiernie, jak się tego spodziewałem, dał mi pan cenną lekcję czytania ludzkiej fizjognomii. Tej nauki nie zapomnę do końca życia.

Maska spokoju i pewności siebie opadła z twarzy Wildera. Stał upokorzony, pełen wstydu i żalu.

— Proszę odejść — powiedział Korsarz. — I wrócić na pański okręt. Powtarzam, jest pan wolny.

— Kapitanie Heidegger, nie mogę rozstać się z panem bez słowa usprawiedliwienia.

— Co? Czyżby tropiony jak zwierz, wyjęty spod prawa, skazany na haniebną śmierć rozbójnik morski mógł żądać wyjaśnień? Czy wiernemu słudze korony własne cnoty nie wystarczają i musi mieć jeszcze rozgrzeszenie z rąk korsarza?

Wilder zaczerwienił się po uszy.

— Może pan mówić, co pan chce — powiedział. — Pańskie strzały mnie nie dosięgają. Ale nie chciałbym odejść z brzemieniem pogardy, jaką pan do mnie czuje.

— Proszę się nie krępować. Jest pan moim gościem. Słucham. Najostrzejsze wyrzuty nie dotknęłyby Wildera tak boleśnie jak wyrozumiałość Korsarza.

— Zapał w służbie — powiedział — którą uważał pan kiedyś za zaszczytną, sprawił, że zdecydowałem się rzucić na szalę własne życie, a nawet przybrać maskę obłudy, aby dokonać czynu, który zjednałby mi nagrodę i powszechne uznanie. Takie były moje intencje, gdy się ważyłem na to niebezpieczne przedsięwzięcie. Ale wzywam niebo na świadka, że pańskie męstwo, szczerłość i zaufanie mnie rozbroiły, ledwie postawiłem nogę na pokładzie pańskiego statku.

— A jednak się pan nie wycofał?



— Powstrzymały mnie od tego bardzo ważne powody — odparł oskarżony i mimo woli popatrzył na panie. — W Newport dotrzymałem słowa. Gdyby moi dwaj towarzysze nie zostali na pańskim statku, moja noga nigdy więcej nie stanęłaby na jego pokładzie.

— Chciałbym ci wierzyć, młody człowieku. Myślę, że dobrze cię rozumiem. Prowadziłeś niebezpieczną grę. Kiedyś będziesz się cieszył, żeś przegrał. Idź. Łódź odwiezie cię na pokład „Jastrzębia”.

— Proszę się nie łudzić, kapitanie, że pański szlachetny gest każe mi zapomnieć o tym, co jest moim najświętszym obowiązkiem. Dowódca „Jastrzębia” natychmiast dowie się ode mnie, kogo gościł na statku.

— Jestem na to przygotowany.

— Bitwy, jaka się wywiąże, nie będę obserwował z założonymi rękami. Może mnie pan zabić. Jeśli wyjdę stąd cało, będę pańskim wrogiem.

— Wilder! — zawołał Korsarz z dziwnym uśmiechem ściskając mu rękę. — Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej! Nic na to nie —poradzimy. Odejdź. Gdyby moi ludzie dowiedzieli się prawdy, nie zdołałbym ich powstrzymać.

— Nie przyszedłem tu sam. Korsarz cofnął się o krok.

— Czy nie dosyć — spytał chłodnym tonem — że darowałem ci życie i zwracam wolność?

— Na co panu nieszczęsne, bezbronne kobiety na pokładzie korsarskiego statku?

— Czy mam do śmierci pozostać sam?

— Kapitanie Heidegger! Przyrzekł mi pan kiedyś bronić tych niewiast. Wiem, że to było szczerze.

— Wcale o tym nie zapomniałem. Ale gdzież pan je weźmie? Nigdy nie wiadomo, który okręt jest bezpieczniejszy. Jeśli będzie pan zwlekał, nawet moja władza pana nie uratuje.

— Nie opuszczę ich!

— Poruczniku Ark! Będzie pan tak długo igrał z moją dobrocią, aż pożegna się pan z tym światem!

— Nie dbam o życie.

— Drogi panie! Tak się pan szczyci tą znajomością, a przecież razem zobaczyliśmy obie panie po raz pierwszy. Skąd pan wie, że życzą sobie, by pan był ich opiekunem! Nie zaprzeczają chyba, iż rzetelnie wywiązałem się z obowiązków gospodarza. Powiedz, piękna pani, kogo wybierasz na swego opiekuna.

Z miłym uśmiechem podszedł do Gertrudy.

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła zasłaniając twarz rękami, jakby spojrział na nią odrażający bazyliszek. — Jeśli ma pan litość w sercu, pozwoli nam opuścić ten statek.

Lodowaty uśmiech pojawił się na ustach Korsarza. Z trudem panował nad sobą. Był zgnębiony i nie mógł tego ukryć. Zwrócił się do pani Wyllys.

— Wszyscy się ode mnie odwrócili — powiedział z chrypką w głosie. — Drogo muszę za to zapłacić. Mój statek i moja kajuta są do dyspozycji pań. Jeśli panie nie chcą tu zostać, wolna droga.

— Oddamy się pod opiekę prawa — odparła guwernantka. — Da Bóg...

— Dosyć. Odejdą panie wraz z ich przyjacielem. Nie będzie to wielki ubytek dla statku, tylko moje serce zostanie puste.

Uderzył w gong. Kazał odprowadzić Fida i Murzyna do łodzi i przenieść tam resztki bagażu obu pań. Podał ramię pani Wyllys. Ku zdumieniu całej załogi przeprowadził ją w ten sposób przez pokład. Guwernantka, Gertruda; Wilder, Fid, Scypio i Kasandra siedli w łodzi. Marynarze chwycili wiosła. Korsarz z pokładu pokijał im ręką i zniknął. Wilder ponaglał wiosłarzy. Sterował łodzią tak, by jak najprędzej umknąć działom „Delfina”. W uszach brzmiały mu słowa Korsarza, że nie ręczy za swoich ludzi.

Kiedy mijali rufę „Delfina”, dał się słyszeć donośny głos Korsarza. Wołał do kapitana „Jastrzębia”.

— Posyłam panu gości na bankiet! Między innymi obie nasze duchowne sukienki!

Przeprawa była krótka. Zanim ochłonęli, już wchodzili po trapie na pokład „Jastrzębia”.

— Wielkie nieba! — zawołał kapitan Bignall na widok niewiast w łodzi. — Ratuj się kto może, kapelanie. Popatrz, jakie sukienki przysłał nam ten szaleniec i bezbożnik! Nietrudno się domyślić, skąd je wziął. Ale głowa do góry! Na głębokich wodach nawet kapelan może się zapomnieć.

Stary wilk morski był, jak widać, w doskonałym humorze i rubasznie pokpiwał sobie z czcigodnej osoby swego przyjaciela. Ale gdy na pokład weszła Gertruda z policzkami jeszcze rozplamionymi po burzliwej scenie w kajucie Korsarza, Bignall aż przetarł” oczy ze zdumienia. Nie byłby chyba bardziej zdziwiony, gdyby prawdziwy anioł sfrunął na pokład okrętu.

— A to łotr nikczemny! — zawołał. — Jak śmiał takie cudo sprowadzić na manowce!

Dopiero teraz zobaczył Wildera. Obrócił oczy w słupek.

— Co? Na Boga, toż to mój porucznik! Co się dzieje, panie Ark! Z nieba pan spadł?

Równocześnie krzyknęła pani Wyllys i zawtórował jej kapelan.

— Kapitanie — powiedział duchowny wskazując panią Wyllys słaniającą się na nogach i dzielnie podtrzymywaną przez Wildera. — Popełniłeś wielki błąd. Dwadzieścia lat minęło, jak poznałem tę damę, ale mogę cię zapewnić, że jest osobą godną najwyższego szacunku. — Gertrudo, gdzie

jesteśmy? — wyszeptała pani Wyllys. — Proszę mnie zaprowadzić do kajuty. Słabo mi.

W kajucie pani Wyllys szybko odzyskała siły.

— Po tylu, tylu latach! — powiedziała. — Wiesz, Gertrudo, ten duchowny połączył mnie kiedyś ślubem z człowiekiem, który był dumą i szczęściem mojego życia.

Kapelan schylił się nad jej głową.

— Nie płacz, niewiasto — powiedział. — Twój mąż odszedł od ciebie wcześniej, ale umarł śmiercią, która przyniosła mu chwałę i wieczną pamięć u potomnych.

— Przyjęłam z pokorą ten cios i karę za nieposzanowanie woli mego ojca, który może był zbyt surowy, ale przecież szczerze mnie kochał. — Niezbadane są wyroki nieba.

— Powiedz, ojcie duchowny, jak spędziłeś te lata?

— Jestem tylko pokornym pasterzem moich owieczek — odparł kapelan. — Byłem na wielu morzach, widziałem w swej pielgrzymce wiele obcych twarzy. Niedawno wróciłem z Dalekiego Wschodu. Pozwolono mi spędzić jeden miesiąc na okręcie mego najserdeczniejszego przyjaciela ze szkolnej ławy.

Pani jest córką kapitana marynarki, świętej pamięci Jamesa Whitinga, i wdową po synu naszego dawnego dowódcy, admirała de Lacey — wyjaśnił kapelan.

— Znałem admirała i kapitana — odparł Bignall — Dzielni to byli ludzie i świetni marynarze. Tym milej mi powitać panią na moim okręcie. — De Lacey! — szepnęła Gertruda ze łzami w oczach.

— Prawo pozwala mi nosić to nazwisko — powiedziała pani Wyllys — ale nigdy z tego zaszczytu nie korzystałam.

(Uszanujemy wolę zacnej wdowy, znanej czytelnikowi jako pani Wyllys, i pozostaniemy przy tym nazwisku do końca naszej powieści).

— Teraz — ciągnęła pani Wyllys — gdy tajemnica się wydała, powiem ci, droga Gertrudo, jak to było. Mój ojciec dowodził okrętem flagowym admirała. Z konieczności często widywałam jego syna. Wiedziałam, że mój ojciec jest zbyt biedny i zbyt dumny, aby pozwolił nam się pobrać. Wzięliśmy więc ślub w tajemnicy, obecny tu pastor Merton nam pobłogosławił, a nasi ojcowie nigdy się o tym nie dowiedzieli. Śmierć... Łzy ścisnęły jej gardło. Dała znak kapelanowi, by dokończył za nią.

— Młody de Lacey i jego teść zginęli w jednej bitwie. Nawet pani nie wie, jak się to stało. Byłem jedynym świadkiem ich śmierci. Stało się to w miesiąc po waszym ślubie. Ich krew się zmieszała i pani ojciec błogosławił: młodemu de Lacey, nie wiedząc, że błogosławi własnemu zięciowi.

— I nie dowiedział się o naszym ślubie?

— Nie. Młody de Lacey zmarł pierwszy, na piersi pani ojca, który kochał go jak syna.

— Okłamałam własnego ojca i Bóg mnie za to ciężko pokarał!

— Wszystko minęło, zapomnijmy o smutnej, przeszłości — powiedziała płacząc Gertruda. — Pani mnie wychowała, kocham panią jak matkę!

— Harry! — zawołał Bignall chrząkając ponad zwykłą miarę i przecierając oczy. — Cóż się tak zamyślił? Pojęcia nie mam, skąd się tu wzięłeś. Jak się to stało, że służysz na innym królewskim okręcie, zamiast nosić na oczach maskę korsarza? I dlaczego ten młody panicz i ladaco jest twoim przełożonym?

Wilder westchnął głęboko, jakby się obudził ze snu. Bignall wziął go pod ramię i opuścili kajutę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dowódca „Jastrzębia” i jego zastępca nic nie mówiąc wyszli na pokład.

Wilder niespokojnym wzrokiem poszukał „Delfina”. Piękny żaglowiec leżał tam, gdzie go przed chwilą zostawił, i zachwycał oko smukłą i szlachetną sylwetką. Wilder zauważył jednak, że przednie reje zostały przebrasowane i wietrzyk wypełnia rozwinięte na nich żagle. Statek wolno, majestatycznie poruszył się z miejsca. Ale nic nie wskazywało, by chciał uciec. Wprost przeciwnie, górne, lekkie żagle były zwinięte, a załoga ścigała właśnie na pokład reje, niezbędne w razie ucieczki. Doświadczony marynarz zrozumiał, że „Delfin” szykuje się do bitwy.

— Widzi pan — powiedział zrzędlwym tonem Bignall. — Pański marynarz z królewskiej kawalerii bawi się okrętem jak mały chłopiec. Czyżby zapomniał, że zaprosiłem go na kolację? Mam jednak nadzieję, że apetyt przypomni mu o tym zaproszeniu. Mógłby podnieść banderę w obecności starszego kolegi, korona nie spadłaby mu z głowy. Popatrz no! Rejami manewruje ten panicz znakomicie. Ręczę ci, że ma świetną niańkę w postaci zastępcy, pewnie niewysoko urodzonego, ale za to marynarza co się zowie! Już widzę, jak się będzie nadymał przy kolacji: „Na moim okręcie, moi oficerowie, moje zuchy... ja tego u siebie nie toleruję...” i tak dalej. Znasz jego zastępcę?

— Mało jest równie znakomitych marynarzy jak dowódca tamtego okrętu — odparł Wilder.

— Diabła tam! Musiałeś go trochę poduczyć i teraz małpuje nasze sposoby. Już ja go przejrzałem.

— Zapewniam pana, kapitanie, że grubo by się mylił, kto by liczył na ignorancję tego niezwyklego człowieka.

— Mnie niczego nie trzeba powtarzać dwa razy. Już, wszystko zrozumiałem. To kawalarz i zarty sobie stroił z marynarza starej daty, za jakiego mnie uważa. Nie jest to pierwszy rejs w jego życiu. Sam powiedz.

— To dziecko morza. Od lat blisko trzydziestu tłucze się na statkach.

— Okazuje się, że ten gałgan bawił się moim kosztem. Sam mi powiedział, że jutro kończy dwadzieścia trzy lata.

— Okłamał pana, słowo daję.

— Nie wiem, nie wiem. Mnie nie tak łatwo nabrać na fundusz. Sześćdziesiąt cztery lata robi swoje. Zna się świat i ludzi. Lata czuje się nie tylko w kościach, ale i w głowie! Zbiera się tam nielichy zapas doświadczenia. Może trochę za nisko go oceniłem jako marynarza, co się jednak tyczy wieku, nie o wiele mogłem się pomylić. Ale gdzież u licha on się wybiera? Chyba nie popłynie po swą jaśnie oświeconą mamę, żeby go wprowadziła za rączkę na nasze przyjęcie.

— Widział pan? Rzeczywiście oddała się od nas! — zawołał Wilder z radością, która trochę bystrzszemu od Bignalla obserwatorowi na pewno by dała do myślenia.

— Panie Ark, niech pan posłucha! Mam wielką ochotę dać temu młokosowi lekcję szacunku dla starszych oficerów. Niech się trochę przeleci, to mu zaostrzy apetyt! W najbliższych raportach do admiralicji będzie i o tym mógł napisać. Jak mi Bóg miły, zaraz to zrobimy. Hej tam! Rozwinąć tylne żagle! Jeśli ten gołowąs ma ochotę na morskie spacery, my też się przejedziemy.

Oficer wachtowy wykonał rozkaz kapitana. W chwilę potem „Jastrząb” sunął gładko — w przeciwnym kierunku niż „Delfin”. Stary marynarz był zachwycony sobą. Oczy mu się świeciły, chichotał, zacierał ręce, biegał po pokładzie. Był tak przejęty, że o wszystkim innym zapomniał. Dopiero gdy okręty znalazły się w przyzwoitej odległości jeden od drugiego, podszedł do Wildera, który nie ruszył się z miejsca, i powiedział:

— Nasz bawidamek opisze ten manewr w swoim dzienniku okrętowym. I długi spacer łodzią przed proszoną kolacją. Nie ma co, to się nam udało! Ale powiedzże mi, mój drogi, jakim cudem znalazłeś się na jego okręcie?

— Rozbiłem się, panie kapitanie. Stało się to krótko po wysłaniu ostatniego listu do pana.

— Co ty mówisz? I Czerwonego Korsarza nareszcie rybki jedzą? — Niestety, o którym mówię, przydarzyło się statkowi handlowemu z Bristolu, na którym byłem czymś w rodzaju kapitana. Widział pan? Pański wieczorny gość sunie wolno na północ. — Niech sobie płynie, gdzie mu się podoba. Nie ja do niego, tylko on do mnie ma przyjść na kolację. Nadłoży trochę drogi, to mu dobrze zrobi. Więc jak to było? Aha. Rozbiłeś się i królewski okręt „Antylopa” wyciągnął cię z wody. Już wszystko wiem. Staremu marynarzowi wystarczy jedno słowo. Ale po kiego diabła kapitan Howard udawał, że nie zna twego nazwiska, gdy ujrzał je u mnie na liście?

— Udawał, że mnie nie zna? Może...

— Ani słowa, drogi chłopcze! — przerwał mu porywczy Bignall. — Mnie staremu też się to zdarzało. Ale oni nam do pięt nie dorośli. Arogancy panicze! Nie potrzebujemy się wstydić, że stopnie oficerskie zdobywaliśmy w dobrą i złą pogodę, na morzu! Do kroćset! Karmiłem kiedyś na okręcie przez cały tydzień takiego lalusia. A kiedy potem spotkałem go przypadkiem na ulicy w Londynie, to się gapił na kościół, jakby w życiu przybytku bożego nie widział. Zapomnij o tym, Harry, że ten ananas nie przyznał się do znajomości z tobą. Mnie się gorsze rzeczy zdarzały, możesz mi wierzyć.

Wilder nareszcie dorwał się do głosu.

— Na. jego statku byłem znany pod przybranym nazwiskiem. Nawet panie, które płynęły na prowadzonym przeze mnie żaglowcu, nie wiedziały, kim jestem naprawdę.

— Bardzo roztropnie, mój drogi, postąpiłeś. Czołem, Fid. Witam na „Jastrzębiu”.

— Ja już sam to sobie powiedziałem, panie kapitanie.

Fid kręcił się po pokładzie, jakby chciał zwrócić ich uwagę na swą atletyczną postać.

— Co tu dużo gadać — dodał. — Statek, który obaj panowie widzą, to świetny żaglowiec, ma pierwszorzędnego kapitana i dzielną załogę. Ale taki już jestem, że wolę pływać na łajbie, której kapitan może na żądanie okazać papiery.

Policzki Wildera to bladły, to czerwieniły się, jak niebo pod wieczór, a oczy błędziły unikając spojrzenia kapitana.

— Panie Ark — oświadczył Bignall z dość niewyraźną miną. — Nie bardzo rozumiem, co Fid chciał powiedzieć. W królewskiej flocie każdy oficer ma patent i może go w każdej chwili okazać, inaczej grozi mu, że będzie wzięty za pirata.

— A co ja mówiłem? To samo, panie kapitanie — powiedział Fid, którego język najwidoczniej świerbił bardziej niż kiedykolwiek. — Pan kapitan jako człowiek wykształcony i bywały ma większy ładunek słów i bardzo ładnie pan to ujął. Nieraz z Afrykańskim mówiło się o tym i różne głębsze myśli przychodziły nam do głowy. „Wyobraź sobie, czarnuchu, powiadam, że nadziewamy się na okręt Jego Królewskiej Mości i działa zaczynają grzać. Co my dwaj zrobimy w takim zamieszaniu?” „Jak to, powiada mój Afrykański, stoimy przy naszym dziele i patrzymy na pana Harry'ego”. Niegłupio powiedziane, musiałem mu to przyznać. Ale, uczciwszy uszy obecnego tu pana Harry'ego i naturalnie pana kapitana, pozwoliłem sobie wtedy zauważyć do Murzyna, że wolałbym paść trupem na przyzwoitym statku niż, za przeproszeniem, rozbójniczym.

— Rozbójniczym! — krzyknął Bignall równocześnie otwierając szeroko oczy i usta.

— Panie kapitanie — odezwał się Wilder. — Może milcząc tak długo popełniłem niewybaczalny błąd. Ale gdy pan mnie wysłucha, mam nadzieję, że znajdzie pan w moim opowiadaniu okoliczności łagodzące. Żaglowiec, który pan widzi, jest statkiem głośnego Czerwonego Korsarza... Proszę, niech mi pan pozwoli skończyć. Zaklinam pana, przez pamięć na tyle dobrego, co pan dla mnie uczynił, aby najpierw mnie pan wysłuchał, a potem sądził.

Powaga i stanowczość młodego oficera skłoniły starego impetyka do pohamowania gniewu i oburzenia. Gryząc wargi wysłuchał uważnie krótkiego, ale treściwego opowiadania Wildera. Co więcej, zanim — ten skończył, zacny kapitan był skłonny podzielać uczucia szacunku i wdzięczności, jakie kierowały młodym oficerem, gdy nie znalazł słów potępienia dla człowieka, który tak wspaniałomyślnie go potraktował.

— To doprawdy niezwykła historia! — zawołał Bignall, gdy Wilder skończył. — Boże, jaka szkoda,

że ten dzielny człowiek tak nisko upadł! Słuchaj, Harry, mimo wszystko nie możemy dać mu umknąć. Musimy pójść za głosem obowiązku i sumienia. Zmienimy kurs i ruszymy w pościg. Jeśli słowa nie przemówią mu do rozsądku, głos zabiorą działa.

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości — przyznał z westchnieniem Wilder.

— Spełnimy nasz święty obowiązek, mój chłopcze. A więc ten wyszczekany lalusz, którego mi Korsarz tu przysłał, nie był kapitanem statku. W każdym razie miał maniery dobrze urodzonego młodzieńca. Na te rzeczy mam dobre oko. Pewnie to wyrodek jakiejś godnej szacunku rodziny. Arystokraty nie da się podrobić. Wieki się złożyły na to, jak mówi, jak się rusza, jak dziękuje za poczęstunek. Wiesz, musimy zachować w tajemnicy jego nazwisko, żeby nie ucierpiało dobre imię zasłużonego rodu. Arystokratyczne filary, choć się rysują i pękają tu i ówdzie ze starości, są jednak podporą naszego tronu i nie można pozwolić, by zwykli śmiertelnicy wścibiali nos w rodzinne sekrety, od których kataru można dostać.

— Gościem na „Jastrzębiu” był Korsarz w swej własnej osobie!

— Ha! Czerwony Korsarz na moim okręcie i przed moim obliczem! Ha, ha! Kpisz sobie, mój panie!

— Tyle panu zawdzięczam, że nigdy bym nie pozwolił sobie na niestosowne żarty w pańskiej obecności. Daję panu uroczyste słowo, że to był Korsarz!

— Ależ to nie do wiary! Jakaś historia nie z tego świata! Przedzierzgnął się w młodego bawidamka tak idealnie, że wywiódł w pole starego lisa, człowieka, który, bez przesady, czyta w ludzkich twarzach z zamkniętymi oczami! A, do stu tysięcy beczek czarnego prochu! Bodaj szczęł pod płótem! A to szelma! Nie miał ani sumiastych wąsów, nie łypał okiem, nie mówił chrapliwym głosem. Przecież tylu ludzi widziało Korsarza i na podstawie ich zeznań można by namalować dokładny jego portret. Nic się nie zgadzało, po prostu całkiem inny człowiek!

— Opowiadano o nim niestworzone historie. Ludziom w takich wypadkach nie brakuje fantazji. Ten przystojny, czarujący młodzieniec to Korsarz i nie ma na to rady. Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie, jak powiada przysłowie.

— Ale nawet wzrostu jest niewielkiego!

— W tym niedużym ciele żyje duch olbrzyma, panie kapitanie.

— Czy myśli pan, poruczniku, że to ten sam statek, z którym spotkaliśmy się w marcu?

— Z wszelką pewnością.

— Słuchaj, Harry. Przez wzgląd na ciebie postąpię wspaniałomyślnie wobec tego łotra. Raz mi się wymknął, bo straciliśmy maszt i burza okrutnie nas tłukła. Ale dziś jest piękna pogoda, morze łagodne jak dziecko w kołysce. Mam go w garści. Nie będzie chyba uciekał?

— Obawiam się, że nie.

— Nie ma żadnych widoków wygrania tej bitwy. Ale spróbujemy najpierw załatwić sprawę na drodze rokowań pokojowych, skoro to taki zuch i tak ci przypadł do serca. Czy podjąłbyś się być posłem i przekazać mu moje warunki?... Chociaż boję się, że humor może mu się popsuć, a wtedy życiem przypłacisz twoje dobre serce.

— Ręczę za jego honor! — zawołał Wilder. — Niech pan każe wystrzelić z działa od zawietrznej. Trzeba użyć wszystkich pokojowych sygnałów, na grotmaszcie podnieść białą flagę. Biorę na siebie każde niebezpieczeństwo, byłem mógł skłonić go do powrotu na łono społeczeństwa.

— Do licha! Oto misja godna prawdziwego chrześcijanina! — powiedział kapitan po krótkim namyśle. — Za to może kiedyś dostaniemy lepsze kajuty w niebie. Zgadzam się na rokowania.

Kapitan wydał odpowiednie rozkazy. Statek wykonał zwrot pod wiatr. Wystrzał armatni od zawietrznej oznajmił pokojowe zamiary. Spuszczono angielską banderę, na wierzchołku grotmasztu ukazała się biała flaga. Były to znaki jasne dla każdego marynarza. Nastąpiła pełna napięcia chwila oczekiwania. Korsarz odpowiedział tym samym językiem. Droga do pertraktacji była otwarta.

— Podejźmy do niego — powiedział Bignall — a gdy się znajdziemy w przyzwoitej odległości, weźmie pan szalupę.

W odległości pół strzału armatniego od „Delfina” „Jastrząb” stanął w dryf. Spuszczono szalupę, wsiedli wioślarze, na dziobie zatknięto białą flagę.

Kapitan po raz nie wiadomo który powtórzył Wilderowi swoje instrukcje, rady i przestrogi.

— Przedstaw mu sprawę jasno — mówił — powiedz, jaką mamy nad nim przewagę. Jeśli to człowiek rozsądny, może zdołasz go przekonać. Możesz posunąć się tak daleko, żeby obiecać mu ulaskawienie, pod warunkiem, że spełni wszystkie moje żądania, w każdym razie powiedz, iż użyjemy wszelkich wpływów, aby darowano winy, przynajmniej samemu Korsarzowi, o załodze lepiej nie wspominać... Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze. Nie gadaj o stratach, jakie ponieśliśmy w marcu, to nie jego sprawa... No, bądź zdrow! Życzę powodzenia!

Szalupa odpłynęła.

Ledwie Wilder stanął na pokładzie „Delfina”, otoczyły go ze wszystkich stron dzikie, nienawistne spojrzenia. Ale czekał na niego Korsarz. Wilder już otworzył usta, chciał coś powiedzieć. Korsarz dał mu znak, by milczał. Natychmiast zeszli do kajuty.

— Ludzie snują różne domysły i szemrzą — zaczął gospodarz. — Dziwne manewry obu okrętów wzbudziły podejrzenia. Panie Ark, źle pan zrobił, że pan tu wrócił.

— Przybyłem na rozkaz mojego przełożonego jako parlamentariusz.

— Nie jesteśmy znawcami prawa, a nowa rola, jakiej się podjąłeś, przyjacielu, nie daje ci żadnych przywilejów w oczach załogi, która poznała cię w innym przebraniu. Domyślam się, że chciałby pan coś mi obwieścić.



— Tak, ale tylko panu. Nie jesteśmy sami.

— Proszę nie zwracać uwagi na chłopca. Potrafi być głuchy jak pień.

— Tylko panu mogę przekazać propozycje, z którymi mnie wysłano.

— Powtarzam, że Roderick jest głuchy jak pień.

— Dobrze. Dowódca „Jastrzębia”, działając z woli naszego monarchy, Jerzego II, polecił mi przekazać panu pod rozwagę następujące propozycje: Pod warunkiem, że wyda pan w jego ręce statek, z pełnym wyposażeniem, bronią i amunicją, mój dowódca zadowolony się „wzięciem dziesięciu zakładników, których nazwiska zostaną wylosowane, oraz pana i jednego z oficerów. Pozostali członkowie załogi będą przyjęci do służby w królewskiej marynarce albo, gdyby im to nie odpowiadało, będą puszczeni wolno, aby mogli znaleźć sobie uczciwsze i bezpieczniejsze zajęcia.

— Zaiste, królewska wspaniałomyślność! Powinienem uklęknąć i ucałować pokład u stóp mego dobroczyńcy.

— Powtarzam tylko słowa dowódcy „Jastrzębia”. Co się tyczy pańskiej osoby, przyrzeka dołożyć starań, by został pan ulaskawiony, pod warunkiem, że opuści pan morze i na zawsze zrzeknie się obywatelstwa angielskiego.

— Drugi warunek jest łatwy do spełnienia. Proszę złożyć na ręce pańskiego dowódcy moją rezygnację z obywatelstwa angielskiego. Czy mógłbym wiedzieć, czemu zawdzięcza tyle wyrozumiałości człowiek od tak dawna wyjęty spod prawa?

— Kapitan Bignall słyszał o tym, jak szlachetnie postąpił pań z jego oficerem i jak pięknie się pan znalazł wobec córki marynarza i wdowy po marynarzu, jego dawnych towarzyszy broni. Mój dowódca przyznaje, że pogłoski, jakie o panu krążyły, były krzywdzące.

— Czy to wszystko?

— Nie. Oto wykaz uzbrojenia „Jastrzębia”. Proszę się z nim zapoznać. Zrozumie pan, że wszelki opór jest bezcelowy, i przyjmie warunki kapitulacji. — A pan co o tym sądzi? — z szelmowskim uśmiechem spytał Korsarz wyciągając rękę po dokument.

Ujrzał śmiertelną powagę na twarzy Wildera. Przybrał godną minę.

— Przepraszam — dodał gospodarz — że się uśmiechnąłem w tak uroczystej chwili.

Szybko przejrzał wykaz uzbrojenia.; W paru miejscach zatrzymał wzrok, podniósł brwi, pokiwał głową.

— Wasza przewaga nie ulega wątpliwości — powiedział. — Co pan. by mi radził? Dotąd kapitan Bignall mówił przez pańskie usta.

Wilder zaczerwienił się.

— Nie będę ukrywał, że gdyby warunki kapitulacji zależały tylko ode mnie, wyglądałyby inaczej. Mimo to, pomny długu wdzięczności, jaki wobec pana zaciągnąłem, gorąco pana namawiam na ich przyjęcie. Na pewno nie narażą one na szwank pańskiego honoru. Przecież droga, na której się pan znalazł, nie prowadzi do sławy, a pańskie postęпки nie mogą przynieść panu zadowolenia.

— Nie wiedziałem, że gościłem na „Delfinie” tak znakomitego kaznodzieję. Czy jeszcze, coś chciałby mi pan powiedzieć?

— Nie.

— Tak! — zawołał Roderick. — Niech pan go nie opuszcza! Jeśli chce pan ocalić Korsarza, proszę powiedzieć mu o jego świetnym nazwisku, szczęśliwej młodości, matce, którą tak kochał i której do dziś nie zapomniał. Jeśli trafi mu pan do serca, nie będzie głuchy na pańskie słowa!

— Ten smarkacz oszalał — powiedział Korsarz.

— Wiem, co mówię! — wołał chłopak. — Panie Wilder, proszę zabrać ten papier! Pogrózkami nic pan z nim nie wskóra. Jeszcze się bardziej zawezmie. Niech pan przemówi do niego jak do człowieka, a na pewno posłucha pańskiej rady.

— Głupstwa wygadujesz, moje dziecko, aż przykro słuchać..

— Walter! — krzyknął chłopak z rozpaczą. — Wiesz, że to nie są. głupstwa. Nie udawaj innego niż jesteś. Panie Wilder, niechże pan coś powie.

— Ten chłopak przeraził się waszych armat. Boi się gniewu srogiego monarchy. Panie Wilder, niech go pan weźmie do swej szalupy i poleci miłosierdziu pańskiego dowódcy.

— Nie! — zawołał Roderick. — Nie opuszczę cię, Walter! Mam tylko ciebie na świecie!

— Słuchaj, Wilder. Weź ten worek złota i oddaj chłopca pod opiekę tej dobrej kobiety, która czuwa nad ową czarującą niewinną istotą.

— A ja jestem winny! Walter, powiedz to słowo. Złota mi nie trzeba. Zaraz się go pozbędę, ale ciebie nigdy nie porzucę.

Mówiąc to chwycił ciężki worek ze złotem, podbiegł do otwartego bulaju. Plusnęła woda. Worek ze złotem poszedł na dno.

— Roderick byłby kiepskim skarbnikiem — z uśmiechem powiedział Korsarz. — Stratę złota możemy sobie powetować. Ale nigdy bym nie odzyskał spokoju ducha, gdyby temu chłopcu stało się coś złego.

— Zostanę z panem — oświadczył Roderick, który już się trochę uspokoił.

— Jaką odpowiedź mam dać w pańskim imieniu? — spytał Wilder.

— Bardzo prosta. Nie będę ani szukał zaczepki, ani uciekał przed waszą wspaniałą fregatą.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Poddał się i z wdzięcznością przyjął nasze warunki? Z góry wiedziałem! — zawołał kapitan Bignall, ledwie jego ambasador wszedł na pokład.

— Przynoszę odmowę, kapitanie.

— Odmowę?! A pokazałeś mu wykaz? Chyba nie zapomniałeś uderzyć go tym argumentem jak pałką w łeb?

— Niczego nie pominąłem. Jest twardy jak kamień.

— Może mu się wydaje, że „Jastrząb” ma ciężkie skrzydła i że na swym lekkim stateczku będzie wiał jak sto diabłów i tylko jego podwinięty ogon zobaczymy.

— Niech pan popatrzy — Wilder wskazał nagie drzewca „Delfina”. — Nie widać, by się szykował do ucieczki. Zapewnił mnie, że pierwszy nie zaatakuję. Tylko tyle udało mi się uzyskać.

— Nie będzie atakował! Dziękuję. Zbytek łaski. Popatrz, jaki powściągliwy. Nie chce wystawić swej zgrai na ogień brytyjskiego okrętu wojennego. Na pewno przez szacunek dla królewskiej bandery. Zapamiętaj to sobie. Na rozprawie przed trybunałem przytoczymy jego umiar jako okoliczność łagodzącą. Proszę obsadzić działa, mój panie, i przygotować okręt do boju, trzeba skończyć z tą fanfaronadą.

— Panie kapitanie, zna mnie pan jako karnego oficera. Nigdy bym się nie ośmielił udzielać panu rad. Ale czy nie można by jeszcze trochę zaczekać?

— Czekać? Człowieku! Na co? Czyżbyś się wahał w chwili, gdy wzywa nas głos obowiązku wobec króla i rodzaju ludzkiego?

— Źle mnie pan zrozumiał. Proszę o zwłokę, abyśmy mogli dobrze się przygotować do walki, która wymaga mobilizacji wszystkich sił z naszej strony. Mamy do czynienia z niezwykle groźnym przeciwnikiem. — A jak ucieknie?

— Głowę dam sobie uciąć, że ten człowiek się nie wycofa. Znam go dobrze. W ciągu pół godziny będziemy gotowi.

Bignall zgodził się, acz bardzo niechętnie. Nie obeszło się przy tym bez mrużenia.

Wilder nie słuchał, gdyż zbyt był zajęty przygotowaniem do bitwy. Możemy jednak zdradzić czytelnikowi, co mruczał stary wilk morski: „Nasza młodzież do wszystkiego się musi przygotować. A tu trzeba wyróżnić z dział raz a dobrze i wióry polecą z tej „Antylopy” czy jak jej tam, Korsarz zaś z całą zgrają, ani się obejrzą, jak będą się smażyli w piekielnych kotłach”; Skoro jednak zrządzenie jest odwiecznym przywilejem ludzi starszych, uszanujmy siwe włosy kapitana Bignalla i nie traćmy z

oczu spraw znacznie ważniejszych.

„Jastrząb” już szybował poddając żagle wiatrowi. Ruszył się i „Delfin”. Na maszcie królewskiej fregaty powiewał znów dumny sztandar Anglii. Piracki okręt nie podniósł bandery. Obydwa okręty, niczym dwa zwaśnione drapieżne ptaki, zataczały łuki starając się zmylić przeciwnika co do swych zamiarów.

Od rana pogoda była piękna, ani jednej chmurki na niebie. Teraz na horyzoncie zaczęły się gromadzić czarne, ciężkie od wilgoci chmury.

— Na zachodzie dojrzewa huragan — powiedział Bignall do Wildera i pokazał mu palcem czarne chmury. — Zanim tu przyleci, zdążymy zmieść z powierzchni morza pirata i spokojnie odetchnąć.

— Korsarz zwija górne żagle! — zawołał Wilder. — Widocznie obawia się burzy.

— Pożałuje tego, jak go weźmiemy w ogień naszych baterii! Postawić grot, bo do nocy nie dostaniemy tego gałgana w łapy.

Rozkaz został wykonany. „Jastrząb” zwiększył szybkość. „Delfin” zwijał górne żagle, widocznie Korsarz chciał zapewnić statkowi jak największą stateczność. Bignall uważał, że odległość między okrętami jest jeszcze za duża, by można rozpocząć bitwę.

— Trzeba mu przemówić do ambicji — powiedział. — Strzelić na wiwat i podnieść jeszcze trzy angielskie bandery!

Rozległ się huk wystrzału. Trzy bandery załopotwały na masztach. „Delfin” tańczył na fali, ślepy i głuchy na wyzwanie rzucone przez królewską fregatę.

— Wobec tego zwrócimy się do niego wprost — orzekł Bignall. — Poślijcie mu kulę.

Działo wypaliło. Żelazny poseł poszybował w powietrzu, spadł w morze tuż przed „Delfinem” i opryskał wodą pokład.

Zmarnowano jeszcze dwie kule. Pewnie Korsarz wzruszył ramionami, ale nie było tego widać.

— Cóż to ma znaczyć? — dziwił się Bignall. — Czy ten statek jest zaczarowany, że się go kule nie imają? Chcieliśmy ich rozgrzać, a pryskamy im na głowy chłodną morską wodą. Mistrzu — zwrócił się do Fida. — Jakże to będzie? Dlaczego milczy twoja ukochana lufa? Nigdy nie rzucała słów na wiatr.

— Rozkaz, panie kapitanie! — krzyknął Fid. — Mary Blake zaraz się odezwie. Nazwałem ją tak przez pamięć dla pewnej słodkiej niewiasty, której nikt nie dał rady przegadać. Na bok, chłopaki, bo Mary otwiera buźkę!

Mówiąc to Fid wycelował i posłał swym niedawnym kolegom „prawy prosty”, jak to określił. Na pokład „Delfina” posypały się drzazgi, strzał był celny. Wywołało to natychmiastowy skutek. Długi pas białego płótna rozciągnięty od dziobu do rufy zniknął, jakby się rozwiął w powietrzu. Na jego

miejscu pojawił się szeroki czerwony pas, najeżony lufami dział. Równocześnie z rufy wzniosła się czerwona jak krew flaga i załopotała na maszcie.

— Do dział! — krzyknął Bignall. — Pirat przestał żartować!

Nie zdążył skończyć, gdy czerwony pas na statku Korsarza buchnął ogniem i huknęło naraz z tuzin dział ciężkiego kalibru. Przejście od obojętności na zaczepki do potężnego uderzenia było tak nagłe, że na fregacie zadrżały nawet najmężniejsze serca. Wszyscy zastygli w bezruchu. Dał się słyszeć świst nadlatującej żelaznej burzy, a potem trzask kruszącego się drzewa, zmieszany z jękami rannych, łomot desek, szczap i bloków sypiących się gradem na pokład. Ale zamieszanie nie trwało długo. Anglicy krzyknęli i natychmiast odpowiedzieli salwą na morderczy atak piratów. Wywiązała się zażarta kanonada. obydwa okręty, chcąc przyśpieszyć rozstrzygnięcie, wciąż się zbliżały do siebie, aż białe chmury dymu nad nimi złączyły się w jeden ogromny grzyb, widomy znak, że na cichych wodach oceanu w tym jednym miejscu toczy się zażarta bitwa. Działa waliły z bliska, bez przerwy, jak oszalałe. Obie strony walczyły zaciekle z jedną tylko różnicą: Anglicy przy każdej salwie wznosili radosny okrzyk, piraci siali zniszczenie milcząc jak zaklęci.

W niemłodych żyłach Bignalla krew rozgrzała się na dobre.

— Nie zapomniał gałgan sztuki, jakiej się nauczył w naszej marynarce! — zawołał z uznaniem, gdy nad jego głową sypały się strzaskane reje, fruwały strzepy żagli, chwiały się maszty. — W służbie króla byłby bohaterem!

Wilder nie odpowiedział. Nie miał czasu na puste słowa. Rzuczał rozkazy, dodawał ducha walczącym. Obydwa okręty płynęły teraz z wiatrem, obok siebie, i miotały nieustannym ogniem. Ich maszty wynurzały się co jakiś czas na krótką chwilę z obłoku dymu i ukazywały cel przeciwnikowi.

Sternik zameldował Wilderowi, że ster odmawia posłuszeństwa.

— Naturalnie! — krzyknął Bignall, gdy Wilder przekazał mu meldunek; — Wraz z naszymi działami grzmi artyleria niebieska. Burza już nas dopadła. Ster na burtę! Wyprowadź statek z dymu. Na burtę, powiadam!

Statek ruszał się jak mucha w mazi i nie mógł wydostać się z chmury dymu. Nie ustawał huk kanonady. Chwilami zagłuszały go potężne grzmoty przewalające się po niebie. Nic prawie nie było widać. Biały płaszcz gęstego dymu szczelnie okrył obydwa okręty.

— Zwyciężyliśmy! — krzyknął jeden z oficerów.

Stał przy działach. Ocierał twarz broczącą krwią. Zranił go odłamek strzaskanej rei.

— Zwycięstwo! — powtórzył. — Od minuty nie odzywają się ich działa.

— Mają dość! — zawołał Bignall. — Chłopaki! Trzykrotne hip, hip...

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Wilder. — Przepraszam, panie kapitanie. Dym już się podnosi. Jeśli wstrzymamy ogień, za chwilę zobaczymy, co się tam dzieje...

Przerwały mu krzyki kanonierów.

— Piraci uciekają!

Błyskawica rozdarła chmurę dymu. Rozległ się potężny grzmot.

— Odwołać ludzi od dział! — krzyknął Bignall. — Zwijać żagle! Wilder powtórzył rozkaz. Marynarze, zziajani, niektórzy zakrwawieni, porzucili działa i ławą zaatakowali maszty i reje.

Gwałtowny wiatr rozpędził dym nad statkiem. Jeszcze pół godziny temu na błękitnym niebie złociło się słońce. Teraz niebo było okryte ogromną czarną zasłoną. Morze szerniało i wzburzyło się.

Statek Korsarza lekko unosił się na fali. Żagle miał zwinięte. Załoga spokojnie i wytrwale naprawiała szkody wyrządzone „Delfinowi” przez królewską fregatę.

Morze zmieniło kolor. Z ciemnozielonego przeszło w połyskliwą biel. Ozwał się straszliwy ryk nadlatującego huraganu.

— Żywo, chłopcy! — zawołał Bignall.

— Zwijać żagle! — krzyczał Wilder. — Ciąć nożem, rwać zębami! I na dół wszyscy! Jeśli wam życie miłe!

Marynarze skakali na pokład jak jabłka spadające z drzewa. Jeden z masztów, okaleczony przez artylerię Korsarza, nie wytrzymał naporu huraganu. Runął w morze. Wraz z nim straciło życie paru marynarzy, którzy nie posłuchali od razu Wildera. Ostały się tylko dwa nagie maszty, pozbawione rej i takielunku.

Wśród wycia wiatru, huku piorunów, w ciemności oświetlanej co chwila przez błyskawice, padały gromkie rozkazy, wydawane przez Bignalla i Wildera. Załoga mężnie je wykonywała. Z naprawiania szkód wyrządzonych przez Korsarza trzeba było na razie zrezygnować i skupić wysiłki na walce ze sztormem.

Huragan szybko przewalił się nad ich głowami. Morze się uspokoiło, powiały zmienne wiatry.

Ujrzeni znów „Delfina”. Piękny żaglowiec wyglądał, jakby w ogóle nie brał udziału w zawziętej bitwie morskiej, a huragan ominął go z daleka. Rozwinał już wielkie płachty żagli. W każdej chwili należało się spodziewać nowego ataku.

— Do licha! — zawołał Bignall. — Szczęście sprzyja dziś łotrom, a odwróciło się od sprawiedliwych. Proszę obsadzić działa, bo zaraz wszystko zacznie się na nowo. Chłopcy! Jak wam się wystawia na cel, walić jak w kaczy ogon!

— Może by trochę poczekać — półgłosem powiedział Wilder. — Jeszcze nie wiemy, co robi Korsarz.

— Kto stoi na pokładzie „Jastrzębia”, dla tego wola króla jest świętym prawem! — surowo skarcił

go Bignall. — Dajcie im łupnia, chłopcy! Kłąć zbirów pokotem przy działach! Niech wiedzą, jak niebezpiecznie zbliżyć się do lwa, zwłaszcza ранego!

Huknęły działa. Grad żelaza spadł na „Delfina”. Statek Korsarza wykonał zręczny manewr, by uniknąć drugiego ciosu, po czym ruszył prosto na fregatę.

— Kapitanie Bignall! — krzyknął ochrypy głos z pokładu „Delfina”. — Proszę spuścić banderę!

— Chodźcie, łajdaki! — odkrzyknął Bignall. — Spróbujcie sami ją ściągnąć!

„Delfin”, jakby ubodła go obelga rzucona przez Bignalla, zręcznie poddał się wiatrowi, zaczął szybko zbliżać się do „Jastrzębia” i ostrzelał go z zadziwiającą celnością. Nagle rozległ się trzask zderzenia obu okrętów i pięćdziesięciu napastników skoczyło z bronią w rękę na pokład fregaty. Ogień artyleryjski prażący z tak bliska sparaliżował obrońców „Jastrzębia”. Ale gdy Bignall i Wilder ujrzeli ciemne sylwetki piratów wynurzające się z obłoków dymu, donośnymi okrzykami wezwali załogę do obrony. Obaj, każdy na czele garstki marynarzy, rzucili się, by zatamować strumień ludzi wdzierających się na pokład. Pierwsze starcie wręcz było zażarte. Obie strony brocząc krwią i ciężko dysząc trochę się cofnęły, by zaczekać na posiłki.

— Chodźcie, mordercy i złodzieje! — ryczał Bignall stojąc na czele gromadki marynarzy.

Nad odkrytą głową weterana powiewały siwe włosy.

— Dobrze wiecie, że Bóg sprzyja sprawiedliwym! Łotry! — Bignall aż zachrypnął.

Piraci cofnęli się i rozstąpili, odsłaniając w ten sposób cel dla dział „Delfina”. Lawina pocisków spadła na ludzi Bignalla.

Szabla starego żołnierza błysnęła wściekle nad jego głową.

— Chodźcie, zbiry! Harry! Harry! Siekać łotrów! O, Boże! Och! Głos zamarł mu w gardle. Zwalił się jak stary dąb rażony piorunem. Nie żył.

Wilder na czele grupy marynarzy bronił się dzielnie przed napierającą dziką zgrają.

— Za mną! Naprzód! — straszliwym głosem grzmiał Generał. — Niech się żaden nie waży tknąć tej dumnej flagi! Ja sam ją zedrę!

— Odwagi, chłopcy! — wołał Wilder.

Wrzawa biła pod niebo, przekleństwa i jęki mieszały się ze sobą. Wilder widział, jak jego oddział się kurczy, jak padają wokół niego zabici i ranni. Został sam. Cofnął się aż do krańca pokładu. Stało przy nim jeszcze kilku marynarzy. Mężnie odpierali ataki.

— Bij, zabij! — ryczał Generał. — Śmierć zdrajcom! Rozgnieść szpiega jak nędznego robaka! Pruć flaki, chłopcy! Halabarda dla tego, co przebije serce podłego zdrajcy!

— Zamknij gębę, gaduło! — spokojnie powiedział Ryszard Fid. — Masz tu białego i Murzyna. Do koloru, do wyboru. Chodź no bliżej, robaku. Zobaczymy, kto komu spruje portki.

— Jeszcze dwóch zdrajców! — wrzasnął Generał i zamierzył się szablą na Fida.

Na pół nagi Scypio osłonił przyjaciela. Ciężka szabla spadła na krótką pikę i rozplątała ją jak trzcinę. Scypio z gołymi rękami rzucił się naprzód i zasłonił Wildera. Tłukł rękami, jak cepami, grzmocił pięściami, niebacznym na rany, jakie zbierał od uzbrojonych piratów, i krew, od której czerwieniło się jego czarne ciało.

— Trzymaj się, Afrykański! — zawołał Fid. — Zaraz tam przyjdę, tylko ciachnę jednego starego pijaka, kaprała z zawodu!

Cała szermiercza sztuka na nic się Generałowi nie przydała. Szabla Fida spadła na jego czapkę i rozplątała mu głowę aż po dolną szczękę.

— Stać! — krzyknął Wilder widząc, jak piraci masakrują bezbronnego Murzyna. — Ze mną się bijcie, tchórze!

Ale było już za późno. Murzyn zwałił się na pokład, a za nim runęło dwóch napastników. Wilderowi pociemniało w oczach. Jak przez mgłę usłyszał potężny głos:

— Robota skończona, chłopcy! Kto zada jeszcze jeden cios, ze mną będzie miał do czynienia! Korsarz stanął na środku pokładu i podniósł rękę. —

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Wilder zacisnął zęby i przetaił oczy. O parę kroków od siebie ujrzał Korsarza. Straszny dowódca „Delfina” stał bez ruchu. Na głowie miał skórzany hełm. Zmienił się nie do poznania. Wyprostowany, z głową dumnie wzniesioną, wyglądał na znacznie wyższego niż zwykle. Rysy twarzy zakrzepły w okrutnym grymasie. Rękę oparł na rękojeści skrwawionego jataganu. Nogą przydeptał do pokładu angielski sztandar. Obok niego stał Roderick, bez broni, splamiony krwią, wybladły, na pół przytomny.

— Kapitanie Heidegger — powiedział Wilder — los był łaskawy dla pana. Proszę o litość dla tych, którzy pozostali przy życiu.

— Litość będzie okazana tym, którzy sobie na nią zasłużyli. Chciałbym, aby wszyscy byli jej godni.

Co się kryło za tymi słowami, Wilder zrozumiał, gdy zbliżyło się do niego kilku prowodyrów buntu na „Delfinie”.

— Żądamy, aby naszym prawom stało się zadość — powiedział ich przywódca śmiało patrząc w oczy Korsarzowi.

— Czego chcecie?



— Śmierć zdrajcom!

— Znacie nasz regulamin. Jeśli są zdrajcy, ich los jest przesądzony. Wildera, Fida i Scypiona zaciągnięto przed oblicze Korsarza.

— Czego chcecie? — spytał jeszcze raz Korsarz.

Jego głos zabrzmiał nie tak stanowczo jak zwykle. Nawet żelazne nerwy nie zdołały zapanować nad wzruszeniem.

— Śmierć zdrajcom! — padła odpowiedź.

— Rozumiem. Daję wam wolną rękę. — Wilder zadrżał. Ale natychmiast się opanował. Wyprostowany, z podniesioną głową, zwrócił się do Korsarza.

— Dla siebie o nic nie proszę. Wiem, że samowolnie ustanowione przez was prawo skazuje mnie na śmierć. Proszę jednak i błagam o litość dla moich towarzyszy, którzy nic nie rozumieli, a ich jedyną zbrodnią jest to, że byli mi wierni...

— Proszę mówić do nich — odparł Korsarz wskazując palcem na piratów. — To są pańscy sędziowie.

Przezwyceńając odrazę Wilder zwrócił się do załogi.

— Mówię do waszych serc — powiedział. — Jesteście ludźmi, marynarzami...

— Dosyć! — ochryplym głosem krzyknął Nightingale. — Kazania będzie nam prawić! Powiesić drania na rei!

Bosman zagwizdał.

— Na reję! Powiesić zdrajców! Śmierć! — krzyczało naraz dwadzieścia ochryplych gardzieli.

Wilder rzucił błagalne spojrzenie Korsarzowi. Tylko on mógł ich ocalić przed zemstą rozpasanego motłochu.

Korsarz odwrócił głowę.

Zaciągnięto ich na drugą stronę pokładu. Oprawcy szykowali już liny.

— Dajcie żółtą flagę! — krzyknął Nightingale. — Niech pan oficer pożegluje w zaświaty pod flagą zdrajców!

Z tłumu posypały się wyzwiska i ordynarne żarty. Tego już było za wiele dla Fida, który dotąd cierpliwie czekał na spełnienie się losu i uważał, że jeśli trzeba będzie coś powiedzieć, to Wilder poprosi o głos.

— Czekaście, hycle! — zawołał ze szczerym oburzeniem. — Jesteście rzeźniki, opryszki i złodzieje, to wasza sprawa, pies wam ogonem kiwał! Wtrącam się tylko dlatego, że jesteście okropni partacze. Czy tak się wiesz człowieka? Spójrzcie na ten supełek na moim gardle. Tak się wiąże chustkę babci na szyi. To nie jest uczciwa marynarska robota. Przyjdzie czas, że wam pokażą, jak się wiesz. Tępe, ciemne, zacofane łby!

— Do góry go! Na co czekać! Do bozi z nim! Zamknąć mu gębę! Tyle usłyszał Fid za całą odpowiedź na swoją kunsztowną mowę. Z drugiej strony pokładu podniosła się nowa wrzawa.

— Pastor! Pastor! — krzyczano.

— Wisielcy zmówią paciorek do ostatniego tańca! — zagrzmiął czyjś bas.

Buchnęły śmiechy i nagle zamarły. Zrobiło się cicho. Korsarz podniósł rękę.

— Jeśli ktoś jeszcze raz, choćby jednym słowem znieważy jeńca na tym pokładzie, będzie zazdrościł losu tym nieszczęśnikom, gdy się spotka z moim gniewem. Odejść na bok. Przejście dla kapelana. —

Wśród niemej ciszy kapelan podszedł do miejsca kaźni. — Jaką zbrodnię popełnili ci ludzie? — zapytał.

— Mniejsza o to — odparł Korsarz. — Wystarczy, że wybiła ich godzina. Jeśli pan chce zmówić modlitwę za konających, proszę niczego się nie obawiać. W mojej obecności nikt nie będzie drwił z czyjejś wiary.

Oblicze kapelana pałało świętym oburzeniem.

— Jest pan postrachem mórz i zakałą społeczeństwa — powiedział. — Gwałcicielem praw ludzkich i boskich! Za śmierć tych niewinnych ofiar twego okrucieństwa poniesiesz surową karę. Mało ci ofiar rzezi, jaka się tutaj odbyła, mało ci krwi? Drzyj, zbrodniarzu! Przyjdzie chwila, że wszystkie zbrodnie spadną na twoją głowę!

— Ciekawe — powiedział Korsarz z uśmiechem, choć wargi mu lekko drżały. — Oto dowód, jak niebo popiera prawa ustanowione przez ludzi.

Wzrok kapelana padł na zwłoki Bignalla. Rozpoznał przyjaciela, choć Korsarz nakrył ciało zabitego angielską flagą. Duchowny zebrał siły i powiedział:

— Słyszałem, że nie jest pan wolny od ludzkich uczuć. Ziarno zasiane...

— Dość! — przerwał mu Korsarz. — Spełniaj, ojcze, swą powinność albo zamknij usta!

— Czy ich los jest przesądzony?

— Tak!

— Kto to powiedział? — zawołała pani Wyllys podchodząc do Korsarza.

— Prawo.

— Prawo? Jakże ci, którzy depczą wszelkie nakazy społeczeństwa, mogą mówić o prawie? Niech pan ma odwagę powiedzieć, że to jest okrutna, nieludzka, straszna zemsta! Ale z czym innym przyszedłem tutaj. Proponuję wam okup za trzy skazane na śmierć osoby. Sami wyznaczcie cenę. Ojciec na pewno odda całą swą fortuną za głowę człowieka, który uratował życie jego córce.

— Złota wprawdzie nam nie brakuje — bez namysłu odparł Korsarz — ale niechaj moi ludzie sami powiedzą. Czy chcecie wziąć okup? Zapadła krótka cisza. Potem głuchy pomruk zaświadczył, że piraci nie wyrzekną zemsty. Korsarz rzucił im pogardliwe spojrzenie i zwrócił się do kapelana.

— Proszę spełnić swoją powinność. Czas nagli.

Odszedł na bok i stanął przy pani Wyllys, która zakryła twarz chustką.

— Dziękuję panu z całego serca — powiedział Wilder do Korsarza. — Mam do pana jedną, ostatnią już prośbę. Czy może mi pan przyrzec, że osoby, które przybyły ze mną na pański statek, odzyskają wolność?

— Przyrzekam.

— Zaczny słuگو boży — zwrócił się Wilder do kapelana. — Moja dusza w spokoju żegna się z tym pięknym światem. Udziel pociechy moim nieszczęsnym towarzyszom.

Kapelan podszedł do Fida i Scypiona. Fid siedział na pokładzie. Rozpiął kołnierz, —na szyi miał zawiązaną linę. Na kolanach trzymał głowę leżącego obok Murzyna, który majaczył w gorączce.

Kapelan wziął Scypiona za rękę.

— Ten człowiek sprawi zawód swoim katom. Chwile jego są policzone. Już go nie dosięgnie ludzka niesprawiedliwość. Jak na imię twemu przyjacielowi?

— Ojczulku kochany, wołaj go, jakim chcesz imieniem, przecie on już oddaje ducha — odparł Fid.

— W spisie załogi figurował jako Scypio Afrykański. Mów mu: Scypionie.

— Przyjął chrzest?

— Jak Scypio nie jest chrześcijańską duszą, to już nie ma chrześcijan na tym świecie — odparł Fid niezbyt odpowiednim tonem. — Jeśli już się zgadało o religii, ja takiego człowieka, który służy swej ojczyźnie, jest dobrym kolegą i nie ma złości w sercu, nazywam świętym. Afrykański, podaj ojczulkowi grabę, jeśli uważasz się za chrześcijanina. Jeszcze godzinę temu, jak Scypio uściśnął komuś prawicę, to się długo pamiętało. Teraz już po nim.

— Czy mam odmówić modlitwę za jego duszę?

— Nie wiem, nic nie wiem — odparł Fid ze ściśniętym gardłem. — Ale skoro biedakowi tak niewiele czasu już zostało, chyba lepiej będzie, jeśli sam coś powie. Może chciałby coś przekazać

swym braciom w Afryce. Znaleźlibyśmy zaufanego posła. No co, bratku? Widzi pan? Już mu coś kiełkuje w głowie.

— Fid, weź obrożę — wybełkotał Scypio.

— Dobra, dobra — Fid chrząknął parę razy i dzikim wzrokiem powiódł dokoła, jakby szukał tego, co zabił mu przyjaciela. — Tak, tak, nie martw się o to, mój Afrykański, ani mówiąc szczerze o nic innego. Będziesz miał grób głęboki, na samym dnie morza, to dobrze, mój drogi, i chrześcijański pogrzeb, jeśli ten kapelan zechce przyłożyć do tego ręki. Wszystko, co byś miał do powiedzenia swym bliskim, zapiszemy słowo w słowo w dzienniku okrętowym i postaramy się, żeby to dotarło do ich czarnych uszu. Wiele burz przeleciało nad twoją skołataną głową i różne złe wiatry świstały ci koło ucha, czego uniknąłbyś po części, gdybyś miał trochę jaśniejszą skórę. Skoro już się zgadało, sam też nie jestem bez winy. Może trochę za krótko cię trzymałem, niech mi Bóg wybaczy i ciebie także proszę, byś się na mnie nie gniewał.

Murzyn chciał się podnieść, ale nie miał już siły. Jego ręka szukała dłoni Fida.

— Bóg nam wszystko wybaczy — wyszeptał.

— Nielicho by było, gdybyśmy nie musieli odpokutować za nasze grzechy — odparł Fid starając się ukryć wzruszenie. — Uratowałeś mi kiedyś życie, mój stary, i sporo oddałeś mi takich drobnych przysług. Póki czas dziękuję ci za to, bo nie wiem, czy się jeszcze spotkamy na jakim statku.

Murzyn chciał mu odpowiedzieć, ale wydał tylko parę nieartykułowanych dźwięków.

— Rozumiem. Możliwe, że i w niebie Murzyni będą osobno. Nie martwmy się na zapas. Jakoś to będzie. Mamy już rozkazy wyjazdu. Ty pierwszy podniesiesz kotwicę, a potem mnie wciągną na maszt jak, za przeproszeniem, banderę. Trzymaj się tam pana Harry'ego, to łatwiej nam będzie się spotkać, bo pan Harry jest znaczną osobą:

— Grzeszne to słowa, przyjacielu — upomniał go kapelan. — Mogą tylko zmącić wasze wiekuiste szczęście. Pan Wilder jest tak samo grzeszną duszą jak ty, przyjacielu. W niebie wszyscy są równi...

— To prawda — przerwał mu Wilder. — Scypio, zdaje się, chce mi coś powiedzieć.

Murzyn próbował wyciągnąć do niego rękę. Wilder chwycił ją i mocno uściśnął. Ramię Scypiona bezwładnie opadło na deski. Śmiertelny kurcz wstrząsnął czarnym ciałem. Murzyn zeszywniał. Już nie żył. Ozwał się pomruk tłumu, niezadowolonego, że zemsta tak długo się odwleka;

— Kończyć! — ktoś zawołał. — Trupa do morza, żywych na reję!

— Jakim prawem? — huknął Fid. — Kto się waży rzucić do morza jeszcze nie ostygłe ciało marynarza? Czy ciało ludzkie to skorupa ostrygi? Jesteście partacze i niedołęgi! Zobaczcie, jaki osioł związał mi ręce.

Mówiąc to Fid naprężył mięśnie, zerwał więzy, którymi skrupowano mu ręce, i objął ciało Murzyna. Nikt się nie odezwał.

— Który z was, złodzieje, śmiałyby się z nim zrównać? — zawołał Fid. — Skończyłem — dodał. — Teraz ciągnijcie linę i dziękujcie Bogu, że idzie w górę uczciwy człowiek, a na was kolejka jeszcze nie przyszła.

— Odjazd! — krzyknął Nightingale i gwizdnął. — Do nieba!

— Stać! — zawołał kapelan chwytając w ostatniej chwili za linę. Na nagim ramieniu Fida zobaczył tatuaż.

— Co znaczy ten napis? — zapytał. — Czy mnie oczy nie mylą? Widzę tu słowo „Ark”.

— A jakże! — powiedział Fid rozluźniając sobie węzeł na szyi i wkładając do ust resztkę tytoniu. — Jak to dobrze, że każdy kapelan umie czytać. Ciężka ręka czarnego analfabety wypisała mi to słowo prochem.

— Ale skąd znaliście to słowo? Ludzie! Darujcie skazanemu jeszcze jedną minutę. Musimy wyjaśnić ważną sprawę.

Mówiąc to kapelan spojrzał błagalnym wzrokiem na Korsarza.

— Jeszcze jedna minuta — powiedział Korsarz. — Skąd znaliście to słowo, jeszcze raz pytam.

— W tej chwili sprawa nie ma już żadnego znaczenia — odparł Fid. — Stare dzieje. A słowo, o które ojczulek pyta, wzięło się z jednego wiadra. Murzyn wspomniał też o obroży. Myślał biedak, że będę żył i wezmę sobie tę obrożę na pamiątkę pewnego wydarzenia w naszym życiu. Nie ma o czym mówić.

— Ark — powiedział kapelan — to nazwa majątku na wyspach, który należał do jednego z moich najbliższych przyjaciół Tam odebrałem żywą istotę, którą pani powierzyła mojej opiece — zwrócił się do pani Wyllys — i oddałem ją na statku. Ale...

— Niech pan mówi! — zawołała guwernantka. Podbiegła do Wildera i zaczęła szarpać węzeł na jego szyi.

— Co pan mówił o obroży? — spytała Fida.

— Głupstwo, proszę pani — odparł Fid. — Szkoda czasu. Ale przez uprzejmość wobec damy odpowiem i na to pytanie. Uczcie się, hultaje — łypnął okiem na piratów stojących wokół z zaciśniętymi pięściami. — Obroża, o której mowa, należała do psa, później zjedzonego w związku z trudnościami w dostawach mięsa na morzu. Poznaliśmy się z tym psem na statku, nie będę teraz opowiadał długiej historii, język mi skołczał. Ma pani tę obrożę na ramieniu mojego zmarłego przyjaciela.

Oczy pani Wyllys zaszyły mgłą.

— Proszę przeczytać. — zwróciła się do kapelana. Rzeczywiście, ma tabliczce obroży było coś napisane.

— Wielki Boże! — zawołał kapelan i głośno przeczytał — „Neptun, własność Paula de Lacey”.

Rozdzierający krzyk wydarł się z ust pani Wyllys. Wzniosła ręce ku niebu. Potem objęła Wildera i przycisnęła do łona.

— Moje dziecko! Moje dziecko! — zawołała. — Oddajcie mi syna! Będę się do śmierci za was modliła! Jesteście mężni ludzie, nie bądźcie obojętni na błaganie matki i głos waszych serc! To syn marynarza! Jestem córką kapitana Whitinga i wdową po marynarzu. Matka na kolanach błaga was o litość dla jej jedyne go syna!

Po jej słowach zapadła cisza. Korsarze posępnie spoglądali jeden na drugiego. Żądza zemsty tliła się w ich sercach i w każdej chwili mogła buchnąć ogniem nienawiści, głuchej na wszelkie zaklęcia. Milczeli.

Korsarz wodził spokojnym wzrokiem po twarzach swych ludzi. Wreszcie podniósł rękę i powiedział:

— Rozejść się. Wiecie, że nigdy niczego nie darowuję, ale wiadomo wam także, iż macie mnie ślepo słuchać. Jutro dowiecie się, co postanowiłem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Nadszedł ranek. Przez noc wiele się zmieniło. „Jastrząb” i „Delfin” płynęły zgodnie obok siebie. Na „Jastrzębiu” powiewała flaga angielska, okręt Korsarza żeglował bez bandery. Szkody powstałe w bitwie i wyrządzone przez huragan zostały po części naprawione. Długie, mgliste, błękitne pasmo na północy zapowiadało bliski ląd. Parę lekkich statków przybrzeżnych żeglowało spokojnie w niedalekiej odległości od obu okrętów.

Jakie były zamiary Korsarza, tego nikt jeszcze nie wiedział. Całą noc spacerował po pokładzie. Z nikim nie zamienił ani słowa. Wydawał tylko rozkazy.

Gdy słońce wynurzyło się z wód na wschodzie, „Delfin” wystrzałem armatnim wezwał statek przybrzeżny. Zbliżała się końcowa scena dramatu. Korsarz wydał rozkaz, by cała załoga zebrała się na pokładzie. Wezwał też przedstawicieli jeńców. Stał przed frontem załogi.

— Przez wiele lat — zaczął — dzieliliśmy wspólny los i podlegaliśmy naszemu własnemu prawu. Nikt mi nie może zarzucić, że byłem niesprawiedliwy. Nasz pakt wygasł w tej chwili. Zwracamy sobie słowo, jakim się związaliśmy... Nie marszczyć tam brwi, nie szemrać! Taka była nasza umowa. Oddaję wam wolność i sam niewiele żądam dla siebie. Abyście nie mieli powodu do skarg, oddaję wam wszystkie moje skarby. Spójrzcie!

Uniósł krwawą banderę piracką i odsłonił okryte nią worki ze złotem.

— Wszystko to teraz do was należy. Worki ze złotem zostaną przeniesione na statek przybrzeżny, który właśnie zbliża się do nas. Podzielcie się tymi skarbami wedle waszego uznania. Ląd jest blisko. Niech każdy z was pójdzie swoją drogą, rozproście się, tak będzie bezpieczniej. Doskonale

wiecie, że beze mnie ta królewska fregata łatwo sobie z wami poradzi. „Delfin” jest moją własnością. Z całej reszty chcę tylko jeńców zatrzymać dla siebie. Żegnajcie!

Korsarze osłupieli. Zaczęli szemrać. Znaleźli się tacy, którzy chcieli podnieść bunt. Ale Korsarz był na to przygotowany. „Jastrząb” czuwał. Działa wycelowano z bliska w pokład „Delfina”. Kanonierzy trzymali lonty w pogotowiu.— W takiej sytuacji wszelki opór załogi, pozbawionej dowódcy, byłby czystym szaleństwem.

Na statku się zaroilo. Marynarze biegli po swój dobytek i spiesznie ładowali się na przybrzeżny statek, który dobił do burty „Delfina”. Gdy już wszyscy, z wyjątkiem załogi jednej szalupy, się tam znaleźli, odesłano im złoto. Stateczek szybko odpłynął w stronę brzegu. Zapewne zawinął do jakiejś cichej, bezludnej przystani.

Gdy zostali sami, Korsarz zwrócił się do Wildera. — Nadeszła chwila rozstania — powiedział. — Polecam pańskiej opiece rannych z mojej załogi.

— Ręczę słowem, że włos im nie spadnie z głowy — odparł młody de Lacey.

— Wierzę.

Korsarz podszedł do pani Wyllys.

— Czy wyrzutek społeczeństwa mógłby panią o coś prosić? — zapytał z powagą.

— Słucham. Niczego nie odmówię wybawcy mego syna.

— Gdy się pani będzie modliła za swego syna, proszę czasem westchnąć do Boga o zbawienie mej duszy.

Widać było, że słowa te z trudem przeszły mu przez gardło.

— Szalupa czeka na państwa — dodał normalnym już głosem. Pani Wyllys, Gertruda i Kasandra siedziały już w łodzi. Wilder jeszcze zwlekał z opuszczeniem pokładu „Delfina”.

— A z panem co będzie? — spytał.

— Ludzie szybko o mnie zapomną — odparł. — Żegnam. Skinął Wilderowi głową. Wilder uściśnął mu rękę.

Ledwie się znaleźli na „Jastrzębiu”, Wilder, który po śmierci kapitana Bignalla objął dowództwo, dał rozkaz rozwinięcia żagli i poprowadził statek do najbliższego portu.

Odpywając zobaczyli Korsarza. Szybkim krokiem spacerował po rufie „Delfina”. Towarzyszyła mu drobna postać chłopca. Potem stracili ich z oczu. Z dala widniała tylko dumna sylwetka korsarskiego statku.

Nagle spod pokładu „Delfina” buchnął ogień. Płomienie skakały z żagla na żagiel. Oczom patrzących

ukazał się straszny i niesamowicie piękny obraz statku płonącego na pełnym morzu. Olbrzymi kłęb dymu buchnął w górę i zaraz potem rozległ się huk eksplozji. Mimo znacznej odległości zadrżały żagle „Jastrzębia”. Gdy dym się rozszedł, miejsce, gdzie przed chwilą kołysał się na fali piękny żaglowiec, ziało pustką. Marynarze z „Jastrzębia”, którzy wspięli się na maszty i patrzyli przez lunety, twierdzili, że zobaczyli na morzu samotną plamkę. Czy to była łódź, czy też jakaś resztką „Delfina” — trudno było dociec.

Od tego czasu pamięć o strasliwym Czerwonym Korsarzu pomału się zacierała. Nowe, ważne wydarzenia skupiły na sobie ludzką uwagę. Ale długo jeszcze marynarze skracali sobie leniwe godziny nocnej wachty opowieściami o mroźnych krew w żyłach postępkach tego niezwykłego człowieka. Więcej było w tych historiach ludzkiej imaginacji i lęku przed niewytłumaczalnymi zjawiskami, a nawet zwyczajnego strachu przed nocą niż prawdy.

Zresztą na kontynencie amerykańskim działy się rzeczy tak ważne, że bladły przy nich wszelkie opowieści i legendy. Kolonie wypowiedziały posłuszeństwo angielskiej koronie i wynikła stąd długa wojna właśnie dobiegała zwycięskiego dla Ameryki końca. Miasto Newport, w którym rozegrała się pierwsza scena naszej powieści, przechodziło w czasie wojny z rąk do rąk. Do portu zawijały nieprzyjacielskie eskadry, a w okolicznych domkach wiejskich rozbrzmiewał śmiech młodych żołnierzy.

Ponad dwadzieścia lat minęło od dramatycznych wydarzeń na pokładach dwu statków, opisanych przez nas przed chwilą. Newport święciło radośnie nowe zwycięstwo. Oto zjednoczone armie zmusiły do kapitulacji jednego z najbardziej przedsiębiorczych dowódców wojsk angielskich. Zacni mieszkańcy przez cały dzień wiwatowali na ulicach miasta, ale gdy zapadła noc, poszli spać. Newport pogrążyło się w ciszy.

Na redzie, w tym samym miejscu, gdzie kiedyś przyczał się statek Czerwonego Korsarza, stała piękna fregata pod gwiazdzistym sztandarem. Gdy się ściemniło, drugi okręt wojenny, znacznie mniejszy, również pod banderą Stanów Zjednoczonych, rzucił kotwicę nie opodal portu. Spuszczono szalupę. Sześciu mocnych marynarzy wiosłowało co sił w stronę portowego basenu. Kiedy szalupa zbliżała się do pustego nabrzeża, spóźniony przechodzień zobaczył, że oprócz marynarzy siedzi w niej jakaś dama i, co dziwniejsze, znajdujcie tam jeszcze lektyka z zaciągniętymi frankami. A że był człowiekiem ciekawym, postanowił dowiedzieć się, co to może być.

Szalupa przybiła do brzegu. Marynarze wynieśli lektykę i postawili ją przed nieznanym.

— Mógłby mi pan powiedzieć — spytała dama — czy kapitan marynarki Henry de Lacey mieszka w Newport?

— Owszem, kapitan de Lacey ma tu swój dom, a nawet dwa, bo ta piękna fregata na redzie jest jego drugim domem.

— Jeśli pański podeszły wiek na to nie pozwala, może znalazłby pan kogoś, kto mógłby nas zaprowadzić do domu kapitana de Lacey?

Mówiąc to wcisnęła mu w rękę srebrną monetę. Staruszek skwapliwie schował monetę do kieszeni.



— Chociaż mam swoje lata i wiele przeżyłem na lądzie i morzu, chętnie sam pani pomogę — odpowiedział.

Ruszył przodem. Za nim marynarze nieśli lektykę, obok szła dama.

— Gdyby państwo chcieli się pokrzepić — mówił stary — oto słynna gospoda „Pod Urwaną Kotwicą”, swego czasu chętnie uczęszczana przez marynarzy. Jej właściciel Joe Joram wstawiał się na ostatniej wojnie i jest, można powiedzieć, naszym narodowym bohaterem. Nie ma go już na tym świecie. Zginął na polu chwały, a wdowa prowadzi zakład nie gorzej niż sam Joe.

Ktoś jęknął w lektyce. Stary nadstawił uszu.

— Tak, chory cierpi, ale któż jest wolny od cierpień na tym łożu padole? Ja sam przeżyłem siedem okrutnych i krwawych wojen. Mam nadzieję, że ta będzie ostatnia. Czegom się napatrzył, jakie przedziwne miałem przygody, tego się nie da opisać. Tylko jakiś poeta mógłby to wyrazić w słowach i rymach.

— Miał pan ciężkie życie — powiedziała dama. — Może trochę złota osłodzi pańską starość.

Wręczyła mu parę sztuk złota. Kulawy staruszek, bo nie tylko starość mu dolegała, zwawo schował złoto do kieszeni i zamilkł. Widocznie zamyślił się nad wartością cennego kruszcu, bo słowa więcej nie powiedział.

W milczeniu podeszli do domu na wzgórzu. Było już zupełnie ciemno. Przewodnik zastukał do drzwi.

Wyszedł mężczyzna z lampą w ręce. Za nim ukazała się w drzwiach ciekawa twarz starej Murzynki. Mężczyzna był marynarzem, co można było poznać od pierwszego wejrzenia. Miał drewnianą nogę.

— Co to, panie Homespun? — zapytał niecierpliwie. — Dlaczego pan jeszcze nie śpi, tylko chodzi po domach? — Mówiąc to wypluł większą porcję tytoniu.

— W lektyce jest ranny marynarz — powiedziała dama wychodząc naprzód i ukazując się w świetle lampy. — Chciałby prosić o nocleg. Czy moglibyśmy zobaczyć się z kapitanem de Lacey?

— A toś pani w dobrym miejscu rzuciła sondę — odparł marynarz. — To jest Paul, syn pana kapitana.

W drzwiach ukazał się siedemnastoletni młodzieniec w mundurze ucznia szkoły morskiej.

— Zaraz poproszę ojca — powiedział. — Ryszardzie — zwrócił się do starego marynarza — rozejrzyj się za wygodną kajutą dla gości.

Ryszard Fid wprowadził przybyłych do saloniku. Postawiwszy lektykę na podłodze marynarze odeszli. Fid zaśwycił lampę i rozpałił ogień na kominku, bez przerwy zabawiając rozmową nieznaną damę.

Otwarły się drzwi i z drugiego pokoju weszły cztery osoby. Za młodym Paulem wszedł mężczyzna w

średnim wieku, w mundurze kapitana amerykańskiej marynarki wojennej. Atletycznej budowy, trzymał się prosto i wyglądał raźnie, ale skronie miał już przyprószone siwizną. Jedną rękę trzymał na temblaku. Zdrowe ramię podał pięknej kobiecie krągłych kształtów, o różowych policzkach i śmiejących się oczach. Za nimi podążała kobieta w podeszłym już wieku. Wszyscy troje skłonili się damie siedzącej przy lektyce. Szlochała i upłynęło parę minut, zanim się trochę uspokoiła. Otarła łzy.

— Ta wizyta może się wydać państwu nie w porę — powiedziała — ale chciałam uszanować wolę człowieka, który prosił, by go tu przynieść.

— W jakim celu? — łagodnie spytał kapitan widząc, że nieznajoma szlocha.

— Aby tu umrzeć — odparła szeptem.

Wszyscy zadrżeli.

Kapitan delikatnie odchylił firankę lektyki. Ujrzeni bladą jak płótno twarz konającego mężczyzny o płonących oczach.

Zapadła długa cisza. Wreszcie kapitan przerwał milczenie.

— Co moglibyśmy uczynić? — spytał.

Umierający milczał. Tylko płonące oczy błędziły po otaczających go twarzach. Uśmiechnął się blado. Zatrzymał wzrok na obliczu staruszki. I ona wpatrywała się w jego twarz jak urzeczona.

— Mamo, co ci się stało? — spytał zaniepokojony kapitan.

— Mój synu! Gertrudo! — zawołała staruszka wyciągając do nich ramiona, jakby szukała oparcia. — Otwarliście drzwi komuś, kto miał prawo do nich zastukać. To mój brat!

Głowa opadła jej na piersi.

— Mamo! — zawołał kapitan. — Przecież twój brat umarł jako kilkuletni chłopiec!

— Długo tak myślałam, a potem serce mi mówiło, że on żyje, i straszne podejrzenia nie dawały mi spokoju. Rozstaliśmy się jako dzieci, nie pamiętał mnie, nie wiedział, że żyję. Spójrzcie, dzieci! Czy nie poznajecie tej twarzy? Czy jest aż tak zniszczona? To wasz wuj!

Wilder i Gertruda długo wpatrywali się w wynędzniałą twarz nieznajomego. Była im zupełnie obca. Nieznajomy ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptał:

— Wilder, przybyłem prosić cię o ostatnią przysługę.

— Kapitan Heidegger! — krzyknął Wilder.

— Czerwony Korsarz! — rozzierającym głosem zawołała Gertruda.

— Czerwony Korsarz! — powtórzył jej syn i zbliżył się do lektyki wielce zaciekawiony.

— Twarda sztuka, ale i na niego przyszła kryska! — mruknął Fid poprawiając szczypcami ogień w kominku, aby go nie wyproszono, jako osobę zbędną w tym pokoju.

— Przez wiele lat kryłem moją hańbę i pokutę — szeptał Korsarz. — Ale wojna wyciągnęła mnie z kryjówek. Byłem potrzebny mej amerykańskiej ojczyźnie. Wiernie jej służyłem. Ty, Wilder, mogłeś robić to jawnie. Święta sprawa nie mogła być splamiona moim imieniem. Walczyłem i przelewałem krew pod obcym nazwiskiem. Dzielnie towarzyszył mi Roderick. Był moim zastępcą na okręcie, którym dowodziłem. Śmiertelnie ranny w bitwie morskiej, oddał ducha, kiedy znosiłem go pod pokład. Niewiasta, która mnie tu przywiodła, jest moją żoną. Wiele lat spędziliśmy w nędzy. Wszystko o mnie wiedziała. Chciałbym tylko, aby moje mizerne zasługi w czasie tej wojny nie były zapomniane, gdy ludzie będą wspominali straszne zbrodnie, jakich się dopuściłem. Siostrze! Żono! Przebaczcie!

— O, mój bracie! — zawołała pani Wyllys. — Okupiłeś swoje zbrodnie krwią przelaną za ojczyznę. Niech ci Bóg przebaczy!

Padła na kolana.

— Wilder — szepnął Czerwony Korsarz.

Nadludzkim wysiłkiem uniósł się w lektyce. Wziął do ręki płótno zwinięte w rulon i rozwinął gwiazdzisty sztandar.

— Wilder, zwyciężyliśmy! — szepnął Korsarz i głowa opadła mu na poduszkę.

Uśmiechnął się i zapadł w mrok śmierci.